

Robert E. Howard Bran Cambell

Conan
Ognisty wicher

Przekład Katarzyna Pawlak

ROZDZIAŁ I U LICHWIARZA TSIEN HU

Gdy tylko czerwona kula słońca dotknęła wzgórz i rozjaśniła swym blaskiem wysokie, pełne wdzięku wieże Turghol, nadchodzący półmrok przeszyła pojedyncza, słodka nuta. Mężczyźni zwrócili niespokojne oczy na wznoszącą się pośrodku najwyższą wieżę, otoczoną spiralą złota niczym językiem ognia, pobłyskującą, zachwycającą mozaiką fioletowego i różowego marmuru. Mocno zacisnęli pięści przy biodrach i schowali kciuki w dłonie w geście, który miał ochraniać ich przed złością boga grzmotów, Ballara.

— Teraz Agrimah i wysoki ogień niebios ochronią nas — szepnęli mężczyźni zgromadzeni na bazarze i z pośpiechem zaczęli zamykać frontony swoich sklepów. Niewolnicy bogaczy w pośpiechu szukali schronienia za swoimi własnymi drzwiami i w obrębie własnych, uwieńczonych szpicami murów. Na obfitych, błękitnych wodach jeziora Ho, cięcia zadawane batem przez zarządców, przesywały zgięte plecy niewolników, poganiając ostro zakończony łodzie rybackie w kierunku bramy wodnej. Na polach inni, nadzy niewolnicy przytroczyli do ramion prymitywne narzędzia pracy na roli i ponuro kroczyli pod ostrymi cięciami batów strażników.

Kiedy ponownie zabrzmiała ta zawodząca nuta, która mogła dobiegać z samych niebios i mogła nawet wdrzeć się do wnętrza ludzkich, Ognisty Wicher zaczął wiać z pustyni Czarnych Piasków. Było to coś, co przechodziło ludzkie pojęcie, a przybyło wraz z czarnoksiężnikami z Kusanu, z miasta Hsia, i mogły temu się oprzeć jedynie mury Turghol lub sami mieszkańcy Hsia.

Z rozciągających się na północ cieni jodeł, które okrywały wzgórza, wyłonił się wóz ciągniony przez kilka wołów i z trudem, powoli zaczął skręcać z turkotem w dół czarnej drogi, w kierunku Południowej Bramy. Mężczyzna w szpiczastej, białej czapce charakteryzującej plemiona z Kambuji wbijał ostry kij w zady wołów, by zmusić ich do przyśpieszenia ich ciężkiego kroku.

Zdawał się być sam, a mimo to szeptał półprzymkniętymi wargami. „Już nadchodzi. O, Cromie.”

Ze sterty wełny za nim, potężny, męski głos zaryczał przekleństwem:

— Na Cromie, nie może nadejść zbyt wcześnie. Ten diabelski wiatr, o którym ciągle papłasz, nie może być gorętszy od tej twojej wełny”.

— Cicho! — ostrzegł Kassar, z lękiem w głosie. — W pobliżu Turghol sam wiatr ma uszy! Czerwona, spocona twarz wyłoniła się ze sterty wełny, i nawet zachodzące słońce nie było tak ogniste, jak ta twarz.

— Dobrze, gdyby tylko te wiatry użyły swoich uszu, żeby mnie powachlować! — przeciągnął dłonią po twarzy i wypluł kłęby wełny. — Fu! Nigdy owce nie napawały mnie większym obrzydzeniem.

— Schowaj się, głupcze! — zadyszał Kambujańczyk. — Czy cię nie ostrzegałem...

Z gęstniejącego nad ich głowami powietrza dobiegł ich głos. Był cienki i słaby, i po raz kolejny nikt, nawet sam gigant ukryty w wełnie, nie mógł stwierdzić, czy głos ten pochodził z niebios, czy też od jakiejś ludzkiej istoty.

— Uciszcie się, niewolnicy — szepnął głos — poczujcie powiew Ognistego Wichru! Kassarem wstrząsnął dreszcz. Zerwał swój szpiczasty kapelusz w geście szacunku, obnażając czarne, potargane włosy, mimo to nadal z zacięciem wbijał kij w zady wołów.

— Panie, słyszymy i jesteśmy posłuszni!

Conan chwycił w dłoń smukłą rękojeść miecza, a jego błękitne, zuchwałe oczy powiodły wkoło z zimnym wyzwaniem.

— Teraz, na brodę Agrimaha — powiedział miękko — gdybym mógł dosięgnąć gardła, które wydało głos nazywający mnie niewolnikiem...

— Nie — Kassar ciężko oddychał przez zaciśnięte usta. — Czarnoksiężnicy mówią, kiedy chcą. Słyszą i widzą, co chcą. Jesteśmy potępieni, Conanie! Za murami Ognisty Wicher, a wewnątrz murów... wewnątrz, Czarnoksiężnicy z Kusanu!

— Ja się chowam — powiedział Conan ponuro — ale tylko ze względu na szacunek do

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

ciebie, Kassar, mój przyjacielu. Jeśli chodzi o spotkanie z tymi czarnoksiężnikami, to czyż nie mówiłeś mi, że żołnierze przeszukają twój ładunek wełny ostrymi włóczniami? Jeśli czarnoksiężnicy rzeczywiście tak dobrze widzą, to gdzie jest potrzeba, żeby się chować? Kambujańczyk nie odpowiedział, a Conan, z ostatnim wyzywającym spojrzeniem, ponownie zakopał się w stertę wełny. Jej ciężki zapach był duszący dla jego nozdrzy, a łaskoczące włókna drażniły jego pokryte potem ciało, ale na jego ustach widniał ponury uśmiech. Było już za późno dla kogoś, kto był ścigany przez żołnierzy króla Kambuji, kto sprzeciwił się mocy Złotego Tronu Khitari, aby się bać zwykłego głosu dochodzącego nie wiadomo skąd. Nie było to nic ponad czarnoksiężskie sztuczki. Przesady. Mężczyzna, który wokół szyi nosił szczytki Kryształowego Tronu i w ten sposób był pod ochroną swego Boga nazywanego Cromem, nie musiał obawiać się tych barbarzyńców. Wokół niego rozległ się pośpieszny tupot stóp, rżenie osłów i gderliwy ryk poganianego wielbłąda. Nad całym tym zamieszaniem i odgłosami kół powozów usłyszał gwizd, i uderzenie niewolniczego bata oraz tłumione westchnienie bólu. Czarnoksiężnicy rządili wszystkim mocną ręką; była to kraina, gdzie silny człowiek mógł osiąść bogactwa, jakich tylko zapragnął wraz zjedną z szybkich galer. Wtedy mógł spokojnie powrócić do domu. Nawet żelazna potęga Turanu nie mogła równać się ze złotem, które zdobędzie w tym mieście, i za które wybuduje sobie zamek na fioletowych wzgórzach Brythunii, gdzie wiatry nigdy nie bywają zbyt silne, gdzie roją się od potraw i jedwabi oraz słodkookkich Zamoranek z gładką skórą. Wyciągnął swoje umięśnione nogi, a ciągniony przez woły powóz zatrzymał się.

Conan rozpoznał aroganckie głosy, które mogły należeć jedynie do strażników przy Bramie Południowej. Wytężył słuch. Tak, mówili po khitajsku, którego on sam nauczył się w Ruo-Gen, gdzie poznał Tao-Li*. Słyszał, jak Kassar odpowiada, pewny siebie i nie okazujący strachu. Kassar nie obawiał się żadnego żyjącego człowieka, bał się jedynie tych głosów dochodzących z niebios. Ale Conana nawet one nie napawały strachem! Uderzenie o spód powozu dało Conanowi do zrozumienia, że włócznie rozpoczęły przeszukiwanie wełny. Trzy uderzenia i trzy włócznie niemal dotknęły jego ciała! Naciągnął sobie na brzuch skórzaną tarczę i zaklął pod nosem. Na Agrimaha, gdyby jedno z tych stalowych ostrzy go dosięgło, to przy tej bramie rozgorzałaby taka walka, że nie pozostałoby nic innego do zrobienia tym czarnoksiężnikom, oprócz rwania włosów z głów w rozpacz! Chwycił swój miecz w swoją olbrzymią dłoń i ścisnął jego rękojeść. W języku Kambujańczyków Conan nazywał się Diabelski Wiatr. A na gladiatorskich arenach w Angkhor mieli dla niego jeszcze inne imię. Widzieli jego zaciekle napady wściekłości i wiedzieli, że gdy zaatakuje, nikt mu się nie oprze, a nadali mu imię Huragan i miało ono wzbudzać lęk wśród mieszkańców wszystkich nadmorskich terenów, Huragan, który rozwaliał ich statki w drzazgi, i którego gwałtowne i niespodziewane pioruny uderzały niczym miecze ognia. „Huragan”. Niech go znajdują, a dowiedzą się, co Huragan może uczynić w dalekim Khitaju!

Z ust Conana wydobyło się ciche przekleństwo. Jedna z włóczni dosięgła jego uda. Leżał bez ruchu, czekając, a każdy jego mięsień był mocno napięty. Jeśli włócznia ponownie go tknie...

— Wystarczy, Kambujańczyku — doszedł go arogancki głos strażnika. — Nie zapomnij mieć się na baczności, jak będziesz jutro wracał.

Powóz ruszył naprzód, w gorącą ciemność. Conan skrzywił się w ponurym uśmiechu. O, nie, nie zapomni mieć się na baczności, gdy mijając będzie Południową Bramę! Splunął przekleństwem i skrzywił kawałek wełny, by przyłożyć ją sobie do rany na udzie. Słodka, przejmująca nuta ponownie zabrzmiała, a z oddali dobiegł odgłos zamykania bramy i ludzki krzyk. Jakiś biedak został złapany w metalowe zęby olbrzymich wrót. No cóż, przynajmniej Conan był już w środku. Ostrożnie wyjrzał ponad wełnę zgromadzoną nad jego głową, a chłodne, nocne powietrze przyjemnie wypełniło jego spragnione nozdrza, przynosząc ze sobą zapachy tajemniczego miasta Turghol. Był to zapach udeptanego kurzu leżącego na drodze, a wraz z nim jeszcze ostrzejszy zapach przechowywanych przypraw i gęsta słodycz jaśminu. Conan poczuł, jak jego krew się burzy. Odrzucił wełnę na bok. Wśród tych wąskich, krętych uliczek panował głęboki, granatowy zmierzch.

— Opuszcze cię tutaj, Kassar — ryknął. — Niech chroni cię Crom.

Żółte zęby Kassara błysnęły w ponurym uśmiechu.

— Jesteś dzieckiem szczęścia, Conanie. Myślałem, że ich włócznie cię znalazły.

Conan mruknął tylko i jednym, sprawnym skokiem znalazł się na ziemi. Wzrostem swym przerastał olbrzymi wóz, a zdawał się być jeszcze wyższy, gdy poklepał Kambujańczyka po

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

kapeluszu spoczywającym na jego czarnych lokach. Tak, był to olbrzymi, mocno zbudowany człowiek z błękitnymi oczami spoglądającymi bez strachu. Wrzucił do wozu małą torbę, która upadając zagrzecotała z cicha.

Uśmiech Kassara zniknął. Odrzucił torbę.

— Nie, to jest bogactwo czarnoksiężników. Nie śmiem.

Conan wzruszył ramionami.

— Czy to mnie zaczarowało? Nie, głowa tego czarnoksiężnika będzie jeszcze przez wiele dni dzwoniła od ciosu, jaki mu zadałem! Weź jeszcze to!

Wyciągnął długie ostrze swego noża z pochwy i wbił go głęboko w wełnę na wozie. Nóż zatrzęsł się wydając dźwięk podobny do brzęczenia srebrnego dzwoneczka,

— Trzymaj się, bracie.

Conan oddał się w ciemności okrywające to dziwne miasto czarnoksiężników, wzdłuż ulic pełnych okien, wysokich, białych ścian i dachów ozdobionych spiżowymi szpicami. Jego bystre oczy powiodły wzrokiem po wysokich wieżach i zatrzymały się z ciekawością na jednej z nich, o wierzchołku ozdobionym szczerym złotem, na którym czerwono pobłyskiwały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Przez chwilę ukazały się jego zęby w ponurym uśmiechu. Jak na człowieka o takiej posturze, poruszał się bardzo zręcznie i szybko. Głowa jego ozdobiona była białym szpiczastym kapeluszem, a ciało jego okrywał biały, olbrzymi płaszcz — wszystko to królewskie dary od wodza plemienia do którego należał Kassar. Ci dzicy ludzie poznali go w bitwie i nie uznawali go za wroga. Jednak później połała się krew i nić przyjaźni została zerwana.

Postawni wojownicy Imperatora Khitaju także zaznali jego stali, a przedtem wszyscy wojownicy od Zingary aż po Turan i nawet jeszcze dalej na wschód, aż za Morze Lemuryjskie, gdzie nigdy wcześniej ludzie jego rasy nie podróżowali. Z tego powodu musiał iść na północ w nadziei, że przekroczy błękitne jezioro Ho w drodze do domu. Wiedział, że nie było powrotu tam, skąd przychodził. Uczynił sobie zbyt wielu wrogów z wpływowych ludzi. A czy taki człowiek, jak Conan powinien trząść się teraz w obliczu kilku czarnoksiężników i ich niewolniczych straży? Barbarzyńca wznosił głowę do góry i wybuchnął śmiechem, który odbił się upiornym echem po pustych ulicach.

Nagle, nad jego głową zabłysło bladoczerwone światło. Przywarł do ściany zbudowanej z blyszczącego marmuru. Wyciągnął miecz z pochwy i zawinął nim w powietrzu, a światło odbijające się od niego rozciągnęło w mroku błękitną nić. W górze miecz zabłysł w czerwonym świetle i wyglądał niczym zbroczony krwią. Z niebios doszedł słaby, złośliwy głos.

— Pozostań, gdzie stoisz, niewolniku, aż do chwili, gdy nie nadejdzie strażnik!

Światło przygasło, a zęby Conana zabłysły w cichym uśmiechu. Niech strachliwi głupcy czekają sobie na strażnika. Conan miał co innego do roboty. Mimo to, może dobrze byłoby wypróbować swoją stal na strażnikach Turgholu!

— Do diabła z tymi czarnoksiężnikami z Hsia — mruknął i dotknął kawałka

Kryształowego Tronu, który zawieszony był wokół jego szyi. Jego obecność dodała mu pewności siebie. Nagle z tyłu dobiegł go odgłos, który znał aż za dobrze, dźwięk, który odbijał się echem po wszystkich zakątkach cywilizowanego świata, równy tupot maszerujących żołnierzy i metaliczne odgłosy ich broni. Przez moment zęby Conana ukazały się w grymasie, złapał swój miecz, jednak potem pokręcił głową. Mógłby ich wszystkich zabić, ale to tylko naśle na niego wszystkich żołnierzy Turgholu. Lepiej od razu im uciec. Tupot maszerujących ludzi był coraz bliżej, tuż za zakrętem tej wijącej się, błotnistej uliczki. Nie było w okolicy żadnej dziury, w której mógłby się schować, by przeczekać aż przejdą. Nie było też żadnego rogu, za którym mógłby się ukryć. Ale była ściana uwieńczona spiżowymi szpicami! W jednej chwili jego mocne ramiona wyciągnęły się w górę i uchwyciły się szpiców. Jednym ruchem podciągnął się w górę i już jego buty z jeleniej skóry uwolniły się z wysysającego wszystko błota. Szybkim ruchem wciągnął się na wysokość szpiców, przylgnął do nich całym ciałem i leżał tak nieruchomo na zwieńczeniu ściany. Jego prawa dłoń sięgnęła po rękojeść miecza. Zza rogu ukazała się grupa mężczyzn w hełmach. Było ich dziesięciu i maszerowali za swoim kapitanem. Mieli lekkie włócznie

przytrzymane do ramion, wraz z łukami i strzałami, a u boków zwisały im rzeźbione miecze. Conan przyjrzał im się dokładnie. Z tej wysokości mógł wyróżnić co najmniej połowę z nich, a oni nie zorientowaliby się nawet, skąd dobiegł cios. A co z resztą? Usta mu się otworzyły. Był to dobry sposób, jak każdy inny. Dobra stal w dłoni i gorąca walka, a barbarzyńca czuł już wzrastającą w nim złość, furję, która zdobyła dla niego imię Huragan. W jego oczach pojawiły się światełka przypominające błyskawice, a jego gardło się ścisnęło. Miecz wznosił się w górę.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichler

— Na Balara — szepnął przywódca dziesiątki. — Na Ognisty Wichler... przerwał zaklęcie! Kapitan wskazał drżącą ręką na miejsce, w którym ślady Conana nagle się urywały. Mężczyźni spoglądali wokoło z lękiem, jednak hełmy nie dawały im szansy spojrzeć w górę. Nie pomyśleli nawet, by spojrzeć w górę, gdzie we wzniesionym mieczu czyhała na nich niechybna śmierć.

— Jakiś potężny czarnoksiężnik — powiedział kapitan.

— Jakiś potężny czarnoksiężnik przerwał zaklęcie Najwyższego! On... — Mężczyzna spojrzął w cienie ciemności spoza swego ramienia. — On odszedł. Nic nie pomoże, jeśli tu zostaniemy. Tędy, za mną. Tędy...

Zanim zdążyli uczynić trzy kroki, kapitan już biegł, a mężczyźni pobiegli za nim pędem, pobrząkując zbrojami i mieczami.

Śmiech wypełnił gardło Conana, ale zdusił go, spojrzął z wyzwaniem w ciemność nocy, gdzie jeszcze przed chwilą błyszczało bladoczerwone światło. Ponownie dotknął kawałka Kryształu.

— Ludzie rządzeni strachem — mruknął pod nosem — w głębi duszy są tchórzami. Nic tutaj nie może skrzywdzić wolnego człowieka z wolną duszą.

Conan stanął na nogach na szczycie muru, skoczył lekko w błoto i z pośpiechem ruszył śladem strażników. Zatrzymał się na chwilę na skrzyżowaniu wąskich uliczek, żeby nabrać orientacji, a potem ruszył dalej. W końcu, zatrzymał się przed drzwiami ozdobionymi złotymi zielonymi pasami i uderzył w nie mocno ręką i mieczem. Wskazówki Kassara przydały mu się. Od tej chwili był samodzielnym człowiekiem i sam mógł decydować, jaką drogę wybierze i jaki los go czeka. Zamruczał z cicha, gdy cierpliwie czekał na odpowiedź na swoje walenie.

Po chwili, drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich pozbawiona wyrazu, żółta twarz ze skośnymi oczami.

— Otwórz, Tsien Hu! — krótko rozkazał Conan. — Przybywam w interesach i mam dla ciebie ofertę, która da na jakiś czas zajęcie twoim lepkiem, żółtym palcom. Kassar mnie przysłał.

Drzwi zamknęły się, ale już po chwili otworzyły się na oścież. Khitajczyk skłonił się nisko, z rękami wygodnie skrzyżowanymi na swoim grubym brzuchu. Poprowadził wzdłuż przegrody zbudowanej, aby odstraszyć diabły Żółtego Królestwa; diabły, które mogły poruszać się tylko przez drzwi i okna, i tylko w prostej linii. Szurając nogami przeszedł do pokoju obwieszzonego bogatymi dywanami z Paikangu i Wan Tengri, a następnie poprosił wytwornie Conana, by usiadł.

— Ty nie jesteś Kusańczykiem, Uttarem ani tym bardziej Kambujańczykiem — mruknął Tsien Hu swymi zawsze uśmiechniętymi ustami, podczas gdy jego oczy z ciężkimi powiekami bacznie przyglądały się gigantowi siedzącemu przed nim ze skrzyżowanymi nogami. — Jesteś barbarzyńcą z Zachodu.

Conan poruszył się, ale z trudem udało mu się opanować napinające się mięśnie. Powinien już przyzwyczać się do tego, że te żółtoskóre diabły wiele wiedzą. Mruknął więc tylko przyznając mu rację.

— Nie powinno cię to obchodzić, żółty wodzu — powiedział krótko. — Potrzebuję pieniędzy.

Wygrzebał parę rubinowych kolczyków z ukradzionej torby, stanowiącej część łupu, który wcześniej ofiarował Kassarowi i rzucił je niedbale na leżący na podłodze chodnik. Skrzywił się lekko w ponurym uśmiechu. Uszy tego czarnoksiężnika będą jeszcze bolały przez jakiś czas.

Conan potrząsnął głową ze smutkiem.

— Rubiny Ballara — powiedział, a głos jego przeszywała rozpacz. — Zdjąłem je z uszu mojej matki niecałe dwa księżycy temu. Zaiste, była cudowną kobietą, ale nie chciałaby, żeby jej własny syn przymierał głodem.

— A więc... — Tsien Hu przebierał w krwistoczerwonych kuleczkach palcami o długich paznokciach. — A więc... rubiny Ballara. — Podniósł je i zważył w żółtej dłoni. — Mówisz, że pochodzą z uszu twojej matki.

Dłoń Conana zamknęła się na rękojeści miecza.

— Zaiste — powiedział miękko. — Z jej małych, słodkich uszu.

Kuleczki klejnotów zafascynowały Conana i nie mógł oderwać od nich oczu. Mogłyby ozdabiać uszy każdej księżniczki, którą mógłby sam osiąść, gdyby po zdobyciu honorów i bogactwa wysłał swoją galerę z powrotem na Zachód. Uśmiechnął się, a potem oczy jego rozszerzyły się z niepokoju. Nagle w żółtej dłoni Khitajczyka, na miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą błyszczały te niezwykle klejnoty nie było nic! Tsien Hu uśmiechnął się i przyjaźnie

pokiwał głową.

— Jest tak, jak myślałem, barbarzyńco — powiedział. — Klejnoty zostały ukradzione jakiemuś czarnoksiężnikowi.

Niczym wąż Conan skoczył w kierunku Khitajczyka. Jego lewa dłoń zacisnęła się na grubym, żółtym gardle, a w oczach jego była złość tak ognista, jak rubiny Ballara.

— Złodziej! — zawył. — Kłamca! Oddaj mi klejnoty. Czy myślisz, że tak łatwo uda ci się mnie oszukać? Mnie, Conana?

Potrząsał Tsien Hu niczym małpą, aż jego oczy wypełniły się śmiertelnym strachem.

Trząsał się w tym dzikim uścisku.

— Nie, barbarzyńco. Nie chciałem cię okłamać. W tym dziwnym mieście dzieją się dziwne rzeczy. Nikt nie może kraść w tym mieście, ani być w posiadaniu skradzionych rzeczy, bo jeśli coś ukradnie, a właściciel zorientuje się, że to coś mu zginęło, to przestaje to istnieć. Czarnoksiężnicy rządzący tym miastem rzekli, że to my wierzymy w ich istnienie, a w co człowiek nie wierzy, to nie istnieje. Pomyśl, czy olbrzymie drzewo upadając narobi huk, jeśli nie znajdzie się ucho, które go usłyszy? A więc rzeczy istnieją tylko dzięki temu, że o nich myślimy. Jeśli czarnoksiężnik nie znajdzie jakiejś rzeczy, ma moc przywołać ją do siebie i tym samym przestaje ona istnieć dla złodzieja.

Conan skrzywił się w uśmiechu.

— To kłamstwa, naiwne kłamstwa, ty opasty złodzieju! Gdyby to miało być prawdą, wtedy z pewnością nie znajdę tych rzeczy ukrytych gdzieś w twoim ubraniu, ha? — Powoli rozebrał Tsien Hu z jego odzienia. Potem przecesał chodnik palcami i podniósł się spoglądając wokół niczym zwierzę w klatce. Nie było już żadnego innego miejsca, gdzie mogłyby być ukryte klejnoty, a jednak...

— Widzisz, barbarzyńco — zaskomlał nagi Tsien Hu, usiłując zasłonić swoje żółte ciało

— jest tak, jak ci mówiłem. Nic nie istnieje, o ile ktoś o tym nie myśli, a właściciel tych błyskotek...

Conan zawył z pasją:

— Głupota i kłamstwa! Dlaczego miałyby nie istnieć pod wpływem moich myśli, ty opasty złodzieju?

Nagle barbarzyńca przypomniał sobie o klejnotach ukrytych przy pasie. Oderwał skórzaną sakiewkę od pasa i usiłował opróżnić jej zawartość na otwartą dłoń. Jednak nie wysypały się żadne klejnoty. Nie pozostał ani jeden kamień z małej fortuny, jaką ukradł czarnoksiężnikowi. I nagle wyskoczyła ku niemu podła, płaska, trójkątna głowa. Kły węża skoczyły ku otwartej, oczekującej dłoni Conana.

ROZDZIAŁ II

WALKA ZE STRAŻNIKAMI

Tylko ktoś o mięśniach wytrenowanych w walce mógłby poruszyć się szybciej niż skok węża. Mógł to uczynić tylko ten człowiek, którego tłumy w Angkhor ochrzciły mianem huraganu. Conan zadziałał bez chwili namysłu, z nieprawdopodobną szybkością, jaka charakteryzuje ludzi, których przeżycie zależy od bystrości ich oczu i siły ich rąk. Obie ręce poruszyły się jednocześnie. Wijący się wąż i skórzana torba w jednym geście wyleciały aż do ozdobionego jedwabiem sufitu. Miecz Conana zasyczał, gdy wyciągnął go z pochwy i w jednej chwili, w powietrzu przepołowił węża na dwa bezbronne kawałki.

Usta barbarzyńcy wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu. Jego wytrenowanie w walce nie pobudzało jego dumy. Czyż wcześniej już nie przecinał mieczem strzał w locie? Czyż to po raz pierwszy użył ostrego miecza, by obronić się przed ich kłującym żądłem? Podrzucił miecz w górę i złapał go sprawnie za rękojeść.

— Coś mi się wydaje, ty żółty gadzie — powiedział spokojnie — że ty sam jesteś czarnoksiężnikiem. Te opowiadki, że to rzekomo ludzie myśląc o rzeczach sprawiają, że zaczynają one istnieć, wydają mi się trudne do uwierzenia. Jednak w Kambuji byłem świadkiem takich sztuczek umysłu, że widziałem tygrysy tam, gdzie ich nie było i zdaje mi się, że ty jesteś jednym z takich sztukmistrzów, po prostu czarnoksiężnikiem. Myślę, że to ty zaczarowałeś te kawałki kolorowego kryształu w mojej sakiewce. Dobrze, znam próbę, która niezawodnie wskaże, czy jesteś czarnoksiężnikiem. Wszyscy oczywiście wiedzą, że tylko zaczarowana stal może zranić czarnoksiężnika. Mój miecz nie jest zaczarowany, w związku z tym, jeśli nie przeżyjesz, gdy poderżnę to twoje tłuste gardło, będę wiedział, że pomyliłem się co do ciebie, Tsien Hu i wtedy zawsze będę myślał o tobie, jako o uczciwym człowieku. Uśmiech Tsien Hu był przerażający.

— To przykry sposób, barbarzyńco, ale czuję, że mój honor został znieważony. Klejnoty w

istocie zniknęły z moich rąk. Dlatego — jego głos wypełnił się nagłym smutkiem — dlatego musisz pozwolić, że podaruję ci prezent.

Zanim Conan zdążył uczynić coś ponad uśmiech, w drzwi uderzył grom mieczy.

— Otwieraj, Tsien Hu! — zagrzmiął głos. — A ty, barbarzyńco, poddaj się, ty niewolniku Najwyższego!

Uśmiech Conana nie znikł mu z twarzy.

— To trzeci raz — powiedział wolno — gdy nazwano mnie dzisiejszego wieczora niewolnikiem. A wcale mi się to imię nie podoba. — Jego oczy przejechały po pokoju i szybkim ruchem chwycił zasłony kryjące drzwi. — Idź do skarbcza, Tsien Hu i przygotuj ten prezent, który tak hojnie mi ofiarowujesz. Ja tymczasem zajmę się tą drobną sprawą. Rzucił Khitajczykowi przelotne spojrzenie przez ramię, lecz on już zniknął. Żadna z zasłon wiszących na ścianach nie poruszała się, więc nie można było stwierdzić, dokąd poszedł. Conan zaklął tylko. W takim razie będzie musiał walczyć mając zdrąjcę za plecami? Odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął głębokim śmiechem.

— Chodźcie, głupcy — krzyknął. — Chodźcie i weźcie... niewolnika.

Jednym machnięciem miecza rozwalił zasuwę zamykającą drzwi. I w tej samej chwili zgromadzeni na zewnątrz ludzie zaczęli wdzierać się do środka. Ich broń była obnażona i migoczące, żółte światło wielkiej lampy zawieszzonej u sufitu odbiło się złościście w ich stalowych zbrojach i rzeźbionych hełmach. Conan zaśmiały się ponownie, a jego miecz świsnął niczym pieszczota języczka żmii. Leciutkie pociągnięcie koniuszkiem miecza po gardle, a potem mocne uderzenie w wyciągnięte, uzbrojone ramię. Dopiero po tym drugim ciosie krzyk złości i rozpacz wyrwał się z ust Conana.

Uderzał pewnie. Nie potrzebował żadnej gwarancji, jeśli o to chodziło. Całymi latami życie jego zależało od błyskawicznej szybkości jego oka i uzbrojonego ramienia. Na podłodze powinni leżeć dwaj mężczyźni, jeden z głową niemalże odrąbaną od ramion, a drugi bez ręki. Powinni tam leżeć, ale nie leżeli! Na błyszczącej stali miecza Conana nie było żadnej plamy, żadnych purpurowych śladów krwi, które świadczyć by mogły o jego zwycięstwie!

W zamian za to, miecz kapitana wzniósł się, by przeciągnąć po piersiach barbarzyńcy.

— Nie możesz zranić zakłętých strażników Turghol, głupcze — powiedział kapitan z pogardą. — Odrzuć miecz!

Conan odskoczył o krok, by oddalić się od niebezpieczeństwa, jakie niósł ze sobą miecz.

Jego oddech był szybki i suchy, a w jego oczach wzrastała dzika furia. Zakłęcia!

Gdziekolwiek by się nie ruszył, napotykał na machinacje tych przeklętych czarnoksiężników.

A więc jego miecz, jego wspaniała stal nie mogła ich zranić. A jednak nosili zbroje! Jeśli nosili zbroje, musiał istnieć sposób, by ich zranić.

Mężczyźni zaczęli tłoczyć się spoza zasłony i otaczać go z wolna kręgiem. Kapitan i dziesięciu ludzi. Szybkim ruchem Conan schował miecz z powrotem do pochwy. Zdawał się potężny w tych purpurach i złocie obitych ścian. Szpiczasty kapelusz upadł na podłogę, ukazując ogień, jaki płonął w jego twarzy. Jego żyłaste pięści były mocno zaciśnięte.

— Nazwałeś mnie niewolnikiem — powiedział, a jego głos zadudnił mu głęboko w piersiach. — Z pewnością wojownicy, których nie można zranić nie muszą obawiać się niewolnika?

Kapitan miał śmiejącą się, chytrą twarz kota.

— Odrzuć miecz, niewolniku — rozkazał. Wykonał drobny ruch ręką, a mężczyźni zbliżyli się z mieczami skierowanymi na niego niczym włócznie.

Conan zdawał się wahać przez chwilę, a oczy jego, ukryte pod ciężkimi brwiami ukrywały jego zamiary. Głośno wypowiedział swoją myśl:

— Rzucić mój miecz, tak? Jest to coś, czego nigdy nie uczyniłem, nawet, gdy stanąłem twarzą w twarz z podwójnym oddziałem potężnych, najemnych wojowników Imperatora Kambuji. Co prawda, nie byli oni zakłeci, ale mieli motywy, które uznawali za słuszne. Popatrz, kapitanie. — Conan zrobił pół kroku do tyłu i poczuł jedwabisty dotyk dywanu zawieszzonego na ścianie, na swoich wyciągniętych do tyłu pięściach. — Popatrz tylko, oni nie walczyli o jakąś drobnostkę, bo to ja ukradłem Imperatorowi Kambuji jego najulubieńszą konkubinę i...

To, co uczynił było dziełem tytana. Dywany z Wan Tengri są jedwabiste i miękkie, i można je przeciągnąć nawet przez bransoletę drobnej kobiety, ale są ciężkie i sam ich rozmiar i opór powietrza sprawiły, że rzecz, jaką miał zamiar uczynić Conan zdawała się niemożliwością. Pojedynczym ruchem obydwu rąk zerwał dywan z zaczepów i zanim te miecze, oddalone nie więcej niż metr, zdolały go dosięgnąć, zarzucił całą, ciężką płachtę na głowy strażników niczym retariusz na arenie rzucający sieć na rywalizującego z nim

gladiatora. Conan mógł wówczas uciec, jednak jego złość została już rozbudzona.

— A więc jestem niewolnikiem! — szepnął.

Przysunął się, podczas gdy mężczyźni przecinali dywan. Sięgnął pod spód i złapał kapitana za kostki u nóg. Jeśli nosili broje, mogli być zranieni, a żaden człowiek nie powinien nazywać Conana niewolnikiem, a tym bardziej nie powinno mu to uść płazem! Olbrzymie ramiona barbarzyńcy wygięły się, a jego uda napięły. Wyprostował się i uderzył głową kapitana o podłogę, niczym chłopiec, który uderza głową węża o skałę! Hełm podskoczył i Conan w końcu ujrzał płynącą krew.

Była ona dla Conana niczym czerwone wino, którym chętnie skropiłby swoje wysuszone wściekłością gardło. Odrzucił głowę w potężnym śmiechu, ale uchwyt na kostkach kapitana nie osłabł. Podniósł ciało mężczyzny z podłogi i rozbijał je w swoich mocnych ramionach, raz, drugi, trzeci, podczas gdy ostra stal rozdarła dywan i jeden człowiek, potem drugi wyrzebywali się na zewnątrz z mieczami wzniesionymi w górę, gotowymi do zabijania! Conan przy czwartym rozmachu wznosił ciało do góry i zakręcił nim nad głową. Jego krzyk przypominał ryk dzikiego zwierza. Jego maczuga z ludzkiego ciała walnęła strażnika w piersi. Uderzenie podniosło go z ziemi niczym zabawkę i rzucił nim w jego kompana. Maczuga okryta była stalową zbroją. Mężczyźni nawet się nie poruszyli.

Jeszcze dwa razy uderzyła mocno broń Conana i ci, którzy stali jeszcze na nogach wrzeszcząc wybiegli na ulicę. Conan rzucił połamane szczątki kapitana za nimi. Dywan, który zerwał ze ściany ukazał drzwi i Cymmeryjczyk, podniósłszy swój kapelusz, przeszedł przez nie. Jego krok był lekki, a krew jego wygrywała hymn zwycięstwa w żyłach. Zamruczał pod nosem. Przerażone piski kobiet dobiegły teraz jego uszu. Drzwi nie otworzyły się pod jego dłońią i napiął mięśnie ramion, by je wyważyć z zawiasów, po czym wszedł do środka.

— Wyłaż, Tsien Hu, ty śmierdzący szczurze — zawył. — Wyłaż zanim rozwalę twoją spelunę w kawałki.

Znajdował się w pokoju, gdzie wonna fontanna wygrywała swoją muzykę i wokół panował zmysłowy zapach olejków. Nozdrza jego wypełniła woń perfum. Światła były tutaj przyćmione. Były to pomieszczenia dla kobiet. Wzdrygnął się. Tsien Hu był człowiekiem, który schowałby się wśród swoich kobiet. Zrobił trzy duże kroki przez pokój, a z drugiej strony odsłoniła się przezroczysta zasłona, zza której powoli wyłoniła się kobieta. Jej piersi zakryte były złotymi płytkami ozdobionymi szlachetnymi kamieniami, a wyłożona klejnotami przepaska przytrzymywała jej przezroczystą spódnicę z jedwabiu, która wirowała za każdym jej tanecznym krokiem. Jej włosy były kruczoczarne i mocno przylegały do głowy. Z jej uniesionego do góry podbródka biła duma.

— A więc Tsien Hu próbuje mnie oczarować — powiedział lekko Conan. — Jednak jest to podarunek, którym nie należy wzgardzić.

Podszedł do dziewczyny, a ona spojrzała bez strachu w jego twarz.

— Ty jesteś jeszcze dzieckiem — ryknął Conan. — Ten stary pies powinien się wstydzić.

Mimo to, nie mogę oprzeć się podziwowi dla jego wyboru. — Szybkim gestem Conan zerwał złote płytki z jej piersi. Odskoczył z krótkim śmiechem. — Bardziej potrzebuję bogactw niż kobiety, dziecinko — powiedział. — A to mi pomoże. Tak, one mi pomogą. Powiedz temu grubemu głupcowi, Tsien Hu, że jeśli chce zachować swoje gardło w całości, lepiej będzie dla niego nie usiłować odzyskać tych klejnotów.

Dziewczyna stała tam, gdzie ją zostawił, tuż obok przezroczystych zasłon i pluskającej, wonnej fontanny. Jej smukłe ramiona skrzyżowały się na piersiach, a w oczach jej pojawiło się zdumienie. Przez chwilę Conan zawahał się w drzwiach, ale potem ruszył ciężko drogą, którą przyszedł. Jego zemsta nie była pełna, ale może było lepiej, że Tsien Hu pozostał przy życiu. Nie mógł zaufać Khitajczykowi, ale może to tylko strach nim powodował.

Cymmeryjczyk wyszedł na ulicę i zatrzymał się, podnosząc głowę w górę, z oczami przeszywającymi czarne niebo. Było to bogate miasto i można było ludzką bronią zwalczać zakłęcia. Popatrzył na zwłoki kapitana straży leżące z twarzą w błocie. Zaklął mocnym głosem. Żołnierz zasługiwał na coś lepszego niż to, nawet jeśli był to tylko żołnierz tchórzliwych czarnoksiężników. Podniósł więc zwłoki i zaniósł je do domu Tsien Hu, gdzie złożył je na najlepszych jedwabiach. Ze złośliwym uśmiechem Conan oddalił się w kręte, wąskie uliczki Turghol i szedł tak samym środkiem drogi. Niech tchórzliwe psy czają się w cieniach, niech strażnicy broczą w błocie i chodzą po wyboistych drogach. Wojownik sam wybierze swoją drogę!

Od czasu do czasu spoza zamkniętych murów dochodziły dźwięki lutni lub zawodzenie jednostrunowych skrzypków trubadura. Od czasu do czasu zapach olejków i przypraw wypełniał jego nozdrza. Ale on szedł dalej, ciągnąc swoje obute stopy przez błoto uliczek. Z

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

niebios dochodził nieprzerwany, tępy odgłos. Wznosił się i opadał gardłowym zawodzeniem. Co jakiś czas przerywany był cienkim piskiem przypominającym śmiech diabła. Ognisty Wicher, czy był to Ognisty Wicher Turghol? Tutaj, wśród ulic wciąż jeszcze panował chłód. Dusza Conana była niespokojna. Miało to coś wspólnego z jego przeświadczeniem, że był zamknięty w tym mieście. Dla wolnego człowieka każde ograniczenie było bolesne. Czuł się, jak w zasadzce. Tak, w chwili, gdy bramy się zamknęły i gdy Ognisty Wicher zaczął zawodzić wśród czarnych piasków, żadne zwierzę ani człowiek nie mogło przeżyć na zewnątrz murów. Wicher ten wypaliłby ludzkie wnętrza i uduł go na śmierć; zostawiłby ludzkie ciało niczym dobrze upieczonego prosiaka na równinach. Conan podniósł swoją wyzywającą, dumną głowę i zwrócił oczy ku wysokiej, środkowej wieży Turghol. Pod biczem Ognistego Wichru, płonęła niczym wielokolorowy klejnot, przerażająco piękna, niemal zwiastująca niebezpieczeństwo.

Przez chwilę Conanem wstrząsnęły wątpliwości, ale od razu odsunął je od siebie. Po raz kolejny zaczął mrużyć pod nosem. W sakiewce miał klejnoty, których istnienia Tsien Hu nie ośmielił się odwołać. Musi znaleźć innego lichwiarza i sprzedać je. Muszą istnieć sposoby, których mógłby użyć silny człowiek. Kto wie? Może jego przeznaczeniem jest stworzyć sobie z tego tajemniczego miasta swoje własne imperium? Jeśli tylko znajdzie jedno oparcie dla swoich nóg, to wzniesie się i wyczyści to miejsce z czarnoksiężników tak, że wszyscy oni znajdą się w krystalicznych, błękitnych wodach jeziora Ho. Znajdą się niewolnicy, którzy będą mu służyć i konkubiny podobne do tej słodkiej istoty, której klejnoty niósł teraz w sakiewce. Zaklęcia, też coś!

Conan stał z rękami opartymi na biodrach i przyglądał się mistycznej wieży. Jeśli modlił się do najpotężniejszego z bogów, Cromy, i skoro nosił kawałek Kryształowego Tronu na szyi, zwalczenie tych czarnoksiężników i wyzwolenie tych biednych głupców, znajdujących się pod ich mocą, było niemalże jego obowiązkiem. Najłatwiej byłoby to uczynić, gdyby sam został władcą. Wtedy musieliby uwierzyć w Cromę, bo inaczej poderżnęłoby im gardła. Jednocześnie bogactwa z wolną wejść w jego posiadanie. Conan pokiwał głową z satysfakcją. Tak, a więc to zostało ustalone. Zbierze grupę silnych mężczyzn. Muszą być mieszkańcami miasta, a nie tymi zabobonnymi Kambujańczykami. Najlepiej, gdyby byli to złodzieje. W pełnej ekstazie Conan podrzucił do góry błyszczący miecz. Najpierw musi znaleźć swoich złodziei. I chyba wiedział już, gdzie ich szukać. Jeśli czarnoksiężnicy mogli odwołać istnienie ich własności, złodzieje poświęcając się kradzieży broni i żywności z dużych magazynów, gdzie trudno jest zauważyć kradzież. Bo złodzieje zawsze będą kradli, mają to już we krwi. Conan uśmiechnął się chytrze. Kto mógłby znać się na tym lepiej niż on. Poszedł ulicami, aż w pewnej chwili usłyszał dźwięki maszerujących ludzi i poszedł ich tropem. W końcu, zaprowadzą go do domu straży i tam zorientuje się, skąd czerpią swoje zapasy. Sam potrzebował trochę broni, jako że strażnicy zdawali się być odporni na jego stal. Przydałby się nóż, mogący zastąpić ten, który dał Kassarowi i maczuga, nieco lepsza od ciała kapitana. W tej samej chwili straż zniknęła w niskim budynku stojącym przy wschodnich murach Turghol. Conan poczuł gorący zapach Ognistego Wichru. Schował się w ciemniejszym rogu i czekał. Na tle błękitu nieba mógł dojrzeć potężny cień strażnika krocącego po murach. W nieustającym zawodzeniu Ognistego Wichru mógł nawet usłyszeć wolne tupanie stóp w sandałach. Conan poczekał, aż strażnik doszedł do najdalszego odcinka swego posterunku, po czym podszedł do domu straży długimi, cichymi krokami. Jedyne otwory, z których dobiegało światło z wnętrza były długie, łukowate szpary, zbyt wąskie, by ktokolwiek mógł się przez nie przecisnąć. Ściany wykonane były z .mułu suszonego na słońcu. A dach? Conan poczekał na okazję, po czym szybkim ruchem podskoczył i złapał się brzegu płaskiego dachu wieńczącego budynek i z łatwością dźwignął się w górę. Mruknął z satysfakcją, mocno przylegając do murów miasta i rozpoczął wbijanie miecza w twardą ziemię, z której zbudowany był dach.

Zdołał wbić się zaledwie kilka centymetrów w głąb dachu, gdy usłyszał miecz bijący na alarm w spiżową tarczę. Podniósł głowę do góry, ale nie mógł dojrzeć, czy to on był przyczyną tego alarmu. Chyba raczej był to jeden ze złodziei, których sam poszukiwał. Conan skinął głową z zadowoleniem. Jakie znaczenie miały te zaklęcia, jeśli ktoś miał taki umysł, jak Conan? Wyprostował się i podszedł do brzegu dachu.

Na tle cieni przeciwległego muru pokręcony, mały człowiek wił się niczym płomień ognia. Jego ubranie stanowiły brunatne szmaty i zwrócił swe oczy, by spojrzeć na Conana. Zdawał się być bardziej podobny do zwierza ze wzgórz niż do ludzkiej istoty. W każdej chwili gotowy był do ucieczki, a nogi jego były szybkie i umięśnione. Trzej strażnicy szli w jego stronę. Wzniesiono alarm z dwunastu tarcz i wśród tych metalicznych odgłosów Conan

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichur

usłyszał nawoływania kolejnych strażników szybko nadciągających z ulic miasta. Jeszcze inni wylegli z budynku. W ciemności, których z żołnierzy napiął łuk i powietrze przeszył świst strzały. Uciekający mężczyzna upadł, ale już po chwili od nowa się podniósł. Jednak jego krok był już wolniejszy.

Conan spokojnie odwiązał swój łuk wykonany ze zwierzęcego rogu i będący pożegnalnym prezentem, a zarazem nagrodą za wygraną walkę na arenie Angkhor.

— Do mnie, przyjacielu! — krzyknął chłodno. — Do mnie! Ja cię ochronię!

Białe twarze strażników zwróciły się w jego stronę, a z murów dobiegł go zgrzytliwy krzyk sprawującego wartę. Conan napiął z łatwością ozdobioną końskimi włosami — zgodnie ze zwyczajem Kambujańczyków — strzałę ze stalowym grotem, aż dotknęła jego ucha.

Brzęknięcie łuku, w nagle nastącej ciszy, było jak ryk zranionego lwa w szczękach szakala.

Strzała była niczym ciemna linia w mroku nocy i pomknęła prostym, równym torem.

Mężczyzna na murze wrzasnął. Jego ramiona wzniosły się ku niebu i upadł w dół, znikając z pola widzenia.

— Ładny skok, przyjacielu — zarechotał Conan. Powietrze zawirowało od szybko wysyłanych strzał. Uwaga została odwrócona od zranionego przy murze i skierowana na to nagłe wyzwanie dobiegające z dachu. Conan znalazł zajęcie, które lubił prawie tak samo, jak machanie mieczem. Ani przez chwilę nie stał spokojnie. Strzały leciały jedna za drugą z jego mocnego łuku i każdy dźwięk przez nie wydawany odbijał się echem krzyku dochodzącego z dołu. Jego ciągle poruszanie się nie dawało strażnikom szansy, by go trafić. Gardło jego wypełnił śmiech. Śmiech i złościwości rzucane pod adresem zgromadzonych na dole strażników.

— Zaczarujcie mnie, głupcy — krzyknął — bo inaczej nikt żywy się tu nie znajdzie o świcie. Przyprawdźcie tych waszych czarnoksiężników. Co, nie macie zaklęcia na kawałek kija i stali? Na strzałę wysłaną przez pośledni łuk? Co? Czyżby czarnoksiężnicy pozbawili was całej waszej męskości?

Grupa strażników ukryła się pod murem i pomaszzerowała z tarczami podniesionymi w górę i tworzącymi solidny dach nad ich głowami. Z tego ukrycia zaczęli wypuszczać strzały w kierunku przerażającej postaci stojącej na dachu.

— Dobrze! — kibicował im Conan. — Może to by i poskutkowało, gdybyście mieli do czynienia z kimś innym! Jednak jak możecie zwalczyć Conana, diabelski wiatr z wysokich niebios?

Łuk napiął się jeszcze bardziej, gdy naciągnął kolejną strzałę. Łuk zadźwięczał, a strzała uderzyła w tarcze, niczym w bęben, niczym w dziurawy bęben. Prowadzący grupę pod tarczami upadł ze strzałą w czaszce, a reszta żołnierzy upadła na boki. Teraz dopiero strzały skoczyły z łuku Conana! Usłyszał za sobą ciche kroki, odwrócił się ze strzałą już naciągniętą i zobaczył pomarszczoną, małą twarz spoglądającą na niego.

— Wołałeś mnie, przyjacielu — szepnął mężczyzna — a więc jestem!

Świst strzał zamarł w powietrzu. Z dołu dobiegł tupot biegnących strażników usiłujących znaleźć schronienie, a Conan rzucił uśmiech w kierunku małej postaci złodzieja w brunatnych łachach. Był garbaty i jedna ręka zwisała beładnie z jego ramienia, ale oczy płonęły w ciemności i była w nich wiedza i odwaga. Conan wyciągnął prawą dłoń i ucisnął pokręcone palce złodzieja.

— Trzymajmy się razem — powiedział.

— Najpierw opuść swój łuk, przyjacielu — odpowiedział złodziej. — A więc jesteś jednym z nas? Chodź. To nieodpowiednie miejsce na zawieranie przyjaźni.

Odwrócił się i pokuśtykał wzdłuż dachów magazynów, a Conan, rzuciwszy pełne rozczarowania spojrzenie na dziedziniec i przeszyte strzałami ciała martwych strażników, ruszył za nim. A więc jego podbój Turghol się rozpoczął! Z tym drobnym człowieczkiem i jego przyjaciółmi szybko uda mu się zniewolić czarnoksiężników i osiąść ich bogactwo!

— Coś mi się zdaje, przyjacielu — mruknął Conan — że ten mój łuk i ogień strzał mają swoistą magię w sobie. Zdaje się, że uda nam się znaleźć miejsce dogodniejsze dla zawarcia naszej przyjaźni.

— Nie mów tak głośno, przyjacielu — jego kaleki towarzysz szepnął z lękiem w głosie. — Ognisty Wichur ma uszy!

— A więc je odetniemy — Conan odrzucił w tył głowę i zaśmiał się. — Albo je tylko trochę nadetniemy.

— Na imię Agrimaha, przyjacielu, bądź cicho!

Conan pokręcił głową i ponownie się zaśmiał, a bladoczerwone światło, które już wcześniej widział, zabłysło ponownie nad ich głowami.

— Stój, niewolniku — nadbiegł szept z przestworzy. — Stój i czekaj na swoich panów!

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Zęby Conana zabłyszczały w szeroko otwartych ustach i naciągawszy swój łuk wysłał strzałę w sam środek płonącego światła.

— To za ten twój szepczący Ognisty Wicher! — ryknął. — Chodź, dobry złodzieju, idźmy dalej.

Odwrocił głowę w kierunku miejsca, gdzie stała drobna postać i ze zdziwieniem stwierdził, że już jej tam nie było!

Z przekleństwem ruszył do przodu i nagle upadł na twarz. Z gniewem podniósł się z dachu i spojrzął ze zdumieniem w dół, pod nogi. Coś było nie tak z jego stopami. Kazał im iść, a one nie chciały się nawet poruszyć. Zaklął gwałtownie i schylił się, żeby dotknąć swoich unieruchomionych nóg, ale mimo to, one nadal nie chciały go posłuchać. Na Croma, zatopiły się w dachu!

— Czekaj na swoich panów! — westchnął wicher.

Oczy Conana wybałuszone były ze złości i cały czas wpatrywały się w ognisty blask bladego, zamierającego światła. Silną ręką pomacał się po plecach. Pozostało mu zaledwie z połowę strzał. Jego miecz, wydobyty z pochwy, zatrząsał mu się w ręku.

— Zaczarowali mnie — szepnął Conan. — Ha! Ci czarnoksiężnicy mają większą moc niż myślałem. Chodźcie, czarnoksiężnicy! Chodźcie, diabły! Zobaczymy, kto jest panem, wy i wasze czary, czy Conan!

ROZDZIAŁ III BOURTAI I JEGO LUDZIE

Nikt nie odpowiedział na jego wyzwanie. Dobiegły go tylko westchnienia Ognistego Wichru i odległe krzyki szalejących strażników. Noc złożyła wszędzie wkoło swoje kojące cienie, a wspaniała wieża z jej złocistą koroną płomieni błyszczała na tle nieba niczym klejnot. Conan poczuł, że wzrasta w nim nienawiść. Użył wszystkich swych sił, by wydostać swe stopy z uwięzi, jednak nic to nie dało. Dziko uderzył mieczem w nieustępliwą ziemię. Miecz zadźwięczał jak dzwon w świątyni, ale powierzchnia nie ustąpiła.

Conan zmuszał się do zachowania spokoju. Jego odwaga nigdy go nie zawodziła, lecz gdyby opróżnił swój kołczan ze strzał, strażnicy mogliby stanąć w pewnej odległości i wbić swoje strzały w niego, czyniąc z niego coś na kształt jeża.

— Ach, ty głupcze — mruknął do siebie — końce ich strzał zwrócone będą ku tobie i nic ci już wtedy nie pomoże, ty sterto diabelskiego wichru.

Rozejrzał się wkoło. Mógł dotknąć muru przy pomocy wyciągniętego miecza. Z trzy metry nad jego głową, spiżowe szpice tworzące zwieńczenie muru zabłysły w świetle gwiazd. To też nic nie da. Conan gorzko spojrzął w dół na swoje uwięzione stopy. Nie podobało mu się, że nie miał kontroli nad członkami swego ciała. Nie chciał ich stracić. Tyle czasu już mu tak dobrze służyły. Lepsza jest śmierć niż bycie kaleką. Ostrożnie pomacał twardą ziemię dachu. Tuż koło jego stóp miała ona twardość skały, ale nieco dalej była już miękka. Z nerwowym pośpiechem Conan uchwycił twardą stal swego miecza i zaczął rozbijać blok, w którym znajdowały się jego stopy. Krzyki strażników osłabły i przeszły w rozkazy. A więc ustawiają się w szyku i zapewne gotują się do ataku. Na Agrimaha, mylił się nazywając tych strażników tchórzami. Gdy byli w grupie, potrafili walczyć! To tylko magia i niezrozumiałe zaklęcia czarnoksiężników z Kusanu zmieniały ich kości w wodę.

Conan wytrzeszczył zęby w grymasie. Ziemia ustępowała powoli pod uderzeniami miecza! Walczył z humorem, który zawsze dodawał mu sił. Był niczym człowiek wiszący na gałęzi drzewa i usiłujący ściąć je u podstawy. Gdyby wykopał za dużą dziurę, wpadłby prosto do środka magazynu czarnoksiężników. Ponuro zmusił się do uśmiechu. Gdyby miał szczęście, znalazłby więcej strzał i jego wspaniała wojenny łuk znów zaśpiewałby swoją kojącą pieśń. Gdyby miał szczęście...

Uszu jego dobiegły odgłosy rytmicznego marszu i rozejrzał się wkoło, nie przerywając pracy. Jak go podejda? Może mają jakąś drabinę, której użyją, by wdrapać się na dach? W każdym razie jego strzały powstrzymają ich przez chwilę. A potem? Pot wystąpił mu na czoło i zalał oczy. Otarł je brudnym rękawem i pracował dalej. Wykopał już płytki rów wokół siebie. Jak gruby był ten dach? Zbyt gruby, na diabły! Tak gruby, jak jego własna czaszka. Dlaczego pozwolił, by jego głupia duma doprowadziła go do wyzwania nieznaną mocą? Błask płomiennej wieży zdawał się z niego kpić. Ale zaraz, marsz żołnierzy usta! Dobiegła go wydana komenda. Wchodzili na dach!

W panice Conan rozejrzał się wkoło. To nie śmierć go przerażała, tylko myśl o porażce. On, który nigdy nie skłonił głowy przed żadnym zwycięzcą, który nie musiał nawet wznieść błagalnej dłoni przed rozwścieczonymi tłumami w Angkhor. Na Croma! Oni mogą zrobić coś

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

gorszego niż go zabić! Może zostać uwięziony przez ich zakłęcia i stać się bezmyślnym niewolnikiem na polach, pracującym ciężko pod batem zarządcy niewolników. Jego oczy wzniosły się z nadzieją w górę, ku zwieńczeniu muru, gdzie błyszczały szpice. Łatwo byłoby chwycić jeden z nich przy pomocy liny, której nauczył się używać żyjąc pośród Kambujańczyków i którą miał teraz obwiązaną wokół talii. Ale co mu z tego przyjdzie? Nie mógł wy dostać swoich stóp. Nie mógł... Nagle śmiech wydobył się mu z piersi. Jego ręce gorączkowo odwiązywały linę.

— Poczekajcie, głupcy! — krzyknął do strażników i zabrzmiało to jak śmiertelny szept Ognistego Wichru. Głos jego poniósł daleko w cichą noc. — Poczekajcie, głupcy. Myślicie, że wasi czarnoksiężnicy mają moc? Ja jestem potężniejszy niż oni. Już dwukrotnie dzisiejszej nocy przerwałem ich zakłęcia niczym łańcuch upleciony z marnej trawy! Jeśli któryś z was ośmieli się postawić nogę na dachu, obalę mury Turghol!

Lina zawirowała trzykrotnie nad jego głową i pętla wzniosła się wysoko w czyste niebo, po czym osiadła na jednym ze szpiców wznoszących się na najwyższym, marmurowym bloku. A więc ci czarnoksiężnicy myśleli, że uda im się go pokonać! Istniały jednak sekrety, których nawet oni nie znali! Ich marmurowe ściany położone były blisko siebie, ale nie było między nimi spoiwa. Jego lina zadziałała jak lewar, i gdy pociągnie za nią, cały blok wyjdzie z podstawy. Ile mógł ważyć? Trzy, cztery setki kilogramów? Jego mocne ramiona dźwigały już więcej, a jego stopy mogły posłużyć mu, jako oparcie, nie mógł ich wszakże ruszyć! Po jego okrzyku nastąpiła cisza. Conan przyjrzał się bezpiecznie umocowanej linie, opasał nią sobie ciało i zakręcił wokół ramion. Musi to dobrze przemyśleć. Poruszenie tego marmurowego bloku pochłonie całą jego energię, ale gdy zacznie się on toczyć, będzie musiał zmniejszyć siłę, bo inaczej spadnie prosto na niego! W piersiach jego ponownie zaczął wzrastać śmiech. W każdym razie, lepiej było zginąć w ten sposób, za jednym, sprawnym ciosem, niż być niewolnikiem magików i czarnoksiężników!

— Wracajcie do koszar — szepnął Conan — albo zburzę mury! Magia już działa. Idziecie? Szept Ognistego Wichru odpowiedział:

— Naprzód! Przeprowadźcie mi tego zarozumiałego głupca, by służył między moimi niewolnikami!

Conan powiedział:

— To moje ostatnie ostrzeżenie.

Wyprostował się i chwycił linę wysoko. Poczuł się, jakby przy jej pomocy chwycił dzikiego konia równin; trzymał go w ręku niczym wściekłego tygrysa. Już teraz go nie zawiedzie. Jego klatka piersiowa wyduła się od nabieranego powietrza. Z całą siłą pociągnął linę i trzymał ją kurczowo. Miało to obluzować blok u podstawy. Lina wbiła się mocno w jego ramiona i napięte mięśnie. Usłyszał pomruki męskich głosów i chrzęst ludzkiej stopy na pierwszym stopniu drabiny. Nie było czasu do namysłu. Głaz musi ustąpić!

Conan chwycił linę w innym miejscu. Jego barki się wygięły, a mięśnie napięły się na udach. Żył na skroniach pulsowały niczym wijące się węże. Ubranie rozdarło mu się na plecach z szyczącym dźwiękiem przypominającym lot strzały, ale kamień nie ustępował! Wściekłość przeszła Conana niczym dotyk Ognistego Wichru. Kostki u stóp zdawały się do dalszego wysiłku. Mięśnie w nogach zdawały się odrywać. Pociągnął — ach! Tym razem ruszyło. Cienie muru zmieniły kształt. Blok nachylał się ku niemu! W ostatecznym wyczerpaniu swej siły, Conan ponownie pociągnął za linę niczym dzika bestia w potrzasku. Blok jeszcze bardziej się pochylił. Słyszeć się dało tarcie kamienia o kamień.

— Ostrzegam — szepnął Conan upadając na dach. Nie był w stanie wydać z siebie nic ponad szept. — Ostrzegam. Pierwszy blok muru upada.

Jego oczy zwróciły się na ten potężny blok nachylający się w jego stronę w tak cudownie wolnym tempie. Czy niósł ze sobą śmierć, czy wolność? Było zbyt wcześnie, by mógł to przewidzieć. Zbyt wcześnie, by zgadnąć, gdzie dokładnie uderzy. Usłyszał przerażone krzyki strażników.

— Cofnąć się! — Conan wysilił swe płuca do tego okrzyku. — Cofnąć się, zanim obalę wszystkie mury Turghol!

Ach, ten blok był piękny! Jego szpic zabłyszczał w promieniach migoczącego światła. Biały i czysty. Jeśli niósł śmierć... Conan zmusił swoje wyczerpane ciało, by stanęło na nogi. Jeśli to była śmierć, to znajdzie Conana gotowego na jej przyjęcie! Głaz nabierał szybkości; jego bieg był nadal powolny, ale z każdym metrem stawał się coraz szybszy. Conan zaśmiał się. Chwycił miecz i skierował go w górę, jakby salutował!

— Ave! — krzyknął. — Ave et vale! Jakże często ten okrzyk „powitania i pożegnania”

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

brzmiał na arenie! Jednak było to powitanie dla niego, a pożegnanie dla innych. Jednak teraz...

Głaz upadł tak blisko niego, że podmuch powietrza spowodowany jego upadkiem, zawirował mu ubraniem, a na rękę poczuł muśnięcie jego chropowatej powierzchni. Jego ciężar uderzył w powierzchnię dachu z przerażającym grzmiotem, który odbił się echem panicznych wrzasków, uciekających strażników. Conan poczuł dziki ucisk w kostkach, a potem także upadł na wierzch tego masywnego bloku, który rozwalił dach. Przez dłuższą chwilę Conan nie był pewien, czy jeszcze żyje. Leżał na bloku w magazynie, ogłuszony i pozbawiony czucia. Może pojawiła się w jego umyśle modlitwa, ale nie wypowiedział jej słów świadomie. Tylko jego usta poruszyły się lekko, by wydać tchnienie: „Crom”.

Ból jego nadwreżonych mięśni wprawił go w drżenie. Dźwignął swe ciało i w słabym świetle dobiegającym z dziury w dachu zobaczył szpic głazu zatopiony w marmurze. Szpic ten przeszył grubą tkaninę jego płaszcza rozrywając go przy rękawie. I Conan, stanąwszy na nogach, zaśmiał się głośno. Wokół niego unosił się kurz, pogłębiając jeszcze zalegające cienie. Mógł jednak usłyszeć przerażone odgłosy ucieczki strażników. Był wolny. Poruszył stopami i zawył w ciemności. Mogły się poruszać, ale na każdej z nich spoczywał olbrzymi ciężar. Mimo to, był w stanie chodzić. Podniósł się ostrożnie i z trudem kroczył w mroku magazynu, zwijając jednocześnie linę.

— Muszę podziękować Najwyższemu za sprawienie mi dodatkowych butów — zachichotał w ciemności. — Z pewnością nie pozwolą mi zmarznąć!

Chodzenie było ciężkim zadaniem, a całe jego ciało było wyczerpane. Jego miecz obijał mu się o biodro, a on kroczył ciężko. W końcu dotarł do drzwi. Oparły się jego ciężarowi, więc podniósł swoją uwięzioną nogę i walnął nią w drzwi. Złamały się i jedna część stanęła otworem. Ponownie zaśmiał się słabo i ruszył dalej. Był teraz w pomieszczeniu dla strażników, zupełnie teraz opuszczonym, z wyjątkiem jednego człowieka leżącego na ziemi i przebitego strzałą. Conan zatrzymał się, by zebrać świeży zapas strzał i ruszył do drzwi. Dziedziniec też był opuszczony, z wyjątkiem martwych strażników.

— Te czary mają swój ekonomiczny aspekt — Conan mruknął do siebie. — Ile ludzkich istnień zostało zaoszczędzone dzięki mej magii. Gdyby nie uciekli, pewnie wszystkich ich bym zabił!

Rozejrzał się wkoło niepewnie, a później zobaczył małego, kalekiego człowieczka wychodzącego przez drzwi po drugiej stronie dziedzińca. W gardle Conana wezbrała złość, wydobył strzałę zza pleców i sięgnął po łuk. Oby Agrimah mu pomógł, bo zorientował się, że zostawił swój wspaniały łuk na dachu!

— Podejdz do mnie, ty, który nie znasz znaczenia słowa „przyjaciel” — ryknął Conan. — Chodź tutaj, ty odważny lwie!

Mężczyzna zbliżył się w pośpiechu, a za nim nadciągnął z tuzin podobnych mu istot. Byli jak wilki, jak szakale szykujące się do ataku. Gdy biegli tak do przodu, zabierali umarłym ich broń, wszyscy, z wyjątkiem kaleki, któremu wcześniej pomógł Conan. On podbiegł i rzucił się u stóp barbarzyńcy.

— Panie — zajęczał. — Ruszyłem, by sprowadzić pomoc. Gdy przemawia Ognisty Wicher, należy biec, biec niczym sam wiatr, bo inaczej ziemia rozstąpi się, by pochłonać twe stopy. Wołałem cię, panie, i pobiegłem... po pomoc.

Conan uśmiechnął się blade:

— Zdało mi się, mój lwie, że użyłeś magii czarnoksiężników i zniknąłeś. Gdybym ja nie zaczarował ścian Turghol moimi własnymi czarami, ty i twoje szakale przybylibyście za późno! Ale teraz ruszajmy, zanim Ognisty Wicher znów przemówi. Na Agrimaha, w moich nowych butach czuję się jak wciągany przez wir, stoję ciągle w miejscu! Chodźmy, mój wierny przyjacielu, mój książę lwów, ruszajmy. Niech jeden z twoich chętnych strażników przyniesie mój wspaniały łuk z dachu. I szybko, bo inaczej moja stal wypróbuję czary bicia twego serca!

Żebrak uderzył czołem w zakurzony bruk w geście wdzięczności i służalczości. Jego siwe włosy pozlepiane od potu wyglądały jak druty. Conan zauważył, że jego lewa ręka była niedbale zabandażowana w miejscu, gdzie przebiła ją strzała. Jego nogi były cienkie i przypominały nogi głodującego wieśniaka, olbrzymia siła ramion Conana mogłaby podnieść i zmiażdżyć to wątłe ciało niczym słomkę.

— Dobrze, ty Małpia Mordo — powiedział z przekąsem. — Wierzę w jedną trzecią tego, co mówisz, co i tak już robi ze mnie naiwnego głupca. Mój łuk i kryjówka do czasu, gdy nie pozbędę się tych buciorów!

Prosta, brązowa twarz człowieka skrzywiła się, a w jego paciorkowatych oczach pojawił

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

się wyraz bezdennej radości. Gorycz jego obwisłych warg była tak komiczna, że Conan odrzucił w tył głowę i zagrział potężnym śmiechem. Nagle przypomniał sobie o Ognistym Wichrze. Zaklął, spoglądając w niebo, gdzie gwiazdy płonęły bladym światłem wraz z nadchodzącym świtem. Ruszył ciężkimi krokami przez dziedziniec, podczas gdy złodziej wydał rozkazy i skoczył do przodu, by wskazać drogę. Trzeba było się spieszyć. Światło dzienne, wróg złodziei, wkrótce zaleje miasto, a na wyboistych drogach brzmiały już końskie podkowy. Z ich równego rytmu Conan wynioskował, że grupa strażników ruszała do ataku. Z trudem przecisnął się wąskim przesmykiem między dwoma glinianymi otworami. Usłyszał dochodzący mu zza pleców szept złodziei i szuranie ich szybkich stóp. Gdyby ktoś obcy został teraz złapany w tym siedlisku biedoty, oznaczałoby to jego śmierć. Wyśledzenie ich przez strażników oznaczałoby też śmierć dla Conana. Nawet on, który walczył na arenach w Angkhor, nie mógł wyobrazić sobie, jak potworna mogła być ta śmierć. Splunął z pogardą. O, nie, nie podda im się żywy w takiej dziecinnej walce! Czyż nie zaplanował wszystkiego dokładnie i czyż wszystko nie przebiegało sprawnie? Wszakże przywódca złodziei już zaprzysiął mu wierność bijąc czołem o ziemię. Jak tylko przekona całą bandę do siebie i sprawi, że będą tak mocno do niego przywiązani, że nic nie zerwie tej nici, będzie gotowy do ataku. Do tego czasu musiał się powstrzymać i nie mówić za dużo.

Małpia Morda walczył z olbrzymią skałą zamykającą wejście do glinianej chaty, jednak rana w lewym ramieniu utrudniała mu zadanie. Conan usunął go na bok i z całą siłą naprężył swe ramię. Kamień wpadł do środka i zakołysał się na naoliwionych zawiasach. Barbarzyńca przyjrzał się niepewnie otworowi.

— Jeśli te twoje szczurze kryjówki będą jeszcze mniejsze, ty Małpia Mordo — powiedział — będę musiał znaleźć sobie inne legowisko.

Wielkim wysiłkiem było przepchanie tego gigantycznego ciała przez drzwi i w dół drabiny, która prowadziła na dno studni. Drabina zakołysała się pod jego ciężarem, a jego pozbawione czucia stopy ześlizgiwały się ze szczebli. Małpia Morda poruszał się tuż pod nim, kierując jego krokami szybkimi dotykami złodziejskich paluchów. W końcu Conan znalazł się w niskim przejściu, gdzie płonęła pochodnia, a ściana odbijała jej światło krystalicznymi blaskami. Tunel wyłożony był migoczącą bielą i przez moment pomyślał, że były to cenne kamienie.

— Stare kopalnie soli, panie — mruknął Małpia Morda. — Czarnoksiężnicy nigdy się o nich nie dowiedzieli. Pochodzą z dawnych czasów, kiedy to Turghol było wolnym miastem, kiedy człowiek, król, zasiadał na tronie, kiedy byliśmy wolni, kiedy łup, przynajmniej na jakiś czas trzymał się złodziejskich palców!

Szli długo przez poziomy starej kopalni soli, aż w końcu Conan znalazł się w obszernej komnacie, wykutej w ścianach z soli. Pół tuzina zniszczonych kobiet, przycupniętych było wokół bladego ognia, którego dym unosił się prosto w górę. Cymmeryjczyk sztywno przeszedł przez śmierdzącą jaskinię w kierunku łóżka, na które rzucony był zniszczony koc. Upadł na nie, zdjął z siebie ciężki płaszcz, ukazując swoją tunikę i spodnie z jedwabiu, które przybyły z nim aż z Kambuji. Miały bogaty, złoty kolor. Ze swego miejsca obserwował, jak złodzieje gromadzą się w jaskini. Było ich co najmniej z tuzin, mężczyźni w łachmanach, z głodnymi twarzami i czujnym krokiem szakali. Nozdrza Conana wciągnęły obrzydliwe powietrze, rozpiął swoją jedwabną tunikę, by podrapać się po swojej klatce piersiowej. A więc miał pokonać czarnoksiężników i ich opancerzonych żołnierzy, z bandą tych hien! Małpia Morda z pośpiechem podszedł do niego niosąc glinianą miskę wypełnioną parującą masą. Jej zapach przyprawiał niemalże o mdłości, ale Conan jadał już gorsze rzeczy w trakcie swego marszu przez niecywilizowany świat. Szybko więc łyknął strawę i odrzucił pustą miskę na bok.

— I co, małpo? To całe twoje plemię? — zapytał.

Małpia Morda pokiwał tylko smutno głową.

— Zdegradowani zostaliśmy do tego stanu, panie. My, którzy kiedyś byliśmy bogaci i wspaniali! Nasze komnaty wypełnione były łupem z karawan, póki ci przekłęci czarnoksiężnicy nie przyszli i nie spuścili Ognistego Wichru na naszych ludzi. Zostali usmażeni niczym barany na ruszcie!

Cymmeryjczyk z wolna obstukiwał ziemię, która nadal więziła jego stopy.

— Teraz to się zmieni! — obiecał krótko.

— Ale w jaki sposób, panie, jeśli bogactwa wracają do swoich właścicieli, gdy tylko zauważą ich brak?

Conan niedbale rzucił na łóżko drogocenne płytki, które należały do niewolnicy Tsien Hu.

— A czy istnieje jakaś potrzeba, żeby właściciele dożyli chwili, w której mogą zauważyć brak ich własności? — zapytał. — Czy tak bardzo kochasz tych czarnoksiężników, którzy

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

uzurpują sobie prawo do rządzenia twoim miastem?

Na twarzy Małpiej Mordy ukazały się tysiące zmarszczek, gdy wyszczerzył żółte zęby w uśmiechu.

— Mówisz jak prawdziwy mężczyzna! — krzyknął. — Jednak czarnoksiężnika nie można zabić.

— Też coś! — Conan splunął na ziemię. — Powiedz mi, w takim razie, czy człowiek może oddychać z poderżniętym gardłem?

Złodzieje przycupnęli wokół niego, a ich chytre oczy przyglądały mu się spod grzyw ich potarganych włosów. Poszturchiwali jeden drugiego. Conan przyjrzał im się z zamierzoną pogardą. Broń, którą oto miał przed sobą, była słaba i niepewna. Będzie więc musiał wykuć sobie lepszą!

— Gdy znów zapadnie noc — powiedział niedbale — zaprowadzisz mnie do domu głównego czarnoksiężnika. Zobaczmy, co się stanie, gdy moja stał złoży pocałunek na jego gardle.

— Jednak, panie, wprawdzie musimy go odnaleźć! — Małpia Morda wykrzywił się z paniką, w obawie, że może wzbudzić gniew barbarzyńcy. — Nikt nie wie, kto jest ich przywódcą ani też kim jest którykolwiek z Siódemki! Nikt nie wie, gdzie śpią i gdzie ukrywają swe bogactwa! A ich szpiedzy są wszędzie.

Conan wyciągnął się na łóżku.

— Uwolnij mnie z moich butów, Małpia Mordo — powiedział niedbale. — Gdy się obudzę, znajdziemy tego czarnoksiężnika, w Wieży Płomienia. A teraz cisza! — Zamknął oczy i przez chwilę myśli kołowały dziko za jego zamkniętymi powiekami. Sam wymyślił sobie to zadanie i tylko on nadawał się do wykonania go. Nieznani czarnoksiężnicy, którzy szeptali z niebios i byli nieśmiertelni? Były to przesady głupców. Pod odpowiednim ciosem miecza każdy człowiek umrze! Wkrótce on będzie panem tego bogatego miasta, oczywiście ku chwale Cromy. Położył rękę na szczątkach Kryształowego Tronu, a usta jego skrzywiły się w pełnym satysfakcji uśmiechu. Małpia Morda kuł ziemię, która więziła stopy Conana, ale jemu to nie przeszkadzało. Spał.

ROZDZIAŁ IV KRYSTAŁOWA KULA

Choć Conan zdawał się zupełnie oddawać na pastwę złodziei, jego głośny sen był w istocie bardzo lekki. Gdyby którykolwiek z tych odzianych w łachmany złodziei ośmielił zbliżyć się na niebezpieczną odległość, spotkałaby go śmierć. Żaden człowiek, który przeżył tyle wojen i niebezpieczeństw, co Conan na swoim szlaku, nie mógłby przeżyć, gdyby jego zmysły nie były wyostrzone, nawet we śnie. Jednak jego odwaga i pozorne ignorowanie niebezpieczeństwa zrobiły wrażenie na tych ludziach, co zresztą stanowiło jego cel. Musieli bardzo go docenić, jeśli chciał w przyszłości stworzyć z nich swoją armię i poprowadzić ich przeciwko czarnoksiężnikom.

Cymmeryjczyk budził się co jakiś czas leżąc na łóżku i wsłuchiwał się w szepty, które wypełniały jaskinię i uświadomił sobie, że nic, co działo się w Turghol nie było nieznanym tym złodziejaszkom. Wiedzieli już, w jaki sposób dostał się do miasta.

— ...w wozie z wełną — szepnął jeden z nich. — Na podłodze znaleziono ślady krwi.

Jeden ze strażników... Kambujańczyk, Kassar, stanie przed sądem Agrimaha.

Conan z trudem mógł opanować nagłe spięcie mięśni, gdy usłyszał tę wiadomość. Na wszystkie diabły, ci czarnoksiężnicy szybko dowiedzieli się, jak on dostał się do miasta, i z pewnością nie będą zwlekali z ukaraniem Kassara! Nadal udawał, że chrapie, ale w przerwie szepnął głosem, który przeszył całą jaskinię.

— Kassar zostanie uwolniony!

Wokół siebie usłyszał przerażone, stłumione okrzyki złodziei i uśmiechnął się. Tym lepiej, jeśli uwierzą, że posiada jakieś magiczne moce! Jednak w ruchu jego ust było nie tylko zaklęcie, ale również dzika zawziętość. Kassar wyzwał rzeczy, których się obawiał i nie przestraszył się nawet śmierci, jeśli miała być ceną za przemycenie brata krwi do Turghol. Czyż Conan mógł w tej sytuacji go opuścić? Nawet się nie zastanawiał. Był okrutny i ambitny, ale żaden przyjaciel nie musi czekać, by pośpieszył mu z pomocą. Nie będzie nawet potrzeby, by go wzywał. Poza tym, współgrało to z planami Conana! Rzucił lęk przed Cromem w dusze tych złodziei, co jeszcze bardziej zbliży ich do siebie.

Tak oto Conan spał i budził się w ciągu dnia. W końcu wstał i przeciągnął się. Małpia Morda siedział uśmiechając się przy jego łóżku.

— Panie, mamy dla ciebie wieści — powiedział. Cymmeryjczyk uśmiechnął się blade.

— Kiedy odbędzie się sąd Agrimaha?

Oczy złodzieja rozszerzyły się w zdumieniu, a zmarszczki dziwnymi wzorami przeszyły jego zniszczoną twarz.

— O, musisz być, panie, czarnoksiężnikiem! — szepnął.

— Odpowiadaj, głupcze!

Złodziej rzucił się na ziemię.

— Jutro, panie, w Godzinie Małpy.

Conan skinął wolno głową.

— Przed tą godziną Kassar będzie wolny. Ty dowiesz się, gdzie go trzymają. A teraz, głupcze, podaj mi imiona czarnoksiężników!

Kaleki, garbaty człowiek uderzył czołem o ziemię.

— Zapewniam cię, panie, że jest to rzecz, której żaden człowiek nie może być do końca pewien. — Szybko spojrzął w górę złośliwymi, małymi oczami. — Można tylko się domyślać.

Conan ryknął:

— A więc domyślaj się, Małpia Mordo. Dziś w nocy napelnię mieszki twoich kumpi i naostrzę mą stal na kościach tych czarnoksiężników.

Złodziej zatrzęsł się.

— Strażnicy cię poszukują, panie. Nigdy nie widziałem takiego poruszenia! Lepiej, abys ukrył się tutaj przez jakiś czas, aż zaniechają szukania. Albo może zafarbuj tę swoją białą twarz i zetnij na krótko włosy, a może uznają cię za Uttara.

Conan przeczesał włosy palcami i zaśmiał się krótko. Oczy wszystkich złodziei zwrócone były na niego.

— Niech mnie znajdą... na ich własną odpowiedzialność. Pewnymi, powolnymi ruchami barbarzyńca chwycił swój płaszcz i przywiązał sobie do pasa linę wraz z mieczem. Przerzucił łuk przez ramię. Oczyszczone buty z jeleniej skóry czekały na przyjęcie jego uwolnionych stóp, więc włożył je z uczuciem błogości, czując jak każdy mięsień jego nogi napina się lekko. Podniósł płytki ukradzione Tsien Hu i rzucił je między złodziei.

— Jeśli nie możecie ukraść porządne jedzenia, sprzedajcie to lichwiarzom i kupcie żywność na bazarach. Małpia Mordo, jestem gotowy. Prowadź do Wieży Płomienia!

— Panie, cokolwiek rozkażesz!

By dość do ciemnych ulic Turghol, musieli przejść przez inną, wijącą się, krystaliczną jaskinię. Czerwone płomienie pochodni sprawiały, że solne skały zdawały się być ścianami zbroczonymi krwią. Conan wyciągał swe olbrzymie nogi i czuł wzrastające w sobie podniecenie na myśl o walce, jaka go czekała. Tymczasem Małpia Morda kroczył tuż obok paplając nieprzerwanie.

— Panie, czy byłoby to zbyt wiele, gdybym poprosił cię, abys nie upokarzał mnie w obecności innych twoich sług? — zapytał nieśmiało. — Moje nic niewarte imię brzmi Bourtai.

Conan wzdrygnął się.

— Nie jesteś przypadkiem z Bourtharion, zamieszkałych przez czarnookich ludzi? Twoje oczy, Małpia Mordo, są niczym węgielki.

— W każdym razie, takie jest moje imię, panie. — Kaleka ruszył do przodu, poruszając się niemrawo niczym krab, by spojrzeć w gwałtowną twarz Conana. — Czyż honor, jaki uczyniłoby mi nazywanie mnie przez ciebie moim prawdziwym imieniem, nie przyczyni się do twojej opinii o sobie samym? Barbarzyńca wybuchnął dzikim śmiechem.

— Niech będzie, Małpia Mordo. Odtąd, w obecności twoich braci, będziesz Bourtai.

Opowiedz mi coś o tej Wieży Płomienia i o czarnoksiężniku, który tam mieszka.

Bourtai spojrzął czujnie za siebie i rzucił szybkie spojrzenie na komin znajdujący się z boku.

— Nie tutaj, panie — szepnął. — Jest to coś, czego nikt nie wie. Nikt oprócz czarnoksiężników i Bourtai. — Jego zapadnięta klatka piersiowa wzniosła się i wałała się w nią mocno swoją małą, brudną pięścią. — Ja wkradłem się do Świątyni Agrimaha i bóg przemówił do mnie. Tutaj musimy się wdrapać, panie. Pozwól, że pójde pierwszy, bo może strażnicy będą stać u wyjścia. Nie możemy cię stracić, panie. Ty jesteś naszą wolnością. Potężne usta Conana otworzyły się, gdy patrzył, jak Małpia Morda wdrapuje się na ścianę używając występów z soli za drabinę. Powstrzymał wzdrygnięcie ramion. Nie był tak szalony ani nieuważny, jak mogli myśleć sobie te złodziejskie szakale. To prawda, że sam mógł pokonać wielu strażników, ale lepiej było się teraz powstrzymać i zachować swe pioruny na moment większej potrzeby. Poza tym, zawsze istniała szansa, że jakaś zagubiona strzała przeszyje jego gardło. Conan nie bał się śmierci, ale myślał, że teraz lepiej było żyć. Było

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

przed nim dużo dobrej walki, a na końcu drogi czekały na niego bogactwa, o jakich nawet nie marzył. Gdyby umarł... Cóż, bogowie troszczą się o tych, którzy giną w ich imieniu! Nie miało znaczenia, czy walczył w imieniu Croma, czy Mitry, bo każdy z tych bogów nagrodzi człowieka, który poderżnie kilka gardel tych czarnoksiężników.

Tak więc, z uśmiechem na ustach, Conan chwycił solne występy, które prowadziły go w górę. Wdrapał się w końcu w ciemności, skąd nawoływał go słaby, skrzeczący głos Bourtai. Wydostał się do ciemnej wnęki, gdzie z trudem mógł dostrzec sterty futer. Smród nieoczyszczonych skór i gnijącego tłuszczu zaatakował jego nozdrza, wraz z bogatym, duszącym zapachem perfum.

— Tędy, panie — szepnął Bourtai. — Ta zapadnia jest za ciężka na słabą rękę twego sługi. Cymmeryjczyk uśmiechnął się na to oczywiste pochlebstwo i naparł na płytę, podnosząc ciężar jedną ręką. Jego mięśnie napięły się, zapadnia była naprawdę ciężka. Znaleźli się w komnacie, której ściany wykonane były z gliny. Migoczące, różowe światło dostawało się do wnętrza przez wysoko umieszczony wąski otwór.

— Magazyn, panie — szepnął Bourtai. — Teraz tylko z takich miejsc możemy czerpać nasze dochody. Bo widzisz, jeśli brak własności nie zostanie zauważony, czarnoksiężnicy nie mogą jej przywołać. Z tego dachu możemy spojrzeć na dziedziniec Wieży Płomienia.

Po raz kolejny wspinali się i tym razem Bourtai przywołał Conana do siebie, a sam rozpląszczył się na dachu budynku, by spojrzeć w dół zza jego występu. Conan przycupnął i spojrzawszy na iglicę Wieży Płomienia, całej, błyszczącej od złota. Wstrzymał oddech, oszołomiony jej pięknem, a potem spojrzawszy w dół zobaczył, skąd dochodziło płomienne światło. Wzdłuż całej podstawy wieży i kilka metrów wokoło, płomienie wznosiły się w dzikim, oszalałym tańcu. Czerwone, białe, fioletowe bujały się i drżały niczym w ekstazie, wyrzucając płomienne ramiona wysoko w powietrze, z miłością pieszcząc wieżę, po czym wracały niczym nagle przerażone, by ponownie wyskoczyć w górę w geście adoracji.

— Czy ogień zawsze płonie? — spytał Conan.

— Zawsze, panie — szepnął Bourtai — z wyjątkiem jednej nocy i wtedy też tylko na czas, gdy Agrimah wypowiada modlitwę Księżyca, płomienie te tańczą w ten sposób.

Conan mruknął. Jeśli główny czarnoksiężnik chował się za tą tarczą, to w istocie potrzeba było prawdziwej, potężnej magii, by go dosięgnąć. Pomyślał z powątpiewaniem o rzeczach, jakie widział w dalekiej Kambuji, gdzie to ludzie stąpali po rozżarzonych węglach i o historiach, które słyszał o ludziach, którzy mogli przejść przez płonący stos nie odnosząc obrażeń. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Człowiek potrzebowałby naprawdę świętego celu, by przeżyć takie gorąco.

— Z czego powstają te płomienie? — zapytał ostro.

— Z płonących ciał niewolników, panie — szepnął Bourtai niczym w obawie, że płomienie mogą go usłyszeć. — A jeśli każdego dnia nie umrze wystarczająca ich liczba, wówczas wrzucają żywych ludzi. Płomienie to lubią, panie.

Błękitne, płomienne oczy barbarzyńcy zwięzły się i zmierzył wieżę z punktu widzenia żołnierza. Zorientował się, że dalej znajdował się mur, który musiałby przebyć. Na dziedzińcu, za ogniskiem płomieni, olbrzymia fontanna rzucała w górę błyszczące klejnoty, a w jej środku tańczyła wielka, kryształowa kula, unosząc się i opadając, skacząc po wodzie, jakby wybijając rytm do tańca dla płomieni. Wokół fontanny stało siedem rzędów strażników. Każdy rząd ubrany był w inny strój. Ich tuniki były purpurowe, błękitne i fioletowe, wyszywane złotem i srebrem. Inne znów były zielone, a wewnętrzny rząd ubrany był w czarne suknie sięgające ich stóp. Głowy i szyje mieli odsłonięte, a zewnętrzny rząd odwrócony był tyłem do fontanny. Stali z mieczami w dłoniach. Pozostałe rzędy stały do siebie przodem, po dwa. Ich miecze spoczywały na gardłach tych, stojących naprzeciwko nich!

— A co to za maskarada? — zapytał ostro Conan. — Czy coś ich zamroziło w czasie walki? Czy też na rozkaz pozabijają się nawzajem?

Bourtai zachichotał.

— To tylko pokazuje, że czarnoksiężnicy nie ufają sobie nawzajem. Każdy ze strażników nosi kolor swego pana. W ten sposób strażnicy żadnego z czarnoksiężników nie mogą pokonać innych, by dotrzeć do kryształowej kuli. Jeśli jakkolwiek człowiek posiada sekret tej kuli, płomienie i Ognisty Wicher zamrą i każdy będzie wówczas mógł dosięgnąć księcia. Księcia w wieży. To powiedział mi Agrimah w świątyni.

Z bladym uśmiechem na ustach, Conan sięgnął po swój olbrzymi łuk zawieszony na ramieniu i przytrzymał go kolanem, by napiąć cięciwę.

— To oczywiście — powiedział — można przecież zniszczyć kryształową kulę!

Bourtai chwycił jego ramię i rzucił mu się do stóp.

— Na Agrimaha — krzyknął. — Nie rób tego! Kula nie objawi niczego aż do Godziny Świni trzynastego dnia Czerwieni Księżyca!

Conan z niechęcią odwrócił wzrok od poruszającego się krystalicznego punktu. Był to punkt, który osoba dobrze władająca łukiem mogła z łatwością dosięgnąć. A gdyby uderzył go pod odpowiednim kątem, strzała rozwaliby go w ułamku sekundy. Książę w wieży... Skoro tak strzegli tej wieży, to oczywiste było, że książę i ta wieża dzierżyli klucz do jego wspaniałego miasta Turghol.

— Godzina Świni — szepnął Conan. — A więc będzie to dwunasta, północ. Kiedy macie tą waszą noc Księżyca?

Bourtai wznosił przestraszoną twarz i wskazał na miejsce, gdzie wzgórza wznosiły swe czarne ramiona na tle wschodniego nieba. Zza wierzchołków jodeł spoglądało krwawe oko purpurowego księżyca.

— Panie, jest to pierwsza noc Księżyca. Gdy nadejdzie trzynasta noc...

— Zapomnij o tym — rozkazał Conan gniewnie.

— Człowieku, tracimy czas! Mamy dużo rzeczy do zrobienia dzisiejszej nocy.

Przez chwilę błysk oczu Bourtai zdumiał barbarzyńcę do tego stopnia, że jego dłoń sięgnęła po rękojeść miecza. Kaleki mężczyzna upadł na kolana, ale w tym samym momencie pojawiło się coś tak potężnego i śmiertelnie przerażającego, że Conan poczuł zimny dreszcz na całym swoim olbrzymim ciele. Był to chłód podobny do tego, który zaskoczył go w trakcie oblężenia Khawarizm, kiedy to olbrzymi kamień wyrzucony z katapulty przewrócił go na ziemię swoim potężnym uderzeniem.

— Ty mały, nieszkodliwy szczurze — syknął Conan — myślę, że lepiej by było, gdybym natychmiast odrąbał ci głowę!

Głos Bourtai zmienił się w jęk.

— Panie, czy myślisz, że wiedziałbym o tych wszystkich rzeczach, gdybym kłamał odnośnie świątyni Agrimaha?

Na dachu Turghol zapanowała martwa cisza. Podmuch silnego, Ognistego Wichru zdawał się słabnąć, i w ciszy z wolna dobiegło ich skwierczenie tańczących płomieni. Conan rozluźnił mięśnie swoich olbrzymich ramion, ale jego dłoń nie puściła rękojeści miecza.

— W jaki sposób takie chytre szakale jak wy, odkrywają tajemnice? — mruknął. —

Myślę, ty moja Małpia Mordo, że znałeś co najmniej jednego czarnoksiężnika. Myślę, że kłamałeś, jeśli o to chodzi.

Bourtai chrząknął z lekka.

— Jesteś sprytny, panie! Prawdą jest to, co mówisz. Ale ja jedynie chciałem polepszyć mój wizerunek w twoich oczach.

— Mów dalej, głupcze — mruknął Conan.

Czuł, że skrzydło demona śmierci minęło go o kilka milimetrów, ale nadal latał on gdzieś wysoko w powietrzu. Nagle uświadomił sobie, że ma szacunek do tego przywódcy złodziei. Była w tym jakaś tajemnica, ale wiedział, że jeszcze większe tajemnice przyjdzie mu rozwiązać. Bourtai mówił wolno:

— Jest to, panie — szepnął — historia księżniczki z Wieży Płomienia. Zakłęcie utrzymuje ją w postaci dziecka, zarówno pod względem jej postury, jak i umysłu, ale w istocie wiedziała ona o wielu ukrytych rzeczach. To ona jest prawdziwą władczynią Turghol, a gdy tajemnie nadeszli czarnoksiężnicy z Hsia, zbudowali tę wieżę w jedną noc i rozrzućili wokół niej Płomienie Śmierci. Cała magia księżniczki dokonała tylko tego, że kryształowa kula tańczy tam, w wonnych wodach fontanny, i że na długość modlitw Agrimaha trzynastej nocy Księżyca może ona ponownie odzyskać swoją prawdziwą postać i umysł.

Conan przyjrzał się swemu słudze z powątpiewaniem, ale ukrył swoje podejrzenia.

— Nie ma zakłęcia, które nie może być przerwane — powiedział krótko. — Jakie inne sekrety wyszeptał Agrimah w twoje ucho, które z pewnością odetnę w ciągu najbliższej godziny.

— Nie, panie — powiedział Bourtai z pokorą — tego nie mogę ci powiedzieć, nawet gdybyś miał mi odciąć głowę! Nie wątpię, że zakłęcie może być przerwane, ale wiem, że musi to być dokonane w Godzinie Świni, trzynastego dnia. Może twoja potężna magia...

— Może — Conan mruknął. Jego oczy z namysłem zwróciły się do kołyszącej się kryształowej kuli, a jego palce spoczęły z piśszczotą na olbrzymim rogowym łuku. — Chodź. Wrócimy o właściwej porze. Ale teraz mój miecz spragniony jest krwi czarnoksiężników, a sakiewki naszych braci są puste! Zaprowadź mnie do tego czarnoksiężnika, o którym tak wiele się dowiedziałeś. Jeśli ktoś taki, jak ty może zerwać jego zakłęcia i słuchać jego

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

sekretów, czy Conan nie dokona przynajmniej tego samego?

— Zaiste, jesteś wspaniałą, wojowniku diabelskich wiatrów — szepnął Bourtai, a Conan poczuł złość napinającą mu mięśnie. Nie mógł być pewien, ale zdało mu się, że usłyszał kpinę w głosie tej małej, kalekiej małpy udającej człowieka. Jak tylko dowie się wszystkiego, co Bourtai może mu powiedzieć, i jak tylko Kassar zostanie uwolniony, nadejdzie czas na rozrachunki.

— Chodź — rozkazał krótko. — Prowadź.

W dół drabiny, w dół kopalni soli, znów w górę do chaty, która nieprzyjemnie pachniała wilgocią i błotem.

— Ulica Wytapiaczy Spiżu, panie — szepnął Bourtai. — Nie mamy przed sobą dalekiej drogi.

Conan stał wsłuchując się w odgłosy marszu straży. Nie był to oddział dekuriona.

Dzisiejszej nocy maszerowali większymi oddziałami. Barbarzyńca uśmiechnął się lekko. Była to nagroda dla jego rąk, której nie mógł odebrać. Ruszył swobodnie do przodu. Na Agrimaha, zaszczyił im łąk przed Conanem do samych ich wnętrzości!

Gdy dotarli do miejsca, gdzie zbiegały się kręte ulice, Bourtai przyłgął do niego, by wskazać mu coś, swoim, wzniesionym do góry podbródkiem.

— Tam, panie, jest ogród Tsien Hu, czarnoksiężnika.

Mięśnie Conana się napięły, a jego pięść zacisnęła się na szyi chytrego złodzieja.

— Kłamca! — ryknął. — Głupcze, czy bierzesz mnie za idiotę Tsien Hu nie jest czarnoksiężnikiem z Kusanu, tylko przebiegłym lichwiarzem o lepkich palcach. Zeszłej nocy... — śmiech wyrwał się z jego gardła — zeszłej nocy pogoniłem go nago po jego haremie. Zerwałem klejnoty z niewolnicy, którą przysłał, by mnie przekupić. Czy myślisz, że potężny czarnoksiężnik pozwoliłby sobie na coś takiego?

— Zaiste, twoja magia jest potężna, Conanie — jęknął Bourtai — ale to, co ci mówię jest prawdą. Tsien Hu nigdy nie odkryje się, chyba, że pod groźbą utraty życia, podobnie, jak każdy inny czarnoksiężnik. Albo może jego gwiazdy mu nie sprzyjały, a twoje były przychylne.

W umyśle Conana ponownie pojawiły się podejrzenia. To prawda, że pomógł tej małej, perwersyjnej kalece, i że ten służył mu potem, ale w końcu Bourtai nie był godny zaufania. Nie chciałby uczynić nic ponad wykorzystanie mocy Conana do swoich własnych celów. Może żałował, że stracił swój prestiż w oczach poddanych mu złodziei. Głowa Conana podskoczyła. Strażnicy zmierzali w ich stronę. Brzęczenie ich zbroi i tupot ich stóp były głośniejsze, odbite echem, niczym grzmotem od blisko siebie ustawionych murów.

— Czekaj w szybie obok Ulicy Wytapiaczy Spiżu — rozkazał Cymmeryczyk. — Jeśli się okaże, że mnie okłamywałeś...

— Nie, panie, najpierw wyrwij mi język z ust. — Bourtai skrzył się w gwałtownym uścisku.

— Niech będzie — powiedział Conan — sam to powiedziałaś.

Popchnął Bourtai uderzeniem ręki, zrobił dwa długie kroki i skoczył wysoko, by uchwycić szpice na dachu domu Tsien Hu. Napiął mięśnie ramion i podciągnął się na tyle wysoko, że mógł uklęknąć na występie w murze. W jego błękitnych oczach był zimny uśmiech, który nie był widoczny jednak na jego twarzy. Jeśli Bourtai był przekonany, że ten żółty słabeusz był czarnoksiężnikiem, w takim razie bardzo dobrze. Napełni sakiewki złodziei dzisiejszej nocy i przywiąże ich do siebie nie tylko łańcuchem bogactwa, ale również strachu. Potem pójdzie uwolnić Kassara. Było to konieczne, by usztynić ich kręgosłupy, bo napaść na lochy Siedmiu Czarnoksiężników Turghol nie była rzeczą, którą można było dokonać samodzielnie i bez trudu.

Conan wskoczył lekko do ogrodu Tsien Hu i przycupnął tam, podczas gdy promienie księżycy rozlały swój miękki, czerwony blask po wysoko się pnących winoroślach i drzewach owocowych. Wodnisty pomruk fontanny ukoił jego uszy, a jej woń oczyściła jego nozdrza. Kroki strażników przycichły, a ich rytm był równy z szybkim biciem jego serca. Tutaj, wewnętrzne mury domu Tsien Hu błyszczą opalizująco w fioletowym blasku. Zrobił dwa duże kroki do przodu, przebijając się przez oleandry i nagle w panice odskoczył na bok! W blasku księżycy, agresywna, włochata dłoń skoczyła do jego gardła, i dostrzegł błysk prerażających kłów w zwierzęcej paszczy! Gdy skoczył, miecz jego z sykiem przeciął powietrze, a on sprawdził ostrze. Gigantyczna małpa była tam uwięziona za pomocą spiżowej obroży wokół jej szyi. Skakała w górę i w dół, szczękając metalowym łańcuchem i uderzając łapami w swoją włochatą klatkę piersiową, ale z otwartej do krzyku mordy nie wydobywał się żaden dźwięk oprócz świstu powietrza. Zakłęcia albo uszkodzone struny głosowe. Usta Conana wykrzywiły się w bladym uśmiechu. Nie doceniał Tsien Hu.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Jego wzrok szybko przeszył ogród, tu i ówdzie dostrzegł blask zwierzęcych oczu w mroku. Z trudem znalazł drogę między przycupniętym, gotowym do ataku tygrysem, a otwartymi szczękami wilka. Obydwa te zwierzęta rwały się ku niemu na swoich łańcuchach. Nie było tu żadnych czarów, ale była to ochrona, której pozazdrościłby nawet Imperator Khitaju. Zaiste, było to dziwne, jak na ogród lichwiarza w Turghol. Conan czołgając się ku ścianom domu, porośniętym winoroślą, wijącą się niczym węże, przypominał sobie inne rzeczy o Tsien Hu. To z jego dłoni zniknęły klejnoty i w dziwny sposób u jego drzwi pojawili się strażnicy. Sam ten stary człowiek zniknął nagle w ułamku sekundy. Może więc jednak Bourtai mówi prawdę!

Barbarzyńca położył swe olbrzymie dłonie na gałęziach winorośli i sprawnie wdrapywał się w górę, w kierunku balkonu, jaki zwisał nad ogrodem. Za trzecim uchwytem poczuł, że winorośla z lekka poruszają mu się pod ręką! Nagle uświadomił sobie, że te winorośla były zimne niczym skóra węża, i że jego mięśnie słabną! Usta Conana otworzył potężny, bezgłośny krzyk. Gałęzie zaczynały go oplatać! Z dzikim szarpnięciem puścił się ich i rzucił się w dół. Jego wybałuszone oczy spojrzały w górę. Już gdy spadał, zauważył trójką głowę zmierną w jego kierunku i dostrzegł lodowaty blask oczu gada! Conan upadł na kolana, lecz natychmiast odskoczył do tyłu. Na twarzy poczuł powiew powietrza, włosy na karku zjeżyły mu się, wolno odsuwał się od żadnych krwi pazurów zaczajonego tygrysa! Miał szczęście, że to zrobił, bo otwarte szczęki węża zamknęły się w tej samej chwili tuż obok jego ramienia. Z desperacją jego mózg wojownika ocenił niebezpieczeństwo. Jego chętne ostrze pomknęło ku wyciągniętej szyi węża, a on skulił się pod ścianą domu. Tam tygrys i wilk nie mogły go dosięgnąć, a wąż musiał przekreślić się na całą swoją długość, by zaatakować. Poczuł, że jego ostrze uderzyło gardziel gada tuż obok głowy; uderzenie i odskok! Ostrze wydało dźwięk, jakby uderzyło w kamień, a usta Conana wypełniły się beznadziejnym krzykiem. Zdusił go w sobie i przyłgął ramionami do muru. Nie może wydać żadnego głosu, bo Tsien Hu się zbudzi i ześle na niego nowe zaklęcie. Bezżyteczny miecz zwisał w jego dłoni; olbrzymi łuk i strzały przylegały mu mocno do pleców. Wszystko to jednak było na nic.

Wąż ponownie rzucił się ku niemu, ale on mocno przylegał plecami do ściany i mocno wbił nogi w ziemię. Uderzenia wijącego się cielska były niczym ciosy maczugi, ale gigantyczne członki Conana opierały się im zaciekle. Za złym blaskiem jego oczu, pracował jego mózg. Jego umysł był jego magią. Na Agrimaha, przekona się, czy potwory Tsien Hu okażą się skuteczniejsze od huraganowej złości wojownika z Cymmerii!

Wąż po raz kolejny przygotowywał się do ataku! Nie miał zatrutych kłów, ale wyglądały one, jak zakrzywiona końcówka vendhyańskiego noża. Gdy zęby te wbiją się w ludzkie ciało, już wkrótce reszta cielska zdusi ludzkie życie, nawet jeśli płonęło takim płomieniem, jak życie Conana. Skulił się i uderzył mieczem w górę. Była to zabójcza broń. Każdy centymetr jego ostrza był porządnie wykonany i przygotowany do głębokiego ciosu, ale odbił się. Nie ponawiał już ataku na węża, którego skóra była na pewno zaczarowana, tylko wystawił miecz do przodu czekając, aż wąż napręży swoje mięśnie przed uderzeniem. Może mieć twardą skórę, ale barbarzyńca pomyślał o wnętrzu tej otwartej gardzieli, które mogło być przebite porządną stalą!

Conan nie próbował uderzyć. Skulił ramiona, jego ręka zacisnęła się mocno na rękojeści miecza i czekał. Głowa węża skoczyła do przodu z szybkością, z którą nie mogły się równać nawet strzały Conana. Koniec miecza zachwiał się i nagle całe ostrze znikło! Ale znikło w gardle gigantycznego, zaczarowanego węża z ogrodu Tsien Hu!

W tej samej chwili, gdy ogromne szczęki zamknęły się, Conan odsunął dłoń. Przesunął się w bok i potknął się o wystający korzeń, padając zobaczył, że koniec jego miecza wystaje z ciała węża! Zdychnięte cielsko rzucało się opętale. Tygrys uderzony ślepym ogonem rzucającego się węża, został odrzucony w bok i zdechł na miejscu wskutek złamanego karku. Wilk wycofał się na całą długość swej uwięzi.

Conan, z trudem podnosząc się na nogi, stanął i spojrzał wokół, a jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała w szybkim tempie. Wolno jego usta wykrzywiły się w uśmiechu, a oczy wzniosły się w kierunku balkonu. Musiał działać szybko, zanim oszalałe uderzenia w ziemię zdychającego węża nie obudzą Tsien Hu. Nie mógł na razie odzyskać swego miecza. Musiał poczekać, aż ruchy mięśni węża ustaną. Mniejsza z tym. Rozejrzał się wkoło, i jego wzrok spoczął na rosnącym pod murem drzewie. Pobiegł do niego, wyskoczył wysoko i złapał niską gałąź drzewa. Zaskrzypiała i zakołysała się pod jego ciężarem, z jej pomocą wyskoczył w powietrze z wyciągniętymi w górę ramionami. Ledwo zdołał uchwycić barierkę wieńczącą balkon, a ciało jego uderzyło w ścianę z mocą, która sprawiła, że zęby mu

zgrzytnęły.

Conan zachwiał się, gdy wskoczył na balkon, ale natychmiast rzucił się w bok i przycupnął obok kotary zasłaniającej drzwi. Zastona okręciła się wokół jego ręki, niczym lepiące się dłonie kobiety, ale jego siła była siłą mężczyzny. Z dzikim, powstrzymywanym przekleństwem napiął swoje mięśnie. Zastona oderwała się z przyczepów i wzięła ją ze sobą, gdy skoczył przez olbrzymią komnatę ku udrapowanemu jedwabiem łóżku. Wyciągnął swój łuk i strzałę. Jeden skok i Conan stał w nogach łoża. Grotem strzały dotykał ucha Tsien Hu. — Obudź się, Tsien Hu — szepnął. — Porusz się, a ja na zawsze przybiję cię do twego łoża.

Skośne oczy Khitajczyka spojrzały w wykrzywioną twarz Conana. Żółte ręce o długich paznokciach leżały bez ruchu na okryciach z jedwabiu i skór.

— Jeszcze ci mało, barbarzyńco? — zapytał spokojnie. — Nie przywołałem do siebie moich klejnotów.

Ostry śmiech Conana zabrzmiał jak szczekanie wilka.

— Ale ja potrzebuję więcej klejnotów, Tsien Hu, a mówią w Turghol, że nosisz imię czarnoksiężnika. A więc, jak przystało na prawdziwego barbarzyńcę, sam mnie tak przed chwilą nazwałeś, podrywanie gardeł czarnoksiężnikom jest moim obowiązkiem. Skoro mój miecz został połknięty przez tego twojego diabelskiego węża, będę musiał użyć strzały. Nie wątpię, że wykona to zadanie równie dobrze.

Tsien Hu powiedział miękko:

— A więc zabieś zaczarowanego węża. Doprawdy, barbarzyńco, stajesz się zbyt kłopotliwy.

Jego oczy zdawały się otwierać szerzej i Conan mógł lepiej spojrzeć w ich głębię. Zdawał się w nich być ukryty jakiś sekret, o którym musi się dowiedzieć, do którego jego dusza musi dotrzeć, by mógł przeżyć. Jego własne oczy zwęziły się na chwilę, ale potem znów się rozszerzyły w odpowiedzi na wzrok Tsien Hu. Czy ten blask zielonego ognia w oczach Tsien Hu krył ten sekret?

— Tak — powiedział Tsien Hu miękko, niemal sennie — stajesz się zbyt kłopotliwy, barbarzyńco, a ja jestem zbyt senny, by porządnie się z tobą teraz rozprawić. Ty też jesteś chyba śpiący, barbarzyńco? A więc pozwalam ci spać. Opuść swą broń, barbarzyńco, wolno, wolno.

Conan usiłował potrząsnąć głową, by uwolnić swoje oczy od hipnotyzującego wzroku czarnoksiężnika, ale nie był w stanie tego uczynić. Złość w nim wezbrała i spróbował oderwać palce od cięciwy łuku, by wypuścić strzałę głęboko w tą żółtą twarz, która kpiła z niego słabo się uśmiechając.

— Nie możesz puścić strzały, Conanie — Tsien Hu powiedział miękko — a twoja ręka jest bardzo zmęczona. Nie możesz już dłużej utrzymać tego napiętego łuku. Zwolnij uścisk, barbarzyńco.

Conan napiął potężne mięśnie na całym ciele, walcząc przeciwko tym rozkazom, które zdawały się nadchodzić z jego własnego umysłu. Walczył, a jednak opuścił łuk, tak, jak to rozkazał Tsien Hu! Żółte zęby czarnoksiężnika pokazały się w szerokim uśmiechu.

— Teraz odrzuć łuk, barbarzyńco i zejdź z mego łóżka. Tak, bardzo dobrze. Postąpisz teraz trzy kroki do tyłu, barbarzyńco i tam będziesz czekać aż do świtu, kiedy to użyję cię dla swojej przyjemności. Tak, jak ci mówiłem, ty głupku, jestem śpiący.

Conan stał trzy kroki od łóżka Tsien Hu, a jego ręce odrzuciły broń. Nie miał pojęcia, w jaki sposób do tego doszło, ale było to prawdą. Był bezbronny, a ta nienawistna, żółta twarz uśmiechała się do niego z łóżka. Przez chwilę lub przez całe godziny Tsien Hu nadal się uśmiechał, a potem skośne oczy się zamknęły i Conan zorientował się, że czarnoksiężnik usnął. Wiedział poniekąd, że znalazł się pod mocą zaklęcia, że jego mięśnie walczyły mocno, by się poruszyć, by zmienić pozycję nogi, by podnieść rękę, ale wszystko to było na nic, kompletnie na nic. Na Agrimaha, zaczął być senny! Był nawet w stanie spać na stojąco.

Conan walczył z ciężarem tysięcy kilogramów, które zdawały się obciążać jego powieki. Nie mógł tu zostać. Musiał zanieść bogactwa do swoich ludzi, musiał uwolnić Kassara, który jutro stanie przed sądem Agrimaha. Musiał zrobić te wszystkie rzeczy, ale był zbyt senny. Ciężar na jego powiekach zwyciężył. Stojąc mocno wyprężony, niemalże na wyciągnięcie dłoni czarnoksiężnika Tsien Hu, potężny Cymmeryjczyk zapadł w zaczarowany sen!

Zdawało mu się, że chodził we śnie, poruszał się w olbrzymim tłumie ludzi. Słyszał krzyki, czy też echa okrzyków. Słyszał śmiech kobiet, a nad tym wszystkim dominował odgłos ciężkiego marszu i dzikie walenie khitajskich bębnow, uderzenia cymbałów i piski długich, spiżowych trąb. Potem odgłosy te zanikły, a uszy jego i mózg zalały chóralne śpiewy

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

mężczyzn i kobiet, podobne do hymnów, jakie nemedjyscy kapłani i kapłanki wznosili do wschodzącego słońca. Kiedy to się skończyło, obudził się.

Jeszcze przez kilka chwil uśmiechnięta, żółta twarz Tsien Hu zdawała się unosić przed jego oczami; potem znikła, a on widział już wszystko bardzo wyraźnie. Był sam, w środku jakiejś wielkiej komnaty, sklepionej ozdobionym, wypukłym sufitem, który wznosił się wysoko nad jego głową. Po obu stronach znajdowały się smukłe kolumny, wykonane z kości słoniowej, alabastru i cedru. Wokół nich rozłożone były złociste, zionące ogniem smoki. Pod nimi stłoczone były grupy ludzi. Conan przejechał wzrokiem po rzędach kolumn i oczy jego rozszerzyły się w zdumieniu, gdy napotkały na postać, jaka zajmowała całą, końcową przestrzeń tej olbrzymiej komnaty. Potężne ciało wznosiło się spowite w szaty wykonane ze złocistej tkaniny, błyszczącej szlachetnymi kamieniami. Twarz przypominała błękitno-purpurowy koszmar. Spomiędzy zakrwawionych warg wystawały wielkie kły, a skronie wieńczyły rogi, których końcówki płonęły ogniem. Conan stał, na Croma, stał przed sądem Agrimaha!

Szpic jego kości przeszyła nagła słabość, a pierś wypełniła się potężnym krzykiem. Zdusił go z wysiłkiem, który sprawił, że żyły nabrzmiały mu na skroniach, a oczy wybałuszyły się do tego stopnia, że wszystko widział niczym poprzez tańczącą, czerwoną zasłonę. — On był Conanem z Cymmerii. Żaden człowiek, a nawet sam Agrimah spoczywający w swym piekielnym ogniu, nie zobaczy jego strachu. Zacisnął swoje gigantyczne pięści i zorientował się, że jego ciało krępowały stalowe więzy. Z wolna wzrok jego wrócił do normy i spojrzał na swoje pokryte bliznami ciało. Rozebrano go, zostawiając mu tylko przepaskę na biodra, a jego nogi i ręce związane były łańcuchami, które pobrzękiwały jak srebrne dzwoneczki za każdym jego ruchem, niczym zawieszona na szyi byka poświęconego Mitrze. Każdy mięsień uwidocznił się przez skórę, gdy wysilił nadgarstki próbując uwolnić je z łańcucha. Łańcuchy zdawały się bardzo lekkie, były niczym kpina zniewolenia, ale nawet cała jego siła nie była w stanie ich rozerwać. Znów zakłęcie. „Ach, niech wszyscy oni idą do diabła! Nie mogą uczynić mu nic ponad odebranie mu życia!”

Głowa Conana wzniosła się, jego błękitne oczy spoglądały spod zmarszczonych brwi na płonące ogniem oczy bóstwa, Agrimaha. Kawalek Kryształowego Tronu wzniosł się na jego olbrzymich piersiach.

— Czekam! — zabrzmiał jego potężny głos. — Czekam na sąd Agrimaha! A wietrzne demony, które mnie tutaj sprowadziły niech odlecą wraz z Ognistym Wichrem!

Pomruk przeszył komnatę, a gdy echa jego wyzwania zamarły w otchłaniach na górze, kapłani zaczęli wchodzić przez czarne drzwi i podobnie jak żołnierze otaczający fontannę, szaty ich były w siedmiu kolorach. Każda grupa prowadzona była przez jednego człowieka i ubrana w kolory odpowiedniego czarnoksiężnika. Mimo że był pewien nadchodzącej śmierci, Conan rozszerzył usta w uśmiechu. Nawet tutaj, w świątyni Agrimaha, czarnoksiężnicy nie ufali sobie nawzajem. Zastanawiał się, którzy z tych kapłanów byli ludźmi Tsien Hu. Jego poczucie humoru przyszło w sukurs jego odwadze. Czym też był ten Agrimah ponad stworzoną przez człowieka istotą z drewna, ubraną w wykonane przez człowieka złociste tkaniny? To prawda, że mówiono, iż duch bóstwa zamieszkiwał posągi, jakie ludzie wnieśli ku jego czci. Tylko Crom tego zabronił. Niektórzy z jego wyznawców zostali straceni za rozbijanie świątyń innych bogów. Myśl, że to ludzie, a nie bogowie karali za to, była uspokajająca.

Conan zadzwonił swymi łańcuchami w rytm wolnego marszu kapłanów, a oni wydali odgłos podobny do lekkiego śmiechu. Zobaczył, że jego łańcuchy przywiązane były do kamiennej posadzki. Nawet mimo swoich zakłęt czarnoksiężnicy nie chcieli ryzykować w jego przypadku! Conan pozwolił sobie na dokładne przyjrzenie się zgromadzonym tłumom. Chciwy wzrok spojrzał na niego spoza jednej z alabastrowych kolumn; jeden z uzbrojonych strażników przyjrzał mu się spod swego hełmu. Z tłumy wyłonił się bogaty kupiec w jedwabiach i futrach, by spojrzeć na niego spomiędzy swych ciężkich powiek.

Nagły hałas, podobny do odległego pioruna, zwrócił oczy barbarzyńcy ponownie na Agrimaha. Z tych okropnych oczu biły iskry, i gdy Conan patrzył tak, diabelskie szczęki z piekielnymi kłami zaczęły się poruszać. Z tłumy dobiegł szum trwogi. Kapłani klęczeli i niczym jeden człowiek, cały, zgromadzony tłum wyprostował się, a potem upadł na kamienną posadzkę, by bić czołem przed bóstwem. Twarz Conana zbladła, ale nadal stał wyprostowany. Podniósł swoje skrępowane dłonie, by dotknąć Kryształu zawieszzonego na szyi.

— Przysięgałem ci służyć — mruknął Conan. — Na swój sposób przysięgałem ci służyć. Jeżeli słowo żołnierza nic nie znaczy, wysłuchaj mnie teraz. Stań obok mnie, przede mną, za mną, a ja przyprowadzę tysiąc, sto tysięcy ludzi, by oddali ci pokłon. Sto tysięcy, Cromie,

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

nawet gdybym miał ich do tego skłaniać poprzez podrywanie ich gardeł.

Conan stał wyprostowany ze skępowanymi nogami i wpatrywał się swoimi błękitnymi, rzucającymi ognie oczami w twarz Agrimaha. Grzmoty dochodzące z daleka przybierały formę słów. Zdawało się, że to Agrimah mówił po khitajsku:

— Stoczy trzy bitwy i wygra honor lub... śmierć!

Kłęby dymu i płomieni położyły kres słowom Agrimaha. Stłumiony krzyk, zdaje się, że protestu, wzniósł się wśród kapłanów, a z tłumu dobiegły wrzaski akceptacji. Głos Agrimaha z wolna ucichł. Conan poczuł, że jego ciało przeszywają dreszcze.

— To tylko kurcze — mruknął do siebie. — To tylko kurcze w mięśniach. Trzy bitwy?

Też coś! Mogę je stoczyć jedną ręką. Z twoją pomocą, Cromie. Słyszałeś mnie. Czyż nie powiedziałem, że sto tysięcy ludzi odda ci pokłon? I tak się stanie. Nie, sto tysięcy to moja cena. Dotrzymam słowa. Turghol będzie pierwszy...

Oczy Conana ponuro spojrzały wkoło przyglądając się tłumowi. Zasłona ze złocistej tkaniny zakotłosała się przed okropnym posągami bóstwa, a kapłani zaczęli podchodzić ku niemu ze śpiewem na ustach.

— Sąd Agrimaha jest sprawiedliwy. Sąd Agrimaha jest nieomylny. Wielka jest moc Agrimaha, a jego panowanie trwać będzie przez tysiące lat.

Kapłani rozdzielili się i minęli go na długość wyciągniętej ręki. Łańcuchy zacisnęły się na jego nadgarstkach. Żaden człowiek ich nawet nie dotknął, ale uchwyt, do którego były przymocowane zwolnił się i Conan został pociągnięty w kierunku zgromadzonych kapłanów!

Oczy Conana szeroko się otworzyły i przez chwilę napiął członki, by nie poddać się stalowemu uściskowi. Jednak nic nie mógł zrobić. Rozluźnił więc mięśnie i stanął między kapłanami. Głowę trzymał wysoko. Mimo że krępowały go łańcuchy, kroczył jak zwycięzca.

— Powiedz mi, przyjacielu — powiedział swobodnie do kapłana stojącego obok niego, ponurego człowieka ubranego w szkarłat — powiedz mi, jakie też będą te trzy bitwy i kiedy mam je stoczyć?

Mężczyzna zaskomlął i jego czarne oczy zwróciły się w kierunku Conana.

— Chciałeś nas oszukać, głupcze — syknął — ale nie przeżyjesz tych bitew! Bitwa ze zwierzętami, bitwa z ludźmi i bitwa z bogami. Tak! Będę się śmiać, gdy zobaczę, jak płynie twoja przeklęta krew!

Cymmeryjczyk uśmiechnął się, ukazując swoje mocne zęby.

— Dlaczego tak ma być? Zapewne popłynie dużo krwi, zanim zakończymy, tak czy inaczej. Jednak, jeśli zwyciężę, zdobędę honory! I jedną z rzeczy, którą najpierw zrobię, będzie wbicie twojej czaszki na pał! Będzie to służyło za przykład dla dzieci.

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął potężnym śmiechem. Usłyszał pomruk z tłumu, który mógł być aplauzem dla niego.

W tej samej chwili, kamienna posadzka zdawała się topić pod jego stopami i poczuł, że spada w głęboką ciemność! Światło w jego mózgu zgasło!

ROZDZIAŁ V NA ARENIE

Gdy Conan poruszył się z pomrukiem, nadal otaczała go ciemność, niemal dotykalnie napierająca na jego mózg. Wokół panował smród, który go niemal dusił. Stęchły zapach podziemnych kanałów, gdzie bez końca kapłała woda, a wygłodniałe szczury żerowały na gnijącej materii, gdzie ludzkie zwierzęta przywiązane były bez ruchu do kamiennych ścian, i gdzie nigdy nie dochodziło słodkie światło słoneczne. Śmierdzący, brudny i bliski wymiotów Conan wiedział — nawet zanim wysilił oczy, by rozejrzeć się w tej kompletnej ciemności — że znajdował się w lochach pod Świątynią Agrimaha.

Przez długi, na wpół przytomny moment, Conan walczył z wypełniającą jego duszę paniką. Przypomniał sobie nienawiść, jaka płonęła w oczach kapłana. Czy ośmielił się sprzeciwić rozkazom, które wypowiedziało ich bóstwo? W ustach zabrzmiał mu pomruk i spróbował podnieść się z mokrej, zimnej skały, na której leżał. Łańcuchy, które zdawały się miażdżyć jego kości nie ułatwiały mu zadania. Zmusił się do rozluźnienia mięśni i leżał tak, czekając, czekając...

Ciche dźwięki dotarły do jego świadomości. Woda skapywała wolno ze skały tuż obok niego. Kap... kap... kap. Zorientował się, że podświadomie liczy krople, które spływały tak monotonicznie i regularnie. Kap. Wolny, mocny puls w szyi uderzył piętnaście razy, a potem kap. I znów piętnaście uderzeń pulsu. Potem kap.

W panice barbarzyńca wysilił słuch, by dosłyszeć jakiś inny, cichy dźwięk. Cokolwiek innego oprócz tego wodnistego, uciążliwego kapania wody. Chciało mu się pić.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Chwila, w której szczur przebiegł przez celę zdała się ukojeniem, a później znów koszmar. Gdyby te potwory lochów go zaatakowały, byłby bezbronny. One to wiedzą. Swoją mądrość gromadziły od tysięcy pokoleń, które żerowały na tych bezbronych ofiarach w lochach. Pazury zbliżyły się i przejechały zimno po jego udzie. Muskuly Conana napięły się, ale szczur już uciekł. Jeśli przyjdzie z powrotem... Kap... kap... kap.

W uciążliwej ciszy zabrzmiał nagle wrzask. Wydarty został w agonii z ludzkiego gardła i nie miał żadnej konkretnej formy. Był jak pisk zwierzęcia w śmiertelnym bólu. Dźwięk ten zabrzmiał głucho w duszącym powietrzu, a potem zmienił się w pomruk. A więc były tu też komnaty tortur. Conan zorientował się, że całe jego ciało napina się pod łańcuchami. Najbardziej przerażała go jego, całkowita bezbronność. Nie bał się śmierci bardziej od innych ludzi, a nawet dużo mniej niż wielu. Była to rzecz, której każdy żołnierz musi się nauczyć stawić czoła. Ale ta cisza. I to kapanie wody...

Zmusił się do myślenia o zaszłych wypadkach. Nie chciał myśleć o kapłanach Agrimaha i o tym, co się jeszcze wydarzy. Z desperacją trzymał się nadziei o obiecanych trzech bitwach. Zwierzęta, ludzie i bogowie. Może tylko chcieli go przestraszyć. Może... Niech idą w diabły! On będzie gotowy!

Wieża wśród tańczących płomieni zdawała się odległa o wiele lat, podobnie jak dach, na którym leżał wraz z Bourtai. Czy to ten diabeł wysłał go do tego piekła? Czy też była to jego własna nierozwaga, by włamać się do domu Tsien Hu? Teraz nie miało to już znaczenia. Kap, kap, kap. O, bogowie, te dźwięki świdrowały jego mózg! Siedmiu czarnoksiężników, powiedział Bourtai, którzy nie ufali sobie nawzajem. Kiedy się stąd wydostanie... Kpina z samego siebie zagościła w jego myślach i zawsze obecne poczucie humoru wykrzywiło jego usta w ponurym uśmiechu.

— Dawaj, Conanie — zakpił. — Jesteś huraganem siły. Podnieś więc tę górę swego cielska. Przecież to nic ponad kilka łańcuchów.

Z ciemności dobiegł głos:

— Conan? Nie, śnię tylko. Ach, i niech diabły Agrimaha...

— Kassar! Kassar, bracie! — głos Conana zabrzmiał radośnie w ciemnościach. — Jesteś tutaj? A więc jeszcze nie wszystko stracone! Dopóki będziemy razem, bracie, nie ma dla nas przeszkód.

W ciemności panowała cisza, z wyjątkiem ciężkich oddechów, a potem znów nadbiegł chropowaty głos Kassara.

— Zakuli cię w łańcuchy, wojowniku wietrznych demonów?

— Zakuli, bracie — przyznał Conan — ale przynajmniej nie muszę już wsłuchiwać się w tę ciszę. Muszą tu w końcu przyjść, a jeśli przyniosą śmierć... cóż, widzieliśmy już śmierć. Kassar zaśmiał się głośno:

— Tak, teraz będzie łatwiej. Miałem nadzieję, że te psy czarnoksiężników nie trafią na ciebie. Ten przeklęty Bourtai...

Ciało Conana zeszytywniało pod łańcuchami.

— Co mówisz? Bourtai? Jaki Bourtai?

— Ten, którego nazywają Najwyższym — powiedział spokojnie Kassar. — Najważniejszy z siedmiu czarnoksiężników. Niech Agrimah go oślepi i wypruje z niego flaki! Niech Agrimah odbierze mu umysł!

Oczy Conana, ślepo spoglądające w ciemności, zwięzły się w zamyśleniu. Ten pokręcony kaleka, żyjący w starej kopalni soli i kumplujący się z brudnymi złodziejami miał być Najwyższym? Nie, z pewnością Kassar mówił o jakimś innym Bourtai. Albo może był to osioł, który przywdział skórę lwa na godzinę... Jednak przypomniał sobie moment, w którym niemalże obawiał się tego samego szczura w kopalni soli, on, Conan! A czarnoksiężnik mógł użyć takich szpiegów, jak ci chytry złodzieje.

Conan odezwał się z trudem:

— Ale ja myślałem, że ci czarnoksiężnicy są nieznanymi, że kryją się pod zaklęciami. Ktoś mi powiedział, że ten Tsien Hu, lichwiarz też jest czarnoksiężnikiem, i prawdę mówiąc, musi nim być, skoro zmienił moją krew w wodę i sprawił, że zapadłem w zaklęty sen, kiedy miałem już naciągniętą strzałę, by przebić jego żółte serce!

— W tym przeklętym mieście — powiedział gwałtownie Kassar — wszyscy ludzie są czarnoksiężnikami, odkąd ci złodzieje nadeszli z Kusanu. A ten Bourtai mógł kłamać. Przyszedł na dwór króla Kambuji prosząc o pomoc w wyuczeniu jego siedmiu braci w czarach i obiecując wiele rzeczy. Bracie, władca wyrzucił go z domu batami. Król czci Croma i nienawidzi czarnoksiężników. Ale gdyby ten Bourtai rzeczywiście był Najwyższym, rzuciłby przekleństwo na mojego brata. Jest to coś, czego nie rozumiem. Ale wiem jedno. Wkrótce umrę. Tak jest napisane.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

— Nikt nie może uciec przed tym, co jest mu przeznaczone — trzeźwo zgodził się Conan — ale ja nie czuję, że moje dni się kończą. Szczególnie, jeśli znów cię znalazłem, bracie. Poza tym złożyłem przysięgę, której muszę dotrzymać. Godziny mijały w ciemności i nikt do nich nie przyszedł ani nie dobiegł ich żaden dźwięk. Rosły w nich pragnienia tam, w tych lochach, a monotonne kapanie wody stawało się torturą niemalże niemożliwą do zniesienia. Jednak w chwili, gdy byli już zmęczeni beznadziejną rozmową, Conan zmusił swój obolały mózg do snu i nie obudził się aż do chwili, gdy dochodzący z daleka szept kroków uderzył w jego świadomość niczym piorun.

— Kassar — powiedział cicho — chyba po nas idą.

— Po mnie — powiedział Kassar z nutą pewności w głosie. — Żegnaj, bracie. Żałuję, że już nigdy nie zobaczę cię w walce.

— O, nie, jeszcze się spotkamy!

— Jeśli tak jest napisane — zgodził się spokojnie Kassar.

— Albo gdy powrócę w nowym ciele. Z pewnością wtedy się rozpoznamy! Do tego czasu mój honor spoczywa bezpiecznie w rękach mego brata.

— Jest bezpieczny — odpowiedział Conan. — I nigdy nie zapomnę, że to dla mnie przyszedłeś do tego czarnoksięskiego piekła. To moja krew cię pomści. I co tylko da się zrobić, by cię uwolnić, zostanie zrobione.

Dostrzegł czerwony blask pochodni na wilgotnych ścianach i kroki przybliżyły się. W tej samej chwili błysk płonących pochodni oślepił jego przyzwyczajone do ciemności oczy, a potem, zobaczył, że było to siedmiu kapłanów, każdy z nich ubrany był w szaty o innym kolorze i stojących w drzwiach celi. Teraz Conan mógł dojrzeć to, czego nie domyślił się wcześniej. Kassar wisiał, przywiązany do haka w suficie, a twarz jego wyrażała głęboki ból! Jego własne usta wykrzywiły się w złości.

— Ha, potwory! — krzyknął. — Ten człowiek jest moim bratem. Weźcie mnie zamiast niego, a jemu dajcie szansę na trzy bitwy. Zobaczycie taką walkę, która ucieszy nawet samego Agrimaha!

Kassar odpowiedział spokojnie:

— Niech się stanie, bracie.

Kapłani nie odpowiedzieli na obraźliwe słowa Conana. Przeszli nad jego zakutym w łańcuchy i bezbronnym ciałem, i uwolnili Kassara z jego tortury, a potem, zakutego w kajdany, wyprowadzili z celi. Conan posłał za nimi zrozpaczony krzyk furii. Blask pochodni zniknął, podobnie, jak odgłos stóp oddalających się ludzi. Nastąpiła cisza, jeszcze gorsza do zniesienia niż przedtem.

Gdy z ciemności dobiegł go szept, Conan nie odpowiedział. Pomyślał, że była to tylko jakaś iluzja jego umysłu, powstała w wyniku tej samotności. Ale ten sam głos ponownie go dobiegł:

— Conanie, teraz będzie twoja kolej. Słyszysz?

Barbarzyńca zaklął gwałtownie.

— Słyszę, ty psie! Uwolnij mnie, Bourtai, Małpia Mordo! Kassar...

— Nie, nikt nie może pomóc Kassarowi — szepnął słaby głos.

— A ciebie też nie mogę uwolnić. Nawet, gdybym był w stanie rozerwać te zakłete kajdany, to ściany i tak są zbyt grube. Ale posłuchaj mnie, Conanie. Gdy wejdiesz na arenę, poszukaj portalu ze strażnikami odzianymi w szkarłat. Za nim będzie czekał szybki koń. Sprawny i bystry skok cię uratuje.

Conan wpatrzył się w ciemność.

— Najpierw mam do załatwienia rachunek z kapłanami — odpowiedział twardo.

Rozległo się ciche echo chichotu Bourtai.

— To będzie warto zobaczyć. Słuchaj, panie, oni cię wykiwają, bo jest napisane, że jeśli człowiek wygra bitwę ze zwierzętami i z ludźmi, to w bitwie z bogami kapłani mogą walczyć przeciw tobie. A jeśli i tym razem człowiek zwycięży...

Conan poruszył się niespokojnie, a jego łańcuchy wydały cichy, srebrzysty dźwięk. Zaklął.

— Bądź przeklęty, szczurze! Mów, nawet, jeśli musisz przełamać swoją marną, szczurzą odwagę! Jeśli człowiek zwycięży bitwę z bogami, to co?

— Zanim bóg zginie, to zadaj mu pytanie. Umierając bóg musi ci odpowiedzieć. Zapytaj tak: Jak jeden człowiek może rzucić Turghol?

— Zaiste — Conan zaśmiał się ostro. — Zapytam się!

Gadanie złodzieja zabrzmiało słabo:

— Ale może będzie mądrzej po prostu dosiąść konia i uciec. W ciągu siedemnastu lat żaden człowiek nie dożył chwili, by móc zadać to pytanie, a było wielu, którzy próbowali

swych sił w tych bitwach. Wielu, panie. O, wielu.

Conan zaklął ostro i zadał pytanie. Jednak nie otrzymał odpowiedzi. Bourtai odszedł swoją szczurzą drogą przez kanały pod miastem i nie pozostało nic oprócz czekania, cichej ciemności i kapania wody. A Kassar... gdzie był Kassar? Nie było odpowiedzi na to pytanie, ale w tej samej chwili z szuraniem obutych w sandały stóp i krwawym blaskiem pochodni, wrócili kapłani siedmiu czarnoksiężników. Ich przywódca, ubrany w szkarłat, podszedł, by dotknąć łańcuchów i Conan poczuł, jak ich uścisk się rozluźnia. Z wielkim wysiłkiem, podniósł się na nogi, a usta jego wykrzywiły się w ponurym grymasie kpiny. Był wolny od tej mokrej ziemi, ale nie był wolny od łańcuchów. Nadal krępowały jego nadgarstki i kostki, i po raz kolejny uchwyt, do którego były przywiązane przesunął się po ziemi. Conan ruszył do przodu.

Długo szli przez zatęchłe lochy. A Conanowi podróż ta zdawała się nawet jeszcze dłuższa. Szedł lekkim krokiem, a jego ramiona zdawały się być czymś popychane. Słowa Bourtai niemal całkowicie wyleciały mu z głowy. Wiedział tylko, że ma przed sobą bitwę, i że jeśli przeżyje wystarczająco długo, dopadnie tych piekielnych kapłanów, którzy przyprawili Kassara o takie tortury.

Po pewnym czasie upalny blask słońca uderzył oczy barbarzyńcy. Przyniósł ze sobą ból, podobny do dotknięcia rozżarzonego żelaza, ale Conan powitał go z radością. Jego ciało zdawało wsysać w siebie ciepło słońca; gorący odór krwi, rozlanej na spieczonym słońcem piasku, zdawał się czysty w porównaniu z zaduchem celi. Tuż za kamiennym portalem Conan zatrzymał się, a jego zwężone oczy usiłowały przyzwyczaić się do blasku, podczas gdy upał miło koił ból w jego kościach. Z trudem mógł dojrzeć wielokolorowe tłumy, które teraz powstawały, rząd po rzędzie, wokół areny. Było siedem wejść, oprócz tego, którym on wszedł na arenę. Każde wejście ozdobione było herbami Siedmiu Czarnoksiężników. Przed nimi ustawieni byli kapłani i strażnicy.

Uszy jego zaatakował wrzask dobiegający z wielu gardeł. Usta Conana gwałtownie wykrzywiły się w bladym uśmiechu. „Witaj i żegnaj”, mruknął. Tak, słyszał już przedtem takie krzyki na arenie w Angkor! Jego oczy przeszywały tłumy w poszukiwaniu jakiegoś śladu Kassara. Gdy go dostrzegł, gardło jego rozdarł krzyk, który zabrzmiał, jak spiszowy dzwon. Na środku areny wzniesiony był ołtarz i właśnie na nim leżał Kassar, jednak jego ręce zwisały beładnie, a jego skrzywiona twarz, zwisająca nad brzegiem ołtarza wskazywała, w jaki sposób zginął.

Z dzikością i z wygłodniałymi ramionami wyciągniętymi do przodu Conan rzucił się w kierunku kapłanów, ale oni zniknęli. Olbrzymie, kamienne drzwi się zatrzasnęły. Dopiero wtedy zorientował się, że łańcuchy nie krępowały już jego nadgarstków i kostek. Leżały na ziemi u jego stóp. Podniósł je niczym metalową linę, zacisnął na niej dłonie, i obrócił się w stronę areny. Nie myślał o śmierci, ani o niczym innym, oprócz Kassara i o tym, że w trzeciej bitwie stanie twarzą w twarz z Siedmioma Czarnoksiężnikami, którzy zdecydowali o tej całej sprawie!

Wolno, na sztywnych nogach, Conan ruszył do przodu po czarnym, parzącym piachu. Jego czarne włosy błyszcząły w słońcu, a jego ramiona wzniesione były w wyzywający sposób. Prawą ręką machał łańcuchami. Gorący piach dobrze robił jego obolałym stopom. Jego nozdrza rozszerzyły się, by wciągnąć zapach bitwy, który znał tak dobrze. Nie miał żadnych wątpliwości. Dożyje tego, by pomścić Kassara!

Żaden wróg nie ruszył się, by przed nim stanąć. Pierwsza była bitwa ze zwierzętami. Cóż, był gotowy. Conan zatrzymał się u stóp ołtarza, na którym leżały zwłoki Kassara. Podniósł wzrok, by spojrzeć w twarz przyjaciela. Widział, w jak potworny sposób zginął, jego brzuch był rozpruty za życia, a jego wnętrzności wypłynęły na zewnątrz. Jaką krwawą przepowiednię wyczytali we wnętrznościach tego człowieka, który był jego bratem? Usta barbarzyńcy otworzyły się w dzikim uśmiechu. Powinni wyczytać tani swoje własne przeznaczenie! Jeśli jego odwaga potrzebowała stymulacji, miał ją teraz.

Conan okręcił się, by spojrzeć w biały tłum twarzy, które wznosiły się spoza ogrodzeń areny i jego głos zagrzmaiał, dziki, jak morze w czasie sztormu.

— Słuchajcie, mężczyźni i kobiety Turghol! — krzyknął. — Za każdą kroplę krwi, która spłynęła z żył mego brata, odpowie śmiercią pięciu ludzi! A jeśli jego krew nadal wołać będzie o zemstę, nawet życie pięciuset ludzi mnie nie zaspokoi! Tak mówi Conan!

Głucha cisza zapanowała wśród tłumów. Równie dobrze mogli to być nieboszczycy przypatrujący mu się. Nagle zabrzmiała trąba i owiał ich pomruk nagłego wiatru. Conan usłyszał za sobą warczenie wygłodniałych bestii. Rzucił się trzy metry do przodu, jednym, miękkim skokiem odwrócił się w kierunku dobiegającego dźwięku. W podstawie ołtarza

otworzyły się drzwi i z tego ciemnego kwadratu wyczołgał się jego prądkowany przeciwnik w pierwszej bitwie, tygrys szablonowy.

Przez chwilę bestia zaczęła się w piachu, mrugając swymi olbrzymimi, płonącymi oczami w blasku słońca. Potem zobaczyła człowieka i jej pełne kłów szczęki rozwarły się w ryku, który odbił się okrzykami tłumu. Conan stał bez ruchu, oczekując ataku. Łańcuch, stanowiący jego jedyną broń zwiślał luźno wzdłuż mocnych mięśni jego uda. Wcześniej już doświadczył natarcia tygrysów, na równinach Kambuji, w czasach, gdy wielodniowe polowania doprowadzały do okrażenia zwierząt, a następnie do walki na śmierć i życie. Ale wtedy nosił ze sobą włócznię, a jego miecz wisiał u jego boku. Jednak w jego czujnych oczach była chęć do walki, nie strach, a jego usta wykrzywione były w uśmiechu.

Trzy wolne, przyczajone kroki i tygrys już gotował się do ataku z brzuchem nisko nad ziemią. Mięśnie napinały mu się, gotowe do skoku. Jego olbrzymi ogon sztywny był jak stal, tylko koniuszek poruszał się z lekka. Mimo to, Conan ciągle jeszcze się nie poruszał.

Wyczuwał, że tłumy wstrzymały oddech. Lekki wietrzyk owiewający arenę przynosił ukojenie, a barbarzyńca czekał.

Twarz tygrysa zmieniała wyraz. Wybuchnął rykiem, głębokim i szorstkim. Już sam ryk był jego bronią. Conan wydał z siebie obronny krzyk, i gdy tygrys skoczył w powietrze, Conan zaatakował! Jego skok do przodu zdekoncentrował bestię w momencie jej ataku. Ofiary tak się nie zachowują. Ofiary uciekają spod wyciągniętych pazurów. Mocne, przednie łapy tygrysa były wyciągnięte do przodu i szeroko rozstawione, kilkunastocentymetrowe pazury sięgały, by oderwać ludzką głowę od reszty ciała, jednak jego atak został przerwany w połowie. Zakręcił się w półskoku, podczas gdy Conan przesunął się w jego prawą stronę. Wykonał zaledwie mały ruch ciałem, ale miało to swój skutek. I gdy rzucił się dziko w lewo, czołgając się nisko pod śmiertelnymi pazurami, tygrys nie mógł go dosięgnąć. Conan nie wiedział nawet, jak dobrze wszystko to skalkulował póki nie poczuł jedwabistego dotyku nogi tygrysa na piersi. Prawa ręka barbarzyńcy machnęła w powietrzu. Łańcuch błysnął w słońcu, niczym złoty płomień ognia, a potem uderzył w pysk bestii!

Przez ułamek sekundy Conan stał bez ruchu, a potem pozwolił, by pęd ciała rzucił go do przodu, nad ciałem tygrysa. Bestia ryknęła z bólu i złości, i w jednej chwili upadła, zakręciła się i spoczęła w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Conan, ale teraz już go tam nie było. Po raz drugi, znajdując się poza zasięgiem tygrysiich pazurów, Conan machnął łańcuchem. Dostrzegł wykrzywioną mordę i uderzył drugi raz i zaraz potem biegł już wzdłuż areny długimi skokami. Usłyszał ryk tygrysa i dzikie kłapanie jego zębów; usłyszał huk jego łap, gdy opadały na ziemię.

Nie było czasu, by się oglądać za siebie. Conan zrobił pięć długich skoków, potem obrócił się na sztywnej nodze i skoczył w bok. Tygrys rzucił się do przodu, rycząc i wznosząc chmury czarnego piachu; pełna dzikiej furii, oszalała, mordercza bestia. Był jednak bezradny. Ciosy barbarzyńcy osłępiły oczy potwora. Jego własna krew napłynęła mu do nosa i przytępiła jego i tak słaby węch, ale dalej poszukiwał swej ofiary. Ryki tygrysa wstrząsały powietrzem, ale wrzask ten nagle wtopił się w dziki aplauz, jaki wznosił się z dziesięciu tysięcy gardła. Uderzyło to tygrysa niczym grom. Na ślepo wbił się w piach, warcząc gardłowo, ale jeszcze bardziej pobudzony wzrastającą dzikością tej ludzkiej bestii.

Conan rozejrzał się przez chwilę, wspiął się na palce, a potem rzucił się do przodu zaciekłym sprintem. Twarz jego była ponura. Chociaż bestia jest osłabiona, jej kły i pazury nadal niosą śmierć dla Conana. Musi zabić tygrysa. Bez wątplenia, pojawią się kolejne zwierzęta. Nie może zbyt się tym przerażać, bo potrzebuje siły i trzeźwego umysłu do następnej walki. Biegł prosto w kierunku tygrysa i nadal dzierżył w dłoni swój stalowy łańcuch. Skoczył wysoko w górę i... wylądował na grzbiecie bestii!

Kolana jego zacisnęły się na jej brzuchu, tuż za mocnymi, przednimi łapami. W tej samej chwili okręcił łańcuch wokół włochatej szyi. Jego pięści zacisnęły się na ogniwach i z całą siłą swych mocnych ramion pociągnął łańcuch w górę zawiązując go za wściekłą głowę. W pierwszej chwili po jego skoku, tygrys też wyskoczył wysoko w górę, wyciągając naraz wszystkie cztery łapy. Upadł na bok, okręcił się opętale, ale nie wydał już żadnego dźwięku. Conanowi zabrakło tchu po tym dzikim, gwałtownym skoku i uderzeniu o ziemię, ale nogi jego trzymały zwierzę w mocnym uścisku bez względu na to, czy żyło, czy było już martwe. Obydwoma rękami trzymał łańcuch, i podczas gdy bestia wiała się i tarzała po ziemi, on zaciskał tylko łańcuch, który zawiązał na jej szyi. Jasność i zupełna ciemność na zmianę panowały w jego umyśle. Mięśnie tygrysa napinały się pod jego nogami i Conan znów został rzucony o ziemię. Jeszcze raz i jeszcze raz. Mgła naszła mu na oczy i brakło mu tchu, a bestia nadal nie była w stanie wydać żadnego dźwięku z zacisniętego gardła.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Czuł gwałtowne ruchy potężnych płuc. Czuł potężne walenie serca tygrysa pod swoim lewym udem. Przypominało koński galop. Uderzało w nogę Conana niczym maczuga, tak, że prawie już puścił bestię. W końcu zaczęło słabnąć i szarpanina tygrysa również osłabła. Końcowy, desperacki skok i Conan wyleciał w górę na dwa metry, a tygrys upadł w konwulsjach i po chwili znieruchomiał.

Barbarzyńca z trudem podniósł się na nogi. Otaczała go arena, a jego oddech usiłował wydostać się z piersi. Uszy jego zaatakowały wrzaski aplauzu. Rozejrzył się i dostrzegł nieruchome ciało tygrysa. Podszedł do niego na nogach, które zdawały się być z ołowiu, ale umysł jego już pracował. W walce z tygrysem podszedł do szkarłatnej bramy na jakieś dwa metry. Podczas gdy walczył, odziani w szkarłat kapłani zgromadzeni byli za stalowym ogrodzeniem zamykającym wyjście, ale teraz przesunęli się z powrotem do przodu. Za nimi, jak powiedział Bourtai, czekać miał koń. Jednak Conan podjął już decyzję. Miał możliwość ucieczki. Czekala na niego tuż za tymi głupcami w czerwieni. Może w każdej chwili z niej skorzystać, ale najpierw musi zrobić swoje. Jego oczy zwróciły się w kierunku ołtarza, na którym spoczywał martwy Kassar. Drzwi w podstawie ołtarza były otwarte i tym razem stanęły w nich dwa czarnogrzywe lwy, rycząc dziko. Gardło Conana rozdarł gorzki śmiech. Nic dziwnego, że żaden człowiek nie przeżył trzech walk w ciągu siedemnastu lat!

Z szybkością strzały mknącej niczym promień światła, ułożył swój plan. Przesząpił przez zwłoki tygrysa, a opalona skóra jego ramion poruszyła się, gdy jego mocne muskuły się napięły. Stał tak przez chwilę, a potem podniósł tygrysa wysoko sobie nad głowę. W tej samej chwili ruszył szybkim biegiem i rzucił zwierzę prosto w twarz czerwonych strażników!

Ten sam skaczący bieg, podczas którego rzucił bestią, wysłał go w ich kierunku. Dochodziły zdumione okrzyki i szybkie próby zamknięcia wejścia. Jeden człowiek bez skutku usiłował wyciągnąć miecz. W tej samej chwili między nimi pojawił się olbrzymi ciężar ciała tygrysa. Ten sam człowiek, który dobywał miecza, usiłował teraz uskoczyć przed zwłokami, potknął się i upadł w piach. Już, gdy upadał, Conan skoczył na niego. Jego kolana zatopiły się w mocnych, zaokrąglonych plecach. Jego ręce zacisnęły się na szyi. Nagła eksplozja siły, jaka z niego emanowała i strażnik już wydał z siebie cienki pisk, który szybko jednak zamarł, bo Conan złamał mu kark.

Niemal bez chwili namysłu Conan dźwignął ciężki, zakrzywiony miecz strażnika z piachu i pobiegł przez arenę. Za sobą usłyszał dzikie wrzaski straży i ostrą komendę kapitana. Cymmeryjczyk śmiał się, biegnąc.

— Będziecie mieć szansę wy, którzy nazywacie siebie mężczyznami! Gdy skończę z bestiami...

Lwy dostrzegły go i wolno wychodziły z ciemności drzwi. Boki miały zapadnięte z głodu, a z ust wypływała im piana. Kiwały ciężko głowami, a z gardła większej bestii wydobył się kaszłący ryk. Conan nie zwolnił biegu. Odpowiedział na wyzwanie bestii krzykiem, który odbił się echem wśród zgromadzonych tłumów.

Przez chwilę dwie bestie przycupnęły niezdecydowanie w obliczu tego człowieka, który nacierał z rykiem dorównującym ich własnemu. Mniejszy lew wycofał się do podstawy ołtarza, ale po chwili wahania drugi, większy lew zaryczał ponownie i ruszył do ataku. Człowiek i bestia biegli prosto na siebie po wciąż zmniejszającym się torze na czarnym piachu. W ciszy, ciszy, która zapanowała teraz wśród oczekującego tłumu, wstrzymali oddech na niekończącą się chwilę. Później, z ostatecznym, przerażającym rykiem, lew rzucił się wysoko w powietrze. Jego pazury błysnęły w świetle, wyciągnięte w kierunku miękkiej, łatwej do zdobycia ludzkiej skóry.

Używając szybkości swego biegu, Conan skręcił w bok, podobnie jak wcześniej udało mu się uniknąć tygrysa, ale tym razem w jego dłoni tkwiła mordercza stal. Nie była tak dobra, jak jego własny miecz, ale przy pomocy swoich dobrych umiejętności wojownika, posłał ją we właściwe miejsce, i zakrzywione ostrze wbiło się w ciało i kości. Zraniony lew opadł na ziemię i nie poruszył się. Jego głowa zwisała bezwładnie. Przecięte gardło przyniosło natychmiastową śmierć!

Z tym uderzeniem Conan skoczył na nogi. Odkręcił się i już biegł w kierunku drugiego lwa! Bestia stała w obliczu tego wrzeszczącego wyzwania dobiegającego z gardła barbarzyńcy jedynie przez chwilę. Później odwróciła się, podwinęła ogon i schowała się w ciemnościach, z których przybyła. Śmiech zmieszany z krzykami aprobaty wzniósł się wśród tłumu aż do najwyższego rzędu. Trąby wysłały swe metaliczne dźwięki w burzę tych okrzyków. Drzwi w podstawie ołtarza zatrzasnęły się, a Conan stał niczym pomnik z brązu na białym tle, mokry od potu. Chciwie nabrał powietrza w piersi. Rozłożył ramiona i raz musiał podnieść koniuszek miecza do góry, by nabrać równowagi. Czoło miał zmarszczone. Jego umysł pozbawiony był wszelkich emocji. Nie czuł zmęczenia. Rozgrzewał się do

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichur

rzezi. Drugi odgłos trąb dobiegł jego uszu i jego czarna czupryna zatrzęsała się. Bitwa ze zwierzętami skończyła się; zaraz rozpoczęła się bitwa z ludźmi. Pogardliwy uśmiech wykrzywił prostą, sztywną linię jego ust. W jego stronę maszerowało siedmiu głupców w zbrojach, siedmiu strażników, a każdy z nich w liberii swego pana. Tylko ten, który ubrany był w szkarłat zdawał się bardziej ożywiony. Ramiona jego były spięte, a sposób, w jaki trzymał głowę wskazywał na wielką determinację. Conan skinął głową. Przeciagnał ostrze miecza po udzie, by oczyścić je ze zwierzęcej krwi. Będzie jeszcze dość krwi, a jej nadmiar na rękojeści miecza może spowodować, że ręka mu się ześlizgnie.

Nadeszło siedmiu, słońce odbijało się na ich zbrojach, hełmach i na tarczach, które dzierżyli w dłoniach. Oczy Conana zwęziły się, gdy ich lustrował. Miał tylko jedną nad nimi przewagę. Nagi mężczyzna mógł poruszać się z dużo większą szybkością niż żołnierz w zbroi. Rozprawi się z nimi, o ile nie wchodziły w grę żadne czary. Stał, mocno trzymając się na nogach, czekając na ich nadejście. W swym oczekiwaniu był podobny do tego alabastrowego ołtarza. Miał szansę dokładnie przyjrzeć się tym gładko wygolonym twarzom. Też coś. Wyglądali jak kapłani. Conan splunął z pogardą w piach. Zdziałało to niczym komenda i siedem mieczy ukazało się w rękach strażników, którzy ustawili się półkolem wokół ołtarza. Wolno i ostrożnie ruszyli do przodu, z przygotowanymi tarczami i wystawionymi mieczami.

Conan ponownie splunął.

— Czerwień musi tu być kolorem tchórzy! — powiedział z determinacją!

Z szaleńczym okrzykiem, szkarłatny strażnik ruszył do przodu. Jego zakrzywiony miecz błysnął wysokim łukiem. Conan skoczył niczym tygrys. Nawet nie usiłował odparować ciosu. Gdy skoczył do przodu, wyrzucił swój miecz jak włócznię i skierował go w kierunku tego chętnego, wrzeszczącego gardła. Usta Conana rozdarł krzyk. Zakłęcia, na wszystkie przekleństwa Agrimaha! Jego miecz, którym odciął głowę lwa jednym ciosem, zmienił się w jego dłoni w węża!

ROZDZIAŁ VI

ROZMOWA ZE ŚMIERCIA

Cymmeryjczyk wyczuwał zimne, napinające się mięśnie węża, gdy ten kręcił się i związał usiłując zatopić kły w jego dloni. Z gardła strażnika w szkarłacie wydobył się triumfujący krzyk, a jego błyszczące ostrze skierowało się na niechronioną głowę. Pozostałych sześciu mężczyzn formowało dwa szeregi, by otoczyć go i zmiażdżyć naciskiem swoich mieczy i tarcz. Śmierć była bardzo blisko; śmierć przez zakłęcie.

Do tej pory Conan walczył zimno i z rozważą, ale teraz poczuł w swoich żyłach naddciągającą, radosną, bitewną wściekłość, która przyczyniła się do nadania mu tego potwornego imienia. Krzyknął z charczącym i niewyraźnym wyzwaniem. Jego lewa ręka wzniosła się nad jego głowę i uderzył niczym pioruny niesione przez ten huragan, którego imię nosił. Przerażony wściekłością tego ciosu wąż zwrócił swą głowę w kierunku twarzy strażnika w szkarłacie! Słyszeć się dał cienki, przenikliwy pisk. Miecz strażnika zawahał się w swoim śmiertelnym ciosie, a Cymmeryjczyk zdołał obrócić się na nieobutej stopie, schylił się i już był za swoim wrogiem.

Nie zatrzymał się, by zabić człowieka od tyłu, lecz dwoma długimi, szybkimi skokami znalazł się za podwójnym szeregiem śmierci. Strażnik w czerni usiłował zablokować mu drogę długim skokiem i machnięciem potężnego miecza, ale zbroja opóźniła jego ruchy. Jego stopy ciężko uniosły się z ziemi, a Conan minął go, zatrzymał się i rzucił węża — który nadal miał otwartą paszczę — w kierunku czarnej plamy, jaką stanowiła twarz czarnego strażnika. Tarcza mężczyzny wzniosła się, by go ochronić i barbarzyńca usłyszał dźwięk, jakby metal uderzał o metal.

Nie miał czasu zastanawiać się nad znaczeniem tego dźwięku, ale w jego umyśle pojawiło się wspomnienie, gdy jednocześnie wprawił w ruch swoje pobłyskujące opalenizną ciało. Podczas gdy czarny strażnik został oślepiony szybkim wzniesieniem swej tarczy, Conan skoczył tuż obok miecza i jego ręce zacisnęły się na nadgarstku mężczyzny. Użył impetu swego gwałtownego ataku i olbrzymiej siły swego umięśnionego ciała, użył także swych umiejętności zapaśniczych. Okręcił sobie uzbrojone ramię mężczyzny wokół ramienia, sprawnym ruchem podniósł go z ziemi, i rzucił nim prosto na miecz i tarczę kolejnego strażnika! W tej samej chwili Cymmeryjczyk złapał miecz czarnego strażnika i zrobił kilkanaście szybkich skoków do tyłu. Potem odwrócił się, by spojrzeć na swych wrogów, a jego miecz świsnął, gdy łukiem podniósł go sobie nad głowę.

— Czemu się tak lenicie? — krzyknął i zakpił z nich swoim głębokim śmiechem. — Czy

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

coś wysuszyło wam krew w sercach? Czy też wasze stopy zakłębem zostały przygwożdżone do ziemi? Dopiero teraz zobaczył, że szkarłatny strażnik leżał bez ruchu na ziemi, i że krew wypływająca z jego szyi była chciwie wsysana przez suchy piach. Strażnik w srebrnej zbroi walczył, by uwolnić swój miecz zatopiony głęboko w czarnym cieple. Już tylko czterech ludzi trzymało tarcze i miecze, i ciężko biegło w jego kierunku, by się z nim zmierzyć.

Cymmeryjczyk uśmiechnął się, gdy zobaczył, jak trudno im biec. Mięśnie jego były twarde i gotowe, a z gardła wydarł mu się śmiech. Słyszał ciągły ryk dobiegający z tłumów zebranych wokół areny i niedbale odwrócił się tyłem do nadciągających żołnierzy, by podnieść swoje zdobyte ostrze w salucie.

— Jeszcze moment — krzyknął — a pokażę wam prawdziwą walkę. Niech trąby zabrzmiały dla waszych bogów!

Gest ten niemalże kosztował go życie. Gdy odwrócił się, tuż obok mignął ciężki nóż.

Poczuł jego zimny, tnący pocałunek na policzku, w tym samym momencie, ostrze zaplątało się w jego czarnych, długich do ramion włosach. Zobaczył, że został rzucony przez strażnika odzianego w złoto.

— Dobry rzut, ty złoty głupcze! — krzyknął. — Za to zostawię cię na koniec! — Starł ciepłą krew z policzka, a lewą dłoń zacisnął na rękojeści noża. Czterej ludzie byli już prawie przy nim. Dwoma skokami znalazł się po ich lewej stronie i przystąpił do ataku, rycząc ostrzegawczo. Rzucił się na strażnika w srebrze, który nadal mocował się ze swym mieczem utkwionym w zwłokach. Mężczyzna zobaczył, że nadciąga i ostatecznym, desperackim ruchem uwolnił swój miecz i upadł, ochraniając swe ciało tarczą.

Poza zasięgiem miecza barbarzyńca zatrzymał się i zobaczył, jak ostrze strażnika wzniosło się, by zadać śmiertelny cios. Conan skoczył do przodu i nagle coś chwyciło go za stopy, by dziwnym sposobem rzucić go na kolana! Z desperacją machnął mieczem. Jego koniuszek przeciął nieosłoniętą pachę przeciwnika i czerwona krew trysnęła w odpowiedzi na piieszczotę stali. Miecz wypadł z pozbawionych czucia palców, a ramię opadło niczym kawałek drewna. Strażnik dziko osłonił się tarczą, ale jego siła słabła wraz z tym, jak jego tunika coraz bardziej nasiąkała krwią. Kolana mu się ugięły i upadł, umierając, w zasięgu dłoni Cymmeryjczyka. Krew płynąca z policzka Conana plamiła jego potężną klatkę piersiową. Podniósł się na nogi, ale one aż do kostek zakopane były w piachu! Mocował się z nimi przez chwilę, a potem z westchnieniem ulgi poczuł, jak uwalniają się z uścisku ziemi. Jednak już przy następnym kroku ponownie zapadł się w piach aż po kostki! Pod wpływem tego nowego zakłęcia poruszał się jeszcze wolniej niż odziani w zbroje ludzie. Mimo to, usta jego wykrzywiły się w bitewnym uśmiechu! Z trudem odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z atakiem czterech, nadal pozostałych przy życiu strażników. Nadchodzili miarowo, w błyszczących zbrojach, w tunikach błękitnej, zielonej, fioletowej i złotej, z pewnymi siebie uśmiechami na twarzach. Ostrza mieczy migotały przed tarczami.

Cymmeryjczyk postąpił dwa wolne kroki do tyłu i ponownie stanął przy ołtarzu. Wyglądał imponująco z czerwonym mieczem w dłoni, z zakrwawioną twarzą i poplamionym, błyszczącym ciałem. Choć jego stopy do kostek zatopione były w czarnym piachu, nadal górował nad swoimi czterema wrogami. Podchodzili wolno, ramię przy ramieniu, tworząc półokrąg śmierci zakutej w spiż i stal. Tłumy ucichły, a palące promienie słońca spływające z nieba, odbijały się od białego ołtarza i otaczały opaloną postać barbarzyńcy niczym aureola płomieni.

— Chodźcie, moi sprawni rzeźnicy — powiedział miękko Conan. — Chodźcie i pozwólcie, że złożę na was pocałunek mojej stali.

W odpowiedzi twarze mężczyzn rozjaśnił uśmiech, ale bali się śmierci i mięśnie ich policzków były napięte, a w oczach płonęła dzika żądza zabijania. Uśmiech Cymmeryjczyka rozszerzył się. Byli już wystarczająco blisko. Jego miecz skoczył do twarzy strażnika w błękicie. Tarcza się uniosła, a lewa dłoń barbarzyńcy wyrzuciła nóż! Pomknął prosto i pewnie, przeciął słoneczne powietrze srebrzystą, metaliczną linią i znalazł nie osłonięte zbroją miejsce. Stal zatopiła się w udzie strażnika, gdzie blisko skóry pulsowała wielka tętnica. Z krzykiem błękitny strażnik upadł do przodu i usiłował machnąć mieczem w bok.

Zapominając o więżącym go piasku, Conan chciał odskoczyć i za późno zadał cios swym ostrzem. Stal starła się ze stalą, a gdy ramiona Cymmeryjczyka uderzyły w ołtarz, na swoim udzie zobaczył krew. Z gardła wyrwał mu się okrzyk furii. Powstrzymywany przez piach, rzucił się na trzech pozostałych strażników. Jego miecz uderzył w tarczę ze spiżu. Tarcza zachwiała się pod uderzeniem. Strażnik w fiolecie odskoczył do tyłu. Zielony i złoty otoczyli go z dwóch stron. Ich miecze zabłysły w górze. Barbarzyńca zakręcił swym mieczem nad głową, który świetlistym łukiem opadł na hełm złotego strażnika i na moment go ogłuszył, a

miecz jego zawisł w powietrzu i nie dotarł do celu. Jednak miecz drugiego mężczyzny był niżej i zadał cios, który barbarzyńca sparował. Uderzenie było tak silne, że Cymmeryjczyk upadł na kolano lecz błyskawicznie przesunął się w bok i w sekundę później jego miecz ponownie uderzył strażnika w zieleni, tak że jego dłoń, nadal dziko trzymająca rękojeść, upadła na ziemię.

Tymczasem strażnik w fiolecie wyciągnął swój nóż. Conan nie miał czasu się wycofać, ale jego umiejętności, które nie raz pomagały mu ścinać mieczem strzały w locie, i tym razem wysłały miecz w odpowiednim momencie. Nóż strażnika zasyczał i uderzając w kamienny ołtarz, wydał dźwięk podobny do brzęku złotej monety. Teraz fioletowy i złoty strażnik wycofali się, podczas gdy mężczyzna w zieleni usiłował zatamować krew płynącą z ramienia i kulejąc oddalił się po czarnym piachu. Gdzieś zabrzmiała trąba, a zza barierki nadleciała strzała. Zielony strażnik warknął pod jej ukąszeniem i upadł na ziemię, twarzą w piach.

Conan po raz kolejny z trudem stanął na nogi i uśmiechnął się gorzko. Strażnika trzymała tylko surowa dyscyplina. Musiał zwyciężyć lub... zginąć. Złoty i fioletowy strażnik popatrzyli na ciała swych zabitych towarzyszy, a Cymmeryjczyk ruszył w ich stronę potężnymi krokami. Strażnicy cofnęli się, nie chcąc by ich rozdzielili. Dwukrotnie, szybkie ostrze Conana odbijać musiało rzucane przez nich noże. Przy barierkach ponownie zabrzmiała trąba ostrzegając przed kolejnymi strzałami. Błdzi mężczyźni zwrócili się w kierunku dźwięku, a potem z desperacją złapali miecze i ruszyli na Cymmeryjczyka.

Conan nie zatrzymał się w swoim marszu. Z każdym krokiem mięśnie jego ud napinały się niczym serpentyny pod osłoną ciała. I z każdym krokiem, spragniony piach, poił się jego krwią. Ust jego nie rozświetlał uśmiech, ale jego zęby pobłyskiwały dziko w otwartych ustach. Zatrzymał się raz, by chwycić tarczę jednego z zabitych i po raz kolejny uświadomił sobie ponadczasowe, głodne krwi oczekiwanie tłumu. Tłum wiedział już, że skończyły się sztuczki i zabawa. Walka będzie wyrównana; dwóch ludzi przeciwko jego potężnej sile. Nie można już dłużej zwlekać. Strażnicy wyczuli to gorzkie ostrzeżenie i stanęli nieruchomo, z podniesionymi tarczami. Mężczyzna w fiolecie zacisnął lekko swój uchwyt na rękojeści miecza i Conan dostrzegł delikatne jego drżenie. Cymmeryjczyk zatrzymał się w niewielkiej odległości od nich.

— Człowieku w złocie — powiedział miękko. — Obiecałem ci, że zginiesz na końcu za ten twój świetny rzut nożem. Człowieku w fiolecie...

Żaden człowiek nie mógłby dostrzec napinania się mięśnia Conana, które wysłało tarczę z jego lewej dłoni. Było to tak nagłe i niespodziewane, jak wypuszczenie strzały z łuku. Podobnie nagłe było, gdy tarcza uderzyła w osłoniętą hełmem głowę złocistego strażnika! Jej siłę porównać można jedynie z siłą młota bogów! Strażnik zachwiał się i upadł na ziemię, a barbarzyńca ryknął wojennym okrzykiem w niebiosa, uwolnił stopy z piachu i ruszył na fioletowego strażnika!

Już za chwilę stal wałęsała w spiz i starła się z drugim ostrzem. Przez moment dwóch ludzi stało twarzą w twarz, ścierając swoje miecze. Potem powietrze przeszył kolejny lwi okrzyk Conana, a jego miecz, niczym promień słoneczny, uderzył w wyrzuconą w górę tarczę. Jego ramiona skurczyły się pod wpływem wysiłku mięśni; całe jego tytaniczne ciało nagięło się do tego ciosu. Miecz uderzył prosto i na czas oddechu, dwa ciała starły w tej konfrontacji, a potem tłumy zobaczyły, co się wydarzyło. Głowa, wciąż zakuta w fioletowy hełm, odbijała się niczym jakaś przedziwna piłka po piachu!

Szybkim ruchem ręki Cymmeryjczyk odrzucił do tyłu pokryty krwią tułów i ciężko zwrócił się w kierunku człowieka w złocie, który nadal niepewnie trzymał się na nogach.

— Chodź i zgiń — powiedział Conan.

Złoty strażnik podniósł miecz salutując.

— Nie, bracie — powiedział wyraźnie. — Ty będziesz żył za mnie. Pamiętaj to, gdy spotkamy się w jakimś innym życiu, nazwij mnie wtedy swym towarzyszem: Ty jesteś tym człowiekiem!

Schował miecz do pochwy, odwrócił się i prosto, z podniesioną wysoko głową, z opuszczoną tarczą, ruszył w kierunku trąby i strzały, która zadać mu miała śmierć.

— Dwie bitwy zostały stoczone — mruknął Conan. Stał na mocnych nogach, ze zgarbionymi ramionami, lecz nie sprawiał wrażenia, jakby przytłaczał go ciężar. Była w nim moc i potęga. Wiedział już, że fioletowe cienie czają się po zachodniej stronie czarnej areny, i że okryły przyjaźnie wykrzywioną twarz Kassara. Odwrócił głowę, by uśmiechnąć się do zwłok swego brata krwi.

— Kilka kropli twojej krwi zostało już pomszczone, mój bracie — powiedział.

Wyprostował ramiona i wznosił miecz tak, że błysnęła czerwienią w zachodzącym słońcu.

— Przyślijcie swoich bogów! — ryknął w stronę tłumu — a może ich fioletowa krew

kurczy się ze strachu przed pieszczotami Conana?

Pojawił się szept przypominający podmuch Ognistego Wichru, a oczekującemu człowiekowi zdał się przybierać formę ostatnich słów złościstego strażnika: „Ty jesteś tym człowiekiem?”

Cymmeryjczyk zmarszczył brwi ze zniecierpliwieniem. Nie wiedział, co oznaczał ten szept, ale jego przyzwyczajone do walki członki zeszytywały. Machnął mieczem, po raz kolejny dźwignął swe stopy, by udać się do ołtarza, którego czysta biel splamiona była krwią. Jego błękitne oczy, zapadnięte pod zmarszczonymi brwiami, skierowały się w kierunku Czerwonej Bramy, gdzie, jak powiedział Bourtai, czekał koń. Cóż, nie dałby rady do niej dotrzeć. Bogowie nadchodzili, a kapłani odziani w szkarłat, błękit, złoto, zieleń, srebro, fiolet i czerń dodadzą swą siłę do ramienia ich bóstw. Barbarzyńca zakręcił mieczem w dłoni, podrzucił i sprawnie złapał go w powietrzu. Schylił się po kolejną broń. Podniósł ją, a ona zatrzęsała się i zaśpiewała w jego dłoni. Conan uśmiechnął się. Podniósł w górę swoją głowę w czarnej koronie włosów i w tej samej chwili zabrzmiała trąba. Trzecia bitwa się rozpoczęła! Conan spojrzął szybko na drzwi u podnóża ołtarza, ale były zamknięte. Żaden też człowiek nie nadchodził od strony bram. Zmarszczył brwi, czując, jak wzrasta w nim napięcie od tego czekania, a potem oczy jego rozszerzyły się i pierś rozdarł mu krótki, szorstki śmiech. Z plam krwi na piachu i ubraniach strażników zaczęły wyrastać małe, czystobiałe płomienie! Gdy tak się im przyglądał, płomienie zaczęły łączyć się i co chwilę kolejny jęczyczek ognia przyłączał się do nich, tworząc coraz wyższy i gorętszy ogień, aż w końcu środkowa część areny zamieniła się w jeden płomienny słup. Słyszał trzaskanie wznoszącego się wysoko, w nieruchome powietrze, ognia, który w końcu dwukrotnie przerósł postać tego brązowego giganta, stojącego w oczekiwaniu, dzierżącego w dłoni potężny miecz, z nieustraszoną odwagą w swoich błękitnych oczach.

Ubrania strażników nikły w płomieniach. Wzniosły się czarne nici dymu, a barbarzyńca rozszerzył nozdrza, by wciągnąć odór palącego się ciała, połączony z zapachem nasiąkniętego krwią piachu. Piękny i wzniosły był ten magiczny ogień, który płonął tuż przed nim, a potem, z wolna i rytmicznie, niczym grupa maszerujących żołnierzy, skierował się ku Cymmeryjczykowi.

Conan mocno zacisnął pięść na swojej stali. W sercu nie miał już nadziei, ale wiedział, że uczyni, co tylko w ludzkiej mocy, by przeciwstawić się tej potędze bogów! Wzniósł lewą rękę, by dotknąć Kryształu, wciąż wiszącego mu u szyi i przez chwilę ponury uśmiech zagościł na jego ustach.

Wzniósł miecz w kierunku płomieni i trzymając go w gotowości, ruszył w stronę płomiennego, białego słupa. Języki ognia wysuwały się na jego spotkanie, niczym pchnięcia setek mieczy. Jego skóra zdawała się pękać w tym upale, a oczy zwęziły się pod atakiem płomieni. Czuł smród palących się jego własnych włosów. Mógł już prawie dotknąć ogień końcem miecza, ale coż by to dało? Rękojeść miecza parzyła mu dłoń. Czuł gwałtowne wichry, jakie płomienie wysyłały w górę i przez chwilę nawet dzika odwaga Cymmeryjczyka się załamała. Ale potem usta jego otworzyły się w niewyraźnym okrzyku, upuścił miecz i rzucił się z otwartymi ramionami prosto w serce płomienia!

Nastąpiła chwila rozdzierającego bólu i szaleńczego gorąca — ale minęła! Oślepiający, płomienny słup zgasł, a barbarzyńca, niepewnie stojąc na nogach, zorientował się, że trzyma w objęciach zgrabione głowy zwłoki fioletowego strażnika! Z przekleństwem odrzucił od siebie to ciało i rozejrzał się po arenie. A więc w ten sposób walczą bogowie, doprowadzają człowieka do ostateczności, a potem wymykają mu się z rąk? Cymmeryjczyk wysoko wznosił ramiona i wydał z siebie ryk złości. Potem oczy jego rozszerzyły się. Na ramionach nie było żadnych oparzeń, żadnego śladu tego magicznego ognia. Palcami przecesał włosy i zorientował się, że są tak gęste i długie, jak przedtem, nienaruszone przez płomienie. Także duszący zapach zamarł. Czuł tylko odór krwi i potu.

Nagły, cichy, złośliwy śmiech dobiegł jego uszu. Próbując się odwrócić, prawie upadł zapominając, że jego stopy tkwią głęboko w piasku. Przed nim jaśniał łuk tęczy, złożony z siedmiu kolorów, siedmiu czarnoksiężników. Gdy wpatrywał się w nią, z zadumą pełną wątpliwości, tęcza nagle zaatakowała go niczym miecz. Cymmeryjczyk uchylił się, ale głowę musnęła mu ostra stal! Kępka włosów upadła na piach. Conan zaśmiał się ostro. Uwolnił stopy z piachu i rozpaczliwie skoczył, by chwycić swój porzucony miecz i wzniesić jego błyszczącą stal przed sobą. Tak, to było coś, przeciwko czemu mógł walczyć wojownik. Miecz tęczy runął na niego, a on wznosił tarczę swej własnej stali przeciwko niemu. Nie dał się słyszeć żaden dźwięk, ale tęcza świsnęła tuż obok jego gardła, i gdy odwrócił się, by na nią spojrzeć, ujrzał nie jeden, lecz dwa promienie światła, których ostrza niosły śmierć! Błękitne oczy barbarzyńcy zamglila złość. Teraz z pewnością czeka go śmierć, jeśli

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

uderzenie jego miecza powiększa liczbę mieczy przeciwnika! Tęcze wyginały się niczym płomienie, przecinały powietrze niczym welony tańczących dziewcząt, sięgały ku jego gardłu, obydwa uderzając jednocześnie szybkimi ciosami przypominającymi uderzenia pałeczek na wojennym bębnie. Cymmeryjczyk uchylał się, robił uniki i obracał w kółko, i tylko w ostateczności wznosił swoje własne ostrze. Ale, mimo to, już po chwili wokół jego uszu świszczają siedem świetlistych ostrzy.

Myśli Conana były wirem szaleństwa, ale gdzieś, w głębi jego umysłu, zaczął świtać pomysł. Nikt nie mógł walczyć z magią, narzędziem wykonanym ludzką ręką, ale wszak miał przed sobą magiczne miecze! Musi tylko skoczyć i je chwycić. Siedem ostrzy światła otaczało go, poruszając się prawie niezauważalnie w powietrzu, wznosząc się do ostatecznego ciosu, jaki powali go w siedmiu kawałkach na ziemię. Jeśli można coś zrobić, to musi to zrobić natychmiast. Cymmeryjczyk odrzucił od siebie swój miecz i olbrzymim skokiem wyrzucił w górę potężne dłonie, by chwycić fragmenty kolorowego światła. Ból przeszył jego palce i dłonie, jakby chwycił ostrze noża. Zaciśnął je jednak mocniej na tych dwóch magicznych mieczach, które uchwycił, zakręcił nimi wokół swojej głowy i nagle... powietrze wokół niego było puste! Rozluźnił uścisk i przez palce przesywał mu się jedynie czarny piach. Cymmeryjczyk stał z opuszczonymi rękami, a ramiona jego ugięły się pod wpływem zmęczenia walką z nieznanym, z wrogiem, którego ludzkie ręce nie mogły uchwycić, i który zniknął w powietrzu zamieniając się w garść piachu. W nic nie mógł uderzyć, ale wiedział z potworną pewnością, że byłby zginął marnie pod ciosem świetlnych mieczy, gdyby duch w nim zamarł chociaż na jeden moment. Spotkał już wcześniej dzikie bestie i ludzi, sprawnych i szybkich zarówno w umyśle, jak i w ciele, ale cóż mógł uczynić w walce z duchami?

Wolno wziął głęboki oddech i równie wolno jego głowa dumnie wzniosła się w górę, jak za dawnych czasów. Jego twarz porysowała się zmarszczkami bólu i braku nadziei, ale gdzieś głębiej, nadal płonęła iskierka odwagi. Nadal nie tracił ducha. Wpadł na pomysł, który zbił z tropu przeciwnika. I nagle, gdzieś, a mogło to być tak daleko, jak porośnięte dżunglą wzgórze poza Turghol lub tak blisko jak bicie jego własnego serca, usłyszał bicie bębnow.

Cymmeryjczyk odwrócił się sztywno na zmęczonych nogach i zobaczył, że drzwi u podstawy ołtarza znów były otwarte. Nagle pojawiła się w nich... kobieta! Piękno jej ciała owiniętego w woale niczym w pajęczynę, odebrało mu dech. Jej ciemne włosy spływały prosto na ramiona niczym strumienie czarnego atramentu i zdawały się płamić marmurową biel jej ciała. Podczas gdy Conan wpatrywał się w nią, jej stopy z wolna zaczęły poruszać się w rytm bicia bębnow, a jej pełne wdzięku ciało zginało się i kołysało w rytmie starym jak sama materia, a młodym, jak pożądanie. Barbarzyńca przeciągnął umęczoną walką dłońią po oczach. Obiecali mu honory, jeśli wygra. Czy możliwe jest, żeby to była jego zwycięska nagroda? Z trudem wykonał jeden krok do przodu i zdało mu się, że cały zebrany tłum wstrzymał oddech. Zmarszczył brwi i zatrzymał się.

Lekki wiatr powiał po śmierdzącej arenie, ale dla Conana przyniósł on zapach jaśminu i perfum. Wzdrygnął się, ale nadal stał sztywno. Była w tym jakaś diabelska sztuczka. Ale w tańczącej dziewczynie nie było żadnego zła. Falowanie jej woali rzucało zaklęcia i zdawało się, że gdy jej kołyszące się ciało opowiadało swoją starożytną historię, Conan usłyszał pieśń szeptaną przez jej czerwone, pełne usta.

— Moje włosy — szeptała — mają zapach mirry, a moje ramiona są cudownie miękkie. W oczach moich jest zapomnienie, a w oddechu ukojenie — śpiewała — obejmę twoją zmęczoną głowę i dam ci sen. Chodź do mnie, potężny wojowniku, chodź.

Cymmeryjczyk poczuł na policzku motyli dotyk woali i wiedział, że był bardzo zmęczony, i że odpoczynek byłby słodki. Wiedział, że żadna bitwa nie była warta pustego kielicha wzniesionego do ust zwycięzcy, i że opór był próżny.

— Zaśpiewam ci słodkie pieśni — mruzczała — i ukoję dzikie bicie twego serca. Moje dłonie pachnące olejkami ochłodzą gorączkę twych skroni, a cały wysiłek, jaki nazywamy życiem pójdzie w zapomnienie... zapomnienie...

Zdało się Conanowi, że bębny waliły coraz wolniej, a dźwięki cymbałów stawały się coraz cichsze. „Odpocząć” — pomyślał. Odpocząć. Zakrył płonące oczy dłońmi, a ciężar umęczonego ciała rzucił go na kolana. Piasek był miękki. Opuścił ręce, a woale wirowały przed jego oczami niczym umierające ptaki. Piękno kobiecego ciała wzbudzało w nim pożądanie. Co dziwne, przez woale mógł dostrzec jeszcze coś innego, coś białego, jakby twarz, która wpatrywała się w niego bez żadnego dźwięku. Nie chciał jej widzieć, ale ona nie zniknęła. Chciał odpocząć, a ta rzecz mu przeszkadzała. Jego pięści zaciśnęły się... i nagle zrozumiał, co to było. Patrzył w martwą, umęczoną twarz Kassara!

Z wielkim wysiłkiem Conan stanął na nogi. Skrzyżował ramiona przed oczami i zaczął posuwać się do tyłu. Bicie bębnow stało się szybsze, a on całym, swym ciałem wyczuwał

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichur

gwałtowny taniec kobiety, taniec triumfu i radości. Jej oczy, przedtem ciemne i głębokie, teraz płonęły ogniem, a za jej czerwonymi ustami mógł dostrzec małe, ostre zęby. Opuścił ręce i rzekł szorstko, niczym dawno zmarły człowiek:

— Znam cię, kobieto! Ty jesteś śmierć!

Z ust tańczącej dziewczyny wydarł się wrzask i nagle jej strój stał się czarny, a z fałd woali zaczęły wypęłzać potworne, obrzydliwe stworzenia. Jej twarz wykrzywiła się, a jej ciało skurczyło i odpadło od kości. To śmierć patrzyła w niego tam, w samym środku nieruchomej areny. Nagła siła przeszła jego ciało i długimi skokami dopadł potwornej maskary. Był niczym oszalały. Teraz, teraz pokona śmierć! Odłoni tę obrzydliwą głowę i uwolni ją z brudnych szmat. Rozbije ją na kawałki. Rzucił się do przodu, a kobieta, czekając, spojrzała na niego i wyciągnęła kościste ramiona, by go uściśnąć. Cymmeryjczyk wzdrygnął się i zatrzymał.

Wyciągnął sztywne ramię w kierunku dziury, z której przybyła szkarada.

— Idź — powiedział sztywno. — Idź. Już wkrótce mnie uściśniesz, ale do tego czasu zniknij!

Kościste ramiona zakołysały się, a postać zawirowała. W miejscu, gdzie były kości, pozostał biały blask, a poza tym... nic. Przez chwilę czarne szmaty stały puste, a potem opadły na ziemię i zmieniły się w czarny piach.

— Zaczekaj! — krzyknął Conan.

Z pustki powietrza odpowiedział mu szept:

— Czy rozkazujesz mi zostać, człowieku?

— Zwyciężyłem — powiedział spokojnie Conan — i są pytania, na które musisz mi odpowiedzieć, bo złożyłem obietnicę. Ilu ludzi rządzi Turghol?

Daleki szept, oddalając się cały czas, odpowiedział:

— Kto rządzi księżniczką, rządzi Turghol.

— Ilu ludzi nią rządzi?

Szept był tak odległy, że zdawało się, iż nie dobiega żaden dźwięk, ale Cymmeryjczyk usłyszał odpowiedź.

— Zapytaj o to kryształową kulę!

Conan zadrżał i rozejrzył się wkoło. Powietrze przebił wysoki, pełen triumfu dźwięk, a cienie, jakie przeszły czarny piach, wzniosły się ku wschodniej części areny. W powietrzu był czerwony blask promieni zachodzącego słońca, a po piasku maszerowali ludzie, szeregi kapłanów i strażników, którzy mieli stoczyć przegraną bitwę swoich bogów. Przez chwilę Conan przyjrzał im się, a potem zaśmiał się głośnym śmiechem, który nie raz rozbrzmiewał w jego piersiach przed bitwą.

Z pustymi rękoma, z nagim ciałem poplamionym krwią Conan odwrócił się i pomaszerował, by stawić czoła tysiącu ludzi. Ich oczy wpatrywały się w niego, a ich miecze były wzniesione, by zadać mu śmiertelny cios. On szedł pewnie, bez strachu, a złoty promień światła błysnął w jego czarnych włosach. Broń wypadła z rąk mężczyzn. Upadli na kolana i bili czołem o czarny piach.

Niczym daleki, słaby szept śmierci, westchnienie dobiegło od rozpostartych na ziemi ludzi, z oczekującego, splamionego krwią tłumu:

— Ty jesteś tym człowiekiem!

ROZDZIAŁ VII

BOURTAI CZARNOKSIĘŻNIKIEM!

Czerwona brama była tuż przed Conanem i otworzył ją mocnym pchnięciem. Wolnym krokiem wszedł w cienie łuku znajdującego się pod rzędami miejsc do siedzenia. W czerwonym świetle zachodzącego słońca dostrzegł wielokolorowe szeregi kapłanów i strażników, zgromadzonych gęsto, niczym sępy na swojej ofierze. Oczy Cymmeryjczyka ze zniecierpliwieniem spojrzały poza ten tłum na wąski dziedziniec, gdzie czekać miał obiecany przez Bourtai koń. Teraz, dla odmiany, miał już dość zabijania. Jednak, gdyby którykolwiek z tych stłoczonych śmieci usiłował go zaczepić...

— Stój, człowieku! — zabrzmiał głośny głos, a szybkie oczy Conana zwróciły się w kierunku wysokiej, postawnej postaci odzianej w szaty ze złota i otoczonej przez szeregi złotych kapłanów. — Stój, człowieku i odpowiedz na moje pytanie. Co powiedziała ci Śmierć?

Conan warknął i odwrócił się, wyrzucając w bok swe muskularne ramiona. Kolejny ostry głos zawołał do niego:

— Nie odpowiadaj mu, człowieku. Mnie opowiedz swój sekret, a ja uczynię cię takim

bogaczem, że przejdzie to twoje najśmielsze marzenia.

— Nie, opowiedz mi!

— Nie, mi!

Z każdej strony nadbiegali ludzie na dziedziniec, a kolory mieszały się między szeregami. Był tam człowiek w fioletowej masce, inny w szkarłatnej, a jeszcze inny w zielonej — sępi czarnoksiężnicy. Barbarzyńca wyrzucił w górę swoje mocne ręce.

— Słuchajcie wszyscy — krzyknął. — Powiem mój sekret tylko jednemu człowiekowi.

Niech przyjdzie do mnie ten, który sam jeden rządzić będzie miastem. Ale nie wcześniej, niż będzie to tylko ten jeden. A teraz rozegrajcie to między sobą!

Przez chwilę pełna zdziwienia cisza zapanowała na tym zatłoczonym dziedzińcu i w tym samym momencie otworzyła się szeroka brama, a za nią Conan ujrzał przyzywającą rękę i srebrzyście pobłyskującego konia. Z rykiem Cymmeryjczyk ruszył do przodu. Wiele rąk czepiało się jego ramion, ale nawet w ich dotyku był strach i żaden nie ośmielił się go zatrzymać. W kilku długich skokach Conan znalazł się przy bramie i przeskoczył przez nią. Pomarszczona małpia twarz Bourtai z uśmiechem spojrzała na niego.

— Tak, panie, wiedziałem, że musisz wygrać!

Bez słowa Conan wskoczył na koński grzbiet. Jego mocna dłoń złapała złachmanione odzienie Bourtai, a jego nieobute stopy uderzyły boki rumaka zmuszając go do ruchu. Kopyta uderzyły z hukiem o ziemię i zadzwoniły na bruk, a hałas dobiegający z areny nikł w oddali.

Cymmeryjczyk rzucił ciało Bourtai na konia przed sobą i przyspieszył. Pozostawił zachodzące słońce po swojej prawej stronie i pogalopował w kierunku Bramy Południowej.

Spomiędzy wysokich, połączanych wież dostrzegł słońce. Było nisko, ale nie dotykało jeszcze wzgórz. Jeśli się pośpieszy, zdąży. Szybki galop przez wzgórza i pozostawi za sobą krainę, gdzie powiewał Ognisty Wicher. Na czystych, dzikich równinach zbierze braci Kassara i przy ich pomocy oczyści ziemię z tego przeklętego plemienia czarnoksiężników. A potem będą już bogactwa dla wszystkich, a on, rządzić będzie miastem!

— Dokąd... dokąd zmierzasz, panie? — Słowa wyskakiwały z ust Bourtai, podczas gdy jego ciało, ułożone na brzuchu, podskakiwało na końskim grzbiecie.

— Do Agrimaha albo do piekła — powiedział dziko Conan. — Czy ma to jakieś znaczenie?

— Nie, panie, ale po co się tak śpieszyć? Miasto należy do ciebie. Możesz je wziąć w każdej chwili.

Conan nie odpowiedział. Jego mocna, prawa dłoń przydusiła Bourtai. Lewa dłoń, trzymająca lejce, prowadziła konia, poruszające się mięśnie konia pod jego nogami i powiew czystego, słodkiego powietrza na jego twarzy, przepełniały go radością. Całym sobą czuł rytm uderzających w ziemię kopyt. Bourtai przez cały czas wyrzucał z siebie różnorodne pytania, ale z ponurych ust barbarzyńcy nie dobiegała żadna odpowiedź, więc po chwili zamilkł.

Conan zaczął odczuwać zmęczenie. Rana w udzie nie dawała mu spokoju, a przecięty nożem policzek zdawał się być pozbawiony wszelkiego czucia. Wiatr był zimny dla jego pokrytego potem, nagiego torsu, ale widział przed sobą Południową Bramę. Mocno się pochylił i uderzył boki konia. Strażnicy na murach patrzyli w jego stronę, a z boku drogi stała przygarbiona postać, ubrana w czarne szaty i z czarną maską na twarzy!

Piersć Conana przepełniła złość i skierował konia w tę stronę. Za chwilę będzie o jednego czarnoksiężnika mniej i o jednego czarnoksiężnika mniej roboty będą mieli jego ludzie! Za chwilę... Koń cofnął się ostro, uderzając powietrze kopytami, a z jego nozdrzy dobiegł odgłos przerażenia. Conan dziko mocował się z rumakiem, a w końcu uderzył go w głowę. Rumak opadł z powrotem na ziemię, ale skręcił ze ścieżki, po której pędzili. Czarnoksiężnik nie poruszył się, ale Cymmeryjczyk czuł na sobie napięty wzrok złośliwych oczu, spoglądających przez szpary wycięte w masce.

Po raz kolejny Conan zmusił rumaka do ataku i po raz kolejny koń zaprotestował, i niemalże go zrzucił. Barbarzyńca dziko skoczył na ziemię i ruszył ku nieruchomej postaci. Jeden, dwa skoki i nagle coś niewidocznego uderzyło go w piersi, w czoło i uda, jakby runął na kamienną ścianę. Jego głowa zakołysała się od tego uderzenia, cofnął się, ale ponownie zmusił do ataku. Tym razem zdołał uczynić tylko jeden krok nim powstrzymała go ta sama przeszkoda.

— Jesteś moim więźniem! — miękko powiedziała postać w czerni. — Pójdiesz tam, gdzie ci rozkażę.

— Do diabła z tobą! — warknął Conan. Złapał ręką końską grzywę i wskoczył na jego grzbiet ruszając w kierunku Południowej Bramy. Rumak uczynił jeden długi skok, a potem jego głowa odskoczyła i dał się słyszeć trzask łamanych kości. Cymmeryjczyk upadł na

ziemię, a koń runął martwy!

— Tędy, panie, szybko! — krzyknął Bourtai.

Conan stanął na nogi i odwrócił się w kierunku głosu, a potem zobaczył Bourtai machającego do niego z ciemnej uliczki pomiędzy dwoma glinianymi domami. Wyzywające oczy barbarzyńcy przeszły przestrzeń wąskiego przejścia przed bramą. Z wąskich uliczek nadchodziły dwie inne, wysokie postacie w maskach, jedna w srebrnej, a druga w błękitnej.

— Stój, człowieku! — krzyknęli.

Z przekleństwem Conan rzucił się w kierunku uliczki, gdzie zaczął się Bourtai, potknął się w ciemności, a potem poczuł na sobie lekki dotyk kalekiej ręki złodzieja.

— Nie pozwól ci opuścić Turghol, panie — szepnął złodziej. — Każdy z nich raczej by cię zabił niż pozwolił ci znaleźć się w rękach innego. Jeśli jeden cię pojmie, a ty wydasz sekret, może zmienić cię w małą chroniącą jego ogród lub wysłać cię, jako bezmyślnego niewolnika do pracy przy wiosłach na galerach, póki nie nauczysz się posłuszeństwa. Honory, które obiecał ci Agrimah, panie, musisz sam sobie wywalczyć.

Słowa Conana z warknięciem wydobyły mu się z gardła:

— Wywalczę — powiedział gwałtownie. — A Agrimah niech lepiej wzmocni swoją ochronę!

Cichymi krokami szedł w ciemności prowadzony przez Bourtai. Kilkakrotnie potykał się, a wtedy ręka złodzieja podtrzymywała go. Czuł się bardzo zmęczony. Kiedy Bourtai w końcu wskazała na ciemną bramę, a potem na szyb wiodący w dół, Conan rzucił się w niego z gwałtownością, która niemalże kosztowała go życie. Jego nozdrza z przyjemnością powitały duszny zapach pochodni i stęchły odór tuneli kopalni soli. Przytrzymał się ściany i stanął oddychając ciężko.

— Bourtai — mruknął — muszę odpocząć. Jaką mamy dziś noc?

— Piątą, panie, piątą noc Księżyca.

Cymmeryjczyk odetchnął z ulgą i poszedł dalej już z większą pewnością, aż dotarł do komnaty, gdzie ognisko z końskiego łajna wysyłało w górę duszny dym, i gdzie nerwowo rozglądające się szczury Turghol przycupnięte na podłodze oczekiwały na żer. Bez słowa rzucił się na posłanie i zapadł w sen.

Teraz, gdy wyczerpał ostatnie rezerwy swej siły, jego sen powinien być głęboki i pozbawiony marzeń. Dlatego też dziwne było, że przez umysł Conana zaczęły przewalać się obrazy ludzkich potworów. W swojej wyobraźni ponownie rozegrał trzy bitwy Agrimaha; po raz kolejny usłyszał uwodzącą pieśń Śmierci i swój własny głos wykrzykujący pytanie: „Jak jeden człowiek może rządzić Turghol?”

Zdawało się Conanowi, że on sam musi odpowiedzieć na to pytanie i czuł się, jakby staczał walkę zapaśniczą z tym koszmarem sennym. Jakaś jego część chciała wypowiedzieć tę odpowiedź, a inna znów część się temu sprzeciwiała. Nagle obudził się z tego głębokiego snu. Otworzył oczy, które od razu napotkały pomarszczoną, złośliwą twarz Bourtai pochyloną nad nim!

Cymmeryjczyk uśmiechnął się ponuro i ponownie zamknął oczy.

— Nie przerywaj swoich zaklęć, Bourtai — powiedział szorstko. — Kiedy będę chciał mówić, to będę mówił, ale nie wcześniej. Mamy dopiero piątą noc Księżyca.

— Wybacz, panie. — Głos Bourtai był kpiący w swej pozornej służalczości. — Teraz mamy już szóstą noc i ciemną godzinę Psa. Długo spałeś.

Conan ciężko opuścił nogi na podłogę i przeciągnął się. Rana na udzie została przemyta i opatrzona balsamem. Ze złością zerwał opatrunek.

— Otwarte rany goją się lepiej, głupcze — powiedział szorstko. — Gdzie jest posiłek, który kazałem sobie kupić?

Twarz Bourtai zmarszczyła się w zachwycie.

— Twoje klejnoty przestały istnieć, panie. Czyżbyś nie poderznął gardła Tsien Hu?

Przez chwilę Cymmeryjczyk przypatrywał się Małpiej Mordzie szeroko otwartymi oczami, a potem potężny uśmiech rozjaśnił jego wydatne usta.

— Bez wątpienia, nie dopatrzyłem tego jednego gardła pośród wielu innych — odpowiedział. — Ale daj mi swoje złodziejskie zarcie, bo dzisiejszej nocy będę miał trochę roboty!

Oczy Bourtai zabłyśły radośnie i podniósł się szybko, by napęlić glinianą miskę. Conan pozwolił swoim oczom rozejrzeć się po ponurej komnacie, gdzie wisiał dym w niebieskawych kłębach. Jego kąsanie w oczach i nosie było ulgą po smrodzie tunelu. Oczy Conana zwróciły się ponownie na posłanie i znalazły tam jego żółte, jedwabne ubranie wraz z olbrzymim białym płaszczem od króla. Jego rogowy łuk, miecz i lina zwisały z błyszczących haków na

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichler

ścianie i ich widok sprawił, że poczuł w swoim sercu powracające życie i radość.

— Jesteś dobrym złodziejem, Bourtai — powiedział, jednocześnie przyjmując parującą misę, jaką Bourtai mu podał. — Albo dobrym czarnoksiężnikiem. Może przywołałeś te rzeczy z powrotem do mojej dłoni?

— Nie, panie — odpowiedział skromnie Bourtai. — To twoja wspaniała magia to uczyniła i nie miej co do tego żadnych wątpliwości. Gdy spałeś w ciemności, twoje odzienie i twoja broń wróciły.

Conan mruknął spoglądając podejrzliwie w złośliwe oczy Bourtai.

— Skoro tak mówisz, Małpia Mordo — zgodził się bez entuzjazmu. — Mam jednak nadzieję, że nie będziesz musiał odwoływać tych słów.

Wielkim łykiem pochłoniął zawartość miski i poczuł, jak gorąca stawa wypełnia mu ciało. Potem przeciągnął się jeszcze raz i nałożył na siebie złociste jedwabie oraz opasał sobie linę wokół pasa. Następnie nałożył sobie na ramiona płaszcz i przypasał miecz oraz łuk. Gdy tylko ten łuk zawisł ponownie na jego barkach, znów poczuł się mężczyzną, a w błękitnych oczach zabłyśł mu dobry humor.

— Zaczynamy, Bourtai — powiedział. — Najpierw zaprowadzisz mnie do wieży, gdzie tańczą płomienie, i gdzie kryształowa kula pływa w fontannie.

— Na ten dach, panie, na którym przedtem byliśmy?

Conan potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie, to za nisko. Musimy znaleźć się w punkcie, gdzie będę mógł połączyć się z duchami niebios, z moimi rodzicami.

Bourtai zawahał się, a potem wzruszył zgarbionymi ramionami.

— Tędy, panie — zgodził się. — Jesteś mężczyzną i wiesz, co robisz.

Poprowadził przez jeden z wielu tuneli kopalni.

— Jestem mężczyzną — Cymmeryjczyk odparł poważnie. Ruszył, nonszalancko poruszając swymi szerokimi ramionami i po chwili zaczął nucić pod nosem. Od nowa czuł swą siłę, a jego żołądek był pełny. W trzech bitwach nauczył się pewnych rzeczy i z ich pomocą stanie się panem Turghol. Pomści Kassara, a sam się wzbogaci. Wszystko to było częścią obietnicy. Niemalże zapomniał, że zamaskowani ludzie z kapłanami i strażą szukają go po całym mieście, i co może się z nim stać, gdy wpadnie w ich ręce.. Gdyby mogli przewidzieć... że on nie wiedział więcej niż oni sami mogli zgadnąć... Conan odrzucił w tył głowę i cały zadymiony tunel odbił echem jego gromki śmiech. Cóż, póki się tego nie dowiedzą, będą się go bali, a on będzie mógł dyktować warunki. Nie mógł czekać na trzynastą noc i na Godzinę Świni. Musiał się śpieszyć zanim tysiące poszukujących go ludzi nie natkną się na kopalnię soli, a wtedy... mógłby być koniec Conana z Cymmerii.

— Mój pan jest szczęśliwy — szepnął Bourtai. — To bardzo cieszy moje serce.

— Są pewne drobiazgi, które muszę wiedzieć, moja małpko — powiedział lekko Conan.

— A potem... cóż, potem poczęstujemy się bogactwami Turghol!

— A księżniczka? — podstępnie spytał Bourtai.

— Jeśli o to chodzi, ty gadatliwa małpko — odpowiedział lekko Conan — księżniczki są dla mnie zbyt chłodną i złośliwą nacją. Ale czas odpowie na wszystkie pytania, Bourtai, nawet na pytania Śmierci.

Teraz wspinali się po chwiejnych drabinach w studni wiodącej do piwnic, po czym z piwnic doszli do krętych schodów, a one doprowadziły ich do okolic wieży.

— Te twoje tunele, małpko, wiodą wszędzie, gdzie chcesz dojść — powiedział Cymmeryjczyk. — Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wiodą do samej Wieży Płomienia. Albo może do skarbcza Turghol.

Bourtai wspinając się z przodu, po krętych stopniach, od ściany do ściany niczym krab, odwrócił się teraz, by spojrzeć w twarz Conana i nerwowo potrząsnął głową.

— Nie, chronione są przez zaklęcie, panie, przez magię siedmiu czarnoksiężników, tak, że nikt nie może przerwać ich zaklęcia.

— Ale ty próbowałeś, bezogonowa małpko?

Oczy Bourtai spojrzały przez ramię na Conana pełne oburzenia.

— Panie, na imię mam Bourtai.

— A! Trudno to zapamiętać patrząc na ciebie. Ale chyba usiłujesz wymigać się od odpowiedzi na moje pytanie.

— Nie, panie. W istocie, jest tunel wiodący bezpośrednio do Wieży Płomienia. Ale dochodzi do zaczarowanego muru, po którym czasami przebiega żar płomieni. Nie ośmielamy się dalej zapuszczać.

Conan mruknął i spojrzął w stronę wierzchołka wieży. Kamienne stopnie, pozbawione

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

jakiegokolwiek zabezpieczenia i poręczy, wznosiły się aż do samego wierzchołka, aż do wąskich drzwi na górze. Musiał tam być jakiś pokój i balkon.

— Twoja wieża, Bourtai? — spytał miękko Conan.

— Czyż złodziej chciałby mieć wieżę, w której nie ma bogactw?

Conan odezwał się:

— Nie wiem, małko. Nie, chodź tutaj.

Jego wyrzucona w bok dłoń złapała nadgarstek złodzieja i mocnym pociągnięciem zawiesiła go nad przepaścią! Cymmeryjczyk uczynił jeden krok, sprawnie utrzymując równowagę na stopniach, a pomarszczone oblicze złodzieja wyrażało olbrzymie zdumienie.

— Myślę, że jest tu całkiem wysoko, Bourtai — miękko powiedział Conan. — Myślę, że do tych głazów na dole mamy co najmniej z sześćdziesiąt metrów. I wątpię, żeby nawet twoja piekielna magia mogła cię uratować. Nie, nie walcz ze mną, o ile nie chcesz nas obu wrzucić do tej przepaści! — Jego lewa dłoń znalazła hak w ścianie, który wcześniej widział. Mocnym pociągnięciem sprawdził, czy dobrze się trzyma. — A teraz, mój mały, kłamliwy czarnoksiężniku, wydaje mi się, że porozmawiamy sobie językiem prawdy.

— Czy kiedyś cię okłamałem, panie? — zajączał złodziej.

— Bourtai — powiedział Conan bardzo miękko — ty jesteś Najwyższym. Dzisiaj, na twój rozkaz, nóż został zatopiony w brzuchu mego brata i przepowiadano przyszłość z jego wnętrzości. Co zostało ustalone?

— Nie, panie, ja nie wiem.

— Dzisiaj powiedziano mi: „Ty jesteś tym człowiekiem!”. Co mieli na myśli, Bourtai?

Oczy Bourtai z zapałem spojrzały w oczy Conana.

— Panie, jeśli chodzi o pewne sprawy, to okłamałem cię. Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że będziesz musiał stoczyć trzy bitwy. Bo zapisane jest w gwiazdach, że tylko ten, którego włosy są czarne jak noc może w pełni rządzić tym miastem!

— Tak też się stanie — mruknął Conan — a czarnoksiężnicy sprawdzają każdego z ludzi w swoich bitwach, by znaleźć tego właściwego. Potem, każdy czarnoksiężnik, który będzie rządzić tym człowiekiem może za pomocą czarów zniszczyć swoich braci. Ładna to braterska miłość łączy was, czarnoksiężników!

— Panie, pozwól swemu słudze poczuć ponownie ziemię pod stopami.

Conan potrząsnął nim lekko.

— Jeszcze za wcześniej, mały szkodniku. Przepowiednia i jeszcze jedna rzecz, o którą cię zapytam, i na Agrimaha, albo odpowiesz, albo będziesz musiał użyć swej magii na tych kamieniach na dole!

Żelazne palce barbarzyńcy zaczynały być trochę zmęczone, mimo że ten człowiek tak mało ważył, i mimo że wisiał bez ruchu nad przepaścią. Spoglądając w dół, za niego, na twarde głazy na dole, Conan poczuł lekki zawrót głowy... jednocześnie zobaczył oczy Bourtai wpatrujące się w niego. Zaśmiał się krótko i potrząsnął nim.

— Widzę, że nie śpieszysz się z odpowiedzią?

Usta Bourtai odsłoniły żółtoczarne zęby.

— Słuchaj więc, barbarzyńco, i dowiedz się swego losu! Będziesz królował tylko przez jeden dzień, a potem twoje miejsce zajmie jeden tylko czarnoksiężnik.

Błękitne oczy Conana wypełniły się ogniem.

— Jednak myślę, że tym czarnoksiężnikiem nie będziesz ty, Bourtai — powiedział miękko. — Teraz powiesz mi jeszcze jedno. Powszechnie wiadomo, że każdy czarnoksiężnik, dla swego przyszłego bezpieczeństwa, umieszcza swą duszę w pewnym, sekretnym miejscu. Ktokolwiek posiada tę duszę, staje się panem czarnoksiężnika. A ty, Bourtai, poszukiwałeś duszy swych sześciu braci, nieprawdaż? I na próżno? Dlatego też zachodzisz czasem do tej meliny i używasz złodziei, jako swoich szpiegów. Tak, jest tak, jak myślałem. Ale, Bourtai, wszak wiesz, gdzie zamieszkuje twoja dusza!

Złość zmieniła twarz czarnoksiężnika w zwierzęcą maskę nienawiści, i gdy Conan przyglądał mu się, zobaczył, że nie ludzki nadgarstek dzierży w dłoni, ale tygrysią łapę z pięcioma potężnymi pazurami! Uzębione szczęki tygrysa rozdziawiły się w jego stronę, ale mimo to tygrys nie ważył więcej niż Bourtai! Conan jeszcze bardziej wychylił się nad przepaść, a usta jego były mocno zaciśnięte.

— Jeśli mnie chwycisz w swoje szpony, marny czarnoksiężniku — powiedział spokojnie

— spadniesz... a nawet tygrys może zginąć równie szybko jak człowiek!

Z gardła bestii dobiegł ryk złości i terroru, a tygrysią maska zdawała się topić i przeistoczyła się w słodką, ujmującą twarz dziewczyny, której oczy wypełniało błaganie, a usta otwarte były w przerażeniu.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

— Panie — szepnęła — to ja jestem prawdziwym Bourtai. Spójrz, czyż moje oczy nie są czarne? Weź mnie w ramiona, a będę ci służyła!

— O, tak, to z pewnością — powiedział łagodnie Conan. — Gdzie ukryłeś swoją duszę?

— Nie upuść mnie, panie. Wtedy nigdy nie mogłabym być twoja.

— Gdzie ukryłeś swoją duszę?

Dziewczyna zniknęła i Cymmeryjczyk poczuł jedynie zimno w swej dłoni. Zobaczył, że trzymał czystą, krystaliczną wodę. Delikatnie rozszerzył palce i pozwolił, by jedna kropla spłynęła w przepaść. Wtedy woda wydała okrzyk i ręka chwyciła ramię Conana. Przed oczami ponownie ujrzał małego, zgarbionego złodzieja, Bourtai, który desperackim gestem trzymał się jego ramienia. Ręka już bardzo bolała Conana, a jego palce traciły czucie. Obydwaj patrzyli sobie prosto w oczy i Bourtai zobaczył, że w oczach barbarzyńcy nie było słabości.

— Czy w takim razie mnie zabijesz? — szepnął Bourtai. — Beze mnie nigdy nie dotrzesz do księżniczki i nigdy nie będziesz mógł rządzić Turghol.

— Zaryzykuję, ty kłamco — powiedział Conan. — Twoja dusza?

Twarz Bourtai skrzywiła się, ale z jego ust nie dobiegł żaden dźwięk. Schylił głowę.

— Bezlitosny, jest ona w moim bucie. Bo kto, Conanie, chciałby ukraść but złodzieja?

Mocnym wzniesieniem ramienia barbarzyńca postawił Bourtai na stopniach i jednocześnie posadził go, by zedrzeć z niego buty.

— Są wystarczająco brudne, by mogły mieścić w sobie twoją duszę, ty śmieciu.

Stał wyprostowany i za plecami pokręcił jednym butem, a potem drugim, i jak zakręcił butem w lewej ręce, Bourtai zatrzęsł się i padł na kolana. Conan ponownie zakręcił butem, a Bourtai krzyknął głośno z bólu.

— Dobrze — powiedział Cymmeryjczyk. — Nie kłamałeś. Zaprowadzisz mnie przez tunele do zaczarowanego muru, przez który czasami przepływa ciepło płomieni. Dziś w nocy, w Godzinie Osła, zgaszę magiczny ogień, odgonię strażników i dowiem się, jaki sekret kryje kryształowa kula.

Pomarszczona twarz Bourtai z trudem ukrywała kpinę.

— A jak, panie, zamierzasz pozbyć się tych wszystkich strażników? Musisz wiedzieć, że ich liczba została potrojona od czasu, gdy ostatnio spoglądałeś na fontannę i na wieżę. Nie, panie, przysięgam — krzyknął Bourtai. — Ponieważ trzymasz w ręku moją duszę, nie mogę tego zrobić. Strażnicy zostali tam umieszczeni przez moc Siódemki i żaden człowiek nie zdoła ich pokonać. Nawet moja wielka magia nie może tego dokonać.

Conan zawył.

— Wiem coś niecoś o twojej magii. Wiem również o mojej własnej. W Kambuji byli czarnoksiężnicy, którzy potrafili tworzyć tak gęstą i ciemną mgłę, że nie było widać człowieka stojącego obok. Umiesz zrobić coś takiego?

— Z pewnością tak, panie.

— Kiedy minie dwunasta część Godziny Osła — powiedział wolno Cymmeryjczyk — uczynisz mgłę, a potem przyłączysz się do mnie przy wejściu do Wieży Płomienia. W międzyczasie, twoje złodziejskie szczury, napelniają dwanaście worków solą, żeby sprawiały wrażenie, że są to zwłoki niewolników przeznaczone na spalenie. A w Godzinie Osła przyniosą te worki pod wejście do wieży i zaczekają na mnie.

— A ty, panie? Nie myśl, że martwię się, co się stanie z twoją barbarzyńską głową, ale martwię się o swoją duszę w bucie.

Conan odrzucił głowę do tyłu i jego śmiech wzbił się pod sam szczyt 5wieży.

— Mogłbym cię pokochać, Bourtai, gdybyś nie był czarnoksiężnikiem. — Pomógł mu się podnieść i poklepał go po zgarbionych plecach silną dłonią. — Mogłbym cię pokochać, teraz, kiedy mam przy sobie twoją duszę. Bourtai, upewnij się, że wszystko przebiegnie zgodnie z moimi rozkazami. No, idź pierwszy, ty mały złodziejski czarnoksiężniku!

Poszli wiele stopni w dół i na kamieniach, nad którymi wisiał Bourtai zobaczyli małą, rozprysniętą kroplę, ale nie była to woda, lecz krew. Przeszli przez piwnicę i w dół chwiejnej drabiny do tuneli i skierowali się w stronę Wieży Płomienia. Conan oznaczył drogę prowadzącą do magazynu futer. Nawet tutaj, o wiele niżej, wszechobecny był ich smród. Sto metrów dalej, Bourtai wetknął palącą się pochodnię do uchwytu na ścianie i skinął głową w kierunku końca tunelu, gdzie dobrze dopasowane kamienie blokowały drogę.

— Tam, panie, jest zaczarowany mur.

Cymmeryjczyk przyjrzał mu się, a jego usta uśmiechnęły się ponuro.

— Dobrze. Zwiększę liczbę worków z solą, mały czarnoksiężniku. Każdy mężczyzna i kobieta ze złodziejskiej komnaty musi przynieść po jednym i dopilnuj, żeby nie spóźnili się

na Godzinę Osła!

Głos Bourtai przeszła cienka nutka ironii:

— Słyszę cię, panie, i jestem posłuszny.

Pobiegł na bosaka w ciemność, a Conan przewiązał sobie sandały złodzieja wokół szyi i odwrócił się, by ponownie spojrzeć na kamienną ścianę. Mruczał cicho pod nosem i słał w przestrzeń przekleństwa. Tuzin postawnych mężczyzn, z potężnym palem wzmocnionym spiżem, dałoby sobie radę z tą zaczarowaną ścianą w jednej chwili, ale on był tylko jeden... no i nie miał pala. Conan ostrożnie wrócił do drabiny prowadzącej do magazynu futer i wdrapał się na nią, by złożyć tam na podłodze swoje ubranie i uzbrojenie. Zatrzymał tylko miecz i linę, i z tymi rzeczami opasanymi wokół talii sprawnie zszedł na dół, do tuneli. Przy pomocy czystej, ostrej stali swego miecza rozpoczął rozdrapywać twardą ziemię stanowiącą spoiwo gładów, z których zbudowana była zaczarowana ściana.

Od czasu do czasu, podczas pracy śmiał się do siebie. Czarnoksiężnicy mieli jedną słabość. Ponieważ tak całkowicie opierali się na czarach, poza czarami nie mieli żadnej mocy. Nie było tu problemu, którego silny i odważny człowiek nie mógłby rozwiązać, podobnie jak na arenie nie było nic — oprócz walki — z czym Conan wcześniej się nie zetknął. Ale pomyślał, że jednak nauczył się czegoś podczas tych trzech bitew.

Zymmeryjczyk zostawił sobie dwie godziny na pracę, nad rozłupywaniem tej ściany, zatopionej w fosie, otaczającej wieżę. Podobnie jak wszyscy, których czas jest ograniczony, miał bardzo dobre jego wyczucie. Godzina Świni minęła, gdy rozpoczął pracę, a teraz minęła również Godzina Szczura. W końcu jego miecz przebił się przez grubą warstwę ziemi, i gdy go wyciągnął, zobaczył, że był mokry. Za nim wypłynął cienki strumień wody, który potem zwiększył się, wypryskując ze ściany i pobłyskując w czerwonym świetle pochodni.

Conan przyśpieszył tempo pracy. Woda pomagała mu i zdołał wygrzebać sporo ziemi spod skały. Przypatrując się ścianie zobaczył, że równy gład zaczął wysuwać się ku niemu! Szybko podtrzymał go ramieniem. Godzina Osła jeszcze nie nadeszła. Wszystko poszło łatwiej niż się tego spodziewał. Jedną ręką odpiął pas, do którego przywiązana była pochwa miecza.

Zaczeplił płaską, kwadratową klamrę pasa na koniuszku miecza i przy jego pomocy przepchnął ją na drugą stronę muru przez otwór wyskrobany między gładami. Gdy klamra znalazła się po drugiej stronie, pociągnął pas i przekonał się, że zablokowała się na skałach i trzymała mocno. Szybko przywiązał linę do pasa, podczas gdy ciepła woda cały czas lała mu się na nogi. Teraz wszystko już było gotowe. Wyciągnąwszy rękę chwycił pochodnię i zatopił jej płonący koniec w mięknącym błocie na ziemi. Potem złapał drugi koniec pochodni i przycisnął go do niższej części skały, żeby ją podtrzymać. Z wolna zaczął osłabiać nacisk swego ciała na gład. W końcu wydał z siebie oddech ulgi, bo delikatny dotyk koniuszków palców na skale powiedział mu, że gład się nie poruszy, póki on nie będzie gotowy. Po raz kolejny zaczął mruczeć pod nosem, jednocześnie odwijając linę. Owinął ją wokół przytrzymującej gład pochodni i z mieczem w dłoni ruszył w ciemność tunelu, cały czas rozwijając linę. Gdy skończyła się, przywiązał ją do miecza, który z kolei wbił pionowo w ziemię pośrodku tunelu. Zbliżał się właściwy moment. Ostrożnie uczynił kilka kroków w głąb tunelu, jednocześnie macając ręką ścianę w poszukiwaniu uchwytów wiodących do magazynu futer.

— Dwadzieścia dziewięć — mruknął, gdy jego palce znalazły to, czego szukał. Wdrapał się na górę, by się upewnić, po czym zeskoczył w dół i odliczył kroki z powrotem. Za dwudziestym dziewiątym krokiem zatrzymał się i wyciągnął rękę, która dotknęła sterczącej w górę rękojeści miecza. Stał oczekująco, aż w końcu, z dala, dobiegł go ostry krzyk. Na Agrimaha, czyżby niedokładnie skalkulował czas? Czy może Bourtai za wcześnie roztoczył czarną mgłę nad strażnikami fontanny? Nie miał czasu do stracenia. Pociągnął linę, która zwolnić miała pochodnię podtrzymującą gład. Wsadził sobie miecz między zęby, a potem naciągnął linę, opasał ją sobie wokół rąk i mocno napiął grzbiet.

Podniósł stopę i oparł ją na uchwycie w ścianie. Wolno, stopniowo, napinał swe mięśnie. Pocztał zaledwie lekkie ustępowanie gładu. Lina wpijała mu się w ręce, a oddech syczał przez stal w zębach. Uda i plecy wysilały się do granic możliwości, ale gład nie chciał się poddać. Conan dziko rzucił się z jednej strony tunelu na drugą. Schylił się, by złapać linę nowym chwytym i w tej samej chwili krzyki, jakie go dochodziły, nabrały intensywności. Podłoga tunelu pokryta była wodą, która ciepłem otaczała jego stopy, ale to nie wystarczyło. Cały gład musi wypaść, bo inaczej wszystko będzie stracone. Głupio z jego strony, że nie użył kilku złodziei do pomocy. Wszystko przez jego przeklętą dumę. Jego ciało było zgięte niczym łuk. Z nagłą eksplozją siły, rzucił się do tyłu jednym mocnym szarpnięciem.

Lina rozluźniła mu się w rękę i runął do tyłu. Szybko sięgnął po miecz i chwycił go w

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

chwili, gdy jego ciało upadło w wodę. Przez moment, jaki zajęło mu ponowne wstanie na nogi, pomyślał, że mu się nie udało. Potem dobiegł go huk opadającej skały i szum walącej wody. Conan odwrócił się. Zmarszczył brwi w skupieniu i począł odliczać kroki. Jego upadek nie był przewidziany, a woda już sięgała mu do kolan. Przyśpieszył kroku, cały czas przesuwał ręką po ścianie. Jeśli nie znajdzie uchwytu, nie będzie już miał żadnej szansy! — Dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery. Pięć... sześć... — Powinien już być blisko celu, ale nie mógł do końca ocenić długości swych kroków z wodą płaczącą mu się między kolanami. Jego palce natrafiły na coś w ścianie. Czy to to? Wdrapał się wyżej, ale nie było tam żadnych uchwytów, a więc to nie to miejsce! Conan zaśmiał się w ciemności. Jak dotąd udawało mu się... jednak woda, jaką uwolnił z fosi, może zakończyć jego dobrą passę. Miał królować przez jeden dzień. I może ten dzień minął, gdy spał, podczas gdy ludzie na ulicach krzyтели: „Ty jesteś tym człowiekiem.”

Nie było już teraz po co liczyć. Stracił wszelkie poczucie odległości, ale jego palce nadal macały ścianę. Inny uchwyt. Czy ten będzie właściwy? Wiedział, że nie ma już szans. Woda sięgała mu ponad kolana, a jej szum huczał mu w uszach. Musi zaryzykować. Sięgnął w ciemności w górę i podniósł się na rękach. Jeszcze jeden uchwyt... i jeszcze jeden... Znalazł drogę do magazynu. Zaduch skór wypełnił jego nozdrza, a potem spłynął w dół, w wir wody. Conan zaklął cicho, wspinając się na górę. Potem szybko założył ubranie. Stracił linę i wspaniały pas, ale nadal miał swe życie i jeśli bogowie pozwolą, jeśli Crom pozwoli... podbije miasto przed świtem!

Przebiegł przez magazyn i uderzył ramieniem w drzwi, a potem wdrapał się na parter. Nie widać było żadnego blasku płomieni. Mogło to oznaczać tylko jedno. Bourtai roztoczył czarną mgłę! Trzy długie, chwiejne kroki doprowadziły go do kolejnych drzwi, które otworzył z niecierpliwością. Wyskoczył na zewnątrz w czyste powietrze i nagle otoczyła go czarna, gęsta mgła snująca się tuż przy ziemi. Miała duszący zapach, podobny do zapachu palących się przypraw, a Conan uśmiechnął się z aprobatą dla magii Bourtai i ruszył na oślep, w kierunku gwałtownych krzyków, wznoszących się w niebiosa; w kierunku kryształowej kuli w fontannie.

Jeden ruch uwolnił jego miecz z fałd białego płaszcza i kilka kolejnych szybkich gestów napięło jego łuk. Zatrzymał się, jego łuk napiął się trzykrotnie i trzykrotnie strzały wysłane zostały w ciemność mknąc na wysokości ludzkiego serca. Okrzyki się wzmogły i na każdy lot strzały odpowiadały echa wrzasków. Wolno posuwając się do przodu i nie tracąc orientacji, gdzie zostaje budynek, który opuścił, wysyłał przed siebie strzały. Jeśli wielokolorowi strażnicy nie zaczęli jeszcze walczyć ze sobą, to wkrótce zaczną. Skręcił w lewo i wystął kolejne trzy strzały w tę stronę. Potem zrobił to samo w prawo. Usłyszał teraz przyjemny dla jego ucha szcęk stali i bitewne okrzyki ludzi. Przerzucił sobie łuk przez plecy i chwycił miecz w dłoń. Ach, gdyby miał to cudo w rękę podczas bitew, to nie trwałyby one tak długo! Machnął nim pewnie w powietrze i zdecydowanie ruszył do przodu.

Z ciemności wychynął jakiś cień i barbarzyńca bez zastanowienia uderzył go mieczem. Jakiś człowiek upadł ciężko na ziemię, i gdy Conan zrobił nad nim krok, zobaczył lekki blask złotej tuniki. Na jego drodze były również inne ciała, ledwo widoczne w gęstej mgle. Dwa z nich miały w sobie jego strzały, ale byli też inni, z poderżniętymi gardłami. Prawdopodobnie natarli na siebie w chwili, gdy zapadła mgła. Conan zaczął biec. Lekko, długimi skokami. Poprzez bitewne zamieszanie usłyszał delikatne pluskanie pachnącej fontanny. Dotarł do niej nagle, jego stopy ledwo zdążyły zatrzymać się na jej brzegu. Wysilił oczy, by się przyjrzeć, by zobaczyć, że... kryształowej kuli nie było w środku!

Z gardła Conana dobiegł przerażający ryk złości. Teraz wiedział już na pewno, że nie pomylił się, co do czasu. Bourtai ośmielił się go oszukać, ośmielił się samemu zadziałać. Bourtai miał klucz do miasta i jego bogactwo! To on zabrał kryształową kulę!

ROZDZIAŁ VIII KSIĘŻNICZKA

Conan wysilił oczy we mgle i spojrzał w kierunku Wieży Płomienia. Z trudem mógł dostrzec jej biały kształt. Płomienie w fosie gasły dzięki jego magii. Tam znajdzie złodziejskiego Bourtai. Usta Cymmeryjczyka wykrzywił ponury uśmiech i ręką dotknął sandałów wiszących mu u szyi, jednocześnie długimi krokami zbliżając się do wieży. Chwycił sandały i nagle zaśmiał się lekko.

— Tak, ten Bourtai to całkiem cwany kundel! Przywołał do siebie swoją duszę. Tak, z pewnością mógł to zrobić. Jeśli może umieścić ją, gdzie tylko zechce, z pewnością może ją też do siebie przywołać?

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Tak więc Conan nie miał już żadnej broni na Bourtai, z wyjątkiem swej własnej magii i wiedzy, jaką nabył podczas trzech bitew. Miał niejasne przeczucie, że rzeczy, jakie powiedziała mu Śmierć, jeśli oczywiście to Śmierć do niego mówiła, stanowiły jedynie małą część tego, co powinien wiedzieć; myślał, że dowiedział się, jak człowiek, który przeżył trzy bitwy, może rządzić Turghol.

Niewyraźnie dostrzegł trzy postacie w ostatnim, czerwonym blasku przygasających płomieni. Dostrzegł kryształową kulę trzymaną wysoko przez małą, zgarbioną postać, która od czasu do czasu skrycie spoglądała w rozrzedzającą się ciemną mgłę. Usłyszał też cieni, piskliwy głos Bourtai, wznoszący się płaczliwie:

— Przynoszę ci, księżniczko, kulę w prezencie. Otwórz swemu przyjacielowi, Bourtai.

— Stój! — ryknął Conan. — Stój, ty pozbawiona duszy małpo!

Bourtai odwrócił się, by spojrzeć na niego, a jego zgarbione ramiona wznoszące się nad kryształową kulą przypominały ciemnego diabła. Za nim stała grupa jego złodziejskich strażników. Każdy z nich dźwigał na ramieniu ciężar przypominający zwłoki. A nad nimi wieża zabłysła w oddechu Ognistego Wichru. Poprzez zmniejszający się dystans między nimi, Conan mógł wyczuć nienawistny wzrok Bourtai i im bardziej się zbliżał, tym większy stawał się krąg blasku nad jego głową, a cichy, kpiący szept, który już rozpoznawał, i którego już nauczył się bać, odezwał się z niebios, a może przemówił prosto w jego sercu.

— Stój, niewolniku i czekaj na tych panów! Spójrz, ziemia zniewoliła twe stopy!

Brwi Cymmeryjczyka złączyły się gniewnie. Nauczył się pewnych rzeczy na arenie: miecz zmienił się w jego rękę w węża, ale mimo to nadal potrafił zabić człowieka, i gdy machnął nim, uderzył niczym stalą w spiżową tarczę. Słup płomienia smażył go żywcem, ale gdy usiłował go uchwycić — zniknął.

— Moja magia jest potężniejsza od twojej, ty czarnoksiężniku z pokręconą duszą — ryknął Conan.

Wierzył w to i blask nad jego głową zakołysał się i zgasł, a ziemia już go nie więziła.

Jeszcze dłuższymi krokami zaczął zmierzać w kierunku Bourtai.

Szczupłe ramię czarnoksiężnika wystrzeliło z brązowych łańców i nagle płonący miecz zabłysnął w jego dłoni.

— Do mnie, czerwoni strażnicy — krzyknął. — Do mnie strażnicy w srebrze, złocie i fiolecie. Do obrony Najwyższego.

Gdy wypowiedział te słowa, jego głos został zagłuszony przez odgłos marszu stóp, szcęk stalowych mieczy na spiżowych tarczach i dziki wrzask dobiegający z wielu gardeł. Żebracy zgromadzeni wokół niego zdarli z siebie łańcuchy i ukazali się stojący w błyszczących zbrojach i szkarłatnych tunikach straży. Podobne do zwłok worki, które nieśli, ożyły nagle i pojawiła się kolejna grupa uzbrojonych ludzi. Dłoń Conana zacisnęła się na mieczu, a druga ręka skierowała się do łuku zawieszzonego wokół szyi. Potem ręce mu jednak opadły i zaśmiał się. Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się ponownie.

— Moja magia potężniejsza jest od twojej, Małpia Mordo — krzyknął. — Twoje duchy nie zrobią mi nic złego!

Ruszył do przodu i w tej samej chwili odgłos maszerujących stóp zamarł, a żebracy w łańcuchach odrzucili swe noże i ustąpili mu z drogi, by ponownie dźwignąć swe worki z solą. Conan stanął twarzą w twarz z Bourtai.

— Teraz, Bourtai — powiedział łagodnie — chciałbym podziękować ci za wykonanie drobnego zadania, które zlecił ci twój pan. Przejmę teraz kryształową kulę!

Oczy czarnoksiężnika rzucały czarnym ogniem, a jego pomarszczona, małpia twarz była zwierzęcą maską złości. Jego ramiona zgarbiły się nad kryształową kulą na kształt sępich skrzydeł; potem, nagle, zaśmiał się złowieszczo. Pokiwał głową i wyciągnął w przód kryształową kulę.

— Tak, panie — zachichotał. — Jesteś boskim synem diabelskiego wiatru! Ty jesteś tym człowiekiem!

Cymmeryjczyk ujął kryształową kulę w lewą dłoń, a jego grube palce zacisnęły się na jej podstawie. Jednocześnie spojrzął w tysiąc kolorów, jakie mieszały się w jej głębiach. Ta kryształowa kula była lekka jak piórko. Conan wzruszył ramionami i podniósł głowę, by spojrzeć na Wieżę Płomienia.

— Spuścić most — rozkazał ostro. — Ja jestem tym człowiekiem. — Wstąpił na mur wokół fosy w miejscu, gdzie powinien opuścić się most i zwrócił się do żebraków. — Tam w dole jest dziura, z której moja magia wysłała płomienie. Wrzucicie swoje worki z magiczną solą do fosy. — Przesunął ręką nad kryształem w mistycznym geście i uśmiechnął się. — Wiatry niebios, które mnie prowadziły — krzyknął — rozkazuję wam zamknąć tę fosę!

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Za sobą usłyszał chrzęst opuszczającego się mostu. Kątem oka spojrzął na Bourtai. Mały człowieczek masował się po twarzy chudą ręką.

— Tak, panie — mruknął. — W istocie dowiedziałeś się pewnych rzeczy od Śmierci. Drewniane bale mostu uderzyły o kamienie muru fosy i Conan postawił na nich niedbale nogę.

— Uciekajcie, złodzieje — rozkazał szybko. — Uciekajcie przed złością siedmiu czarnoksiężników i ich parszywych sług. Bourtai, chodź ze mną.

Bez oglądania się za siebie Conan ruszył mostem, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wieża nad nim zdawała się być nieprawdopodobnie wysoka i z obu stron piękno jej odbijało się w wilgotnym dnie fosy. Koryto zaczęło się już od nowa zapełniać.

Uświadomił sobie duszący odór dobiegający z błotnistej dna, podobny do innego, jeszcze ostrzejszego zapachu, który ukąsił jego nozdrza kiedyś przedtem, jak to fosa obłązonego Khawarizm stanęła w płomieniach. Uśmiechnął się lekko i wsłuchał w twardy rytm swoich stóp na drewnianych belach. Usłyszał też lekki krok Bourtai śpieszącego za nim. Z murów wieży wypląnął wąski język żółtego płomienia i zatańczył rozszerzając się nad fosą.

Conan nie przyśpieszył kroku. Krata była podniesiona, a bramy stały otworem.

Cymmeryjczyk delikatnie niósł kryształową kulę w rękę i krok jego stał się twardszy, bardziej rytmiczny. W oddali słyszeć się dały okrzyki, ale, pomyślał, tym razem nie było w nich żadnego czarów. Strażnicy czarnoksiężników przygotowywali się do walki.

Zszedł z mostu na marmurową podłogę przed bramą.

W tej samej chwili łańcuchy mostu zatrzeszczały, gdy ponownie podniesiono go w kierunku wieży. Bourtai potknął się i upadł, przeklinając przenikliwym głosem; potem zamilkł i przeszli przez szeroko otwarte wrota.

Starsza kobieta i starszy mężczyzna rzucili się na kościste kolana, a ich głos był jedynie charkliwym szeptem:

— W istocie, ty jesteś tym człowiekiem! Conan warknął:

— Podnieście swoje słabe kości z tej zimnej ziemi, bo inaczej będą was bolały przez najbliższy miesiąc. Zaprowadźcie mnie do księżniczki.

Jego oczy rozejrzały się wokoło. Dywany zawieszane na ścianach były złachmanione, a wszędzie panowała atmosfera brudu i rozkładu. Pająk pracował nad swoją pajęczyną, którą wił na potężnej zbroi stojącej przy ścianie. Fu! Czy to było to bogactwo Turghol, o które walczył, za które umarł Kassar? Conan splunął na marmurową posadzkę.

Pochodnie rzucały swoje ponure, dymiące światło na ściany, a przez otwory zaczęły być widoczny taniec płomieni. Żółte cienie ściagały się po wysokich sufitach. Olbrzymi kominek był zimny i ciemny. Bourtai złapał Conana za ramię, a w jego głosie była złośliwa radość.

— Z pewnością, panie, twoja magia, która jest o tyle potężniejsza od mojej, może zmienić to wszystko w złoto i klejnoty?

— Podobnie jak twoją duszę, Małpia Mordo — powiedział Conan z kpina — która odleciała z mych rąk.

Starszy mężczyzna i kobieta z trudem wstali z kamieni i skłonili się, cofając się od niego. Stańli po dwóch stronach szerokich, marmurowych schodów, wiodących w górę i gestem rąk wskazali, żeby na nie wszedł. Schody były zakurzone i nosiły na sobie ślady brudnych nóg, a gdy Conan ruszył w ich kierunku, gruby, szary szczur wyskoczył z ciemności i przeciął mu drogę. Jego łapy wydały głośnie stukot w ciszy, jaka zapanowała, a kroki Cymmeryjczyka też odbiły się echem. Okrzyki spoza fosy nabrały intensywności, ale przerwał je odgłos wzmagającego się tańca płomieni. Trzeszczały, syczały i płonęły z trzaskiem, który zdawał się jeszcze głośniejszy w tych pustych ścianach.

Bourtai przebiegł obok niego, by wskoczyć pierwszemu na schody, a potem zwrócił swoje żywe, czarne oczy ku twarzy Conana.

— Możesz mi teraz powiedzieć, panie, co powiedziała ci Śmierć?

Usta Conana skrzywiły się w zgryźliwym uśmiechu.

— Nadal myślisz, że uda ci się mnie nabrać, czarnoksiężniku? Dobrze, próbuj, co tylko w twojej mocy. Śmierć powiedziała mi: „Kto rządzi księżniczką, rządzi Turghol.” I powiedziała jeszcze: „Spytaj kryształowej kuli, jak tego dokonać.” — Conan podrzucił kryształową kulę lekko w górę i złapał ją sprawnie w dłoń, podczas gdy dwoje służących stojących za nim wydało z siebie przerażone westchnienie. — A może ty, małpo, rozwiązałeś już zagadkę kuli? Tak, tak, wiem, że na imię masz Bourtai, ale odpowiedz na moje pytanie.

Bourtai nerwowo potrząsnął głową.

— Jeśli przemówiła, to zrobiła to w języku, którego moje uszy nie rozumiały. Nic też oprócz pomieszanych kolorów nie mogłem dojrzeć w jej wnętrzu.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

W miejscu, gdzie schody zakręcały się wokół ściany wieży, był podest z marmuru, a w ścianie były drzwi, ciężkie, jakby wykonane były z ołowiu. Na nich znajdował się napis wykonany dziwnym pismem.

— Zapowiedz mnie, Bourtai — w głosie Conana była kpina. — Zapowiedz mnie tej twojej księżniczce, żebyśmy mogli się zobaczyć i ustalić, czym też można tu rządzić.

Bourtai podskoczył do drzwi, ale zatrzymał się i odwrócił swą szarą twarz.

— Rządź przez jeden dzień, tak jak mówi przepowiednia.

Jego palce dotknęły ciężkiej powierzchni i drzwi otworzyły się do wewnątrz ze skrzypnięciem. Cienka, fałszywa nuta lutni zabrzmiała w uszach Cymmeryjczyka i zobaczył duże łoże, zwieńczone zakurzonym baldachimem i ustawione na podium. Zobaczył lalkę wyrzeźbioną z drewna i ubraną w zniszczoną sukienkę z brokatu. Podeszedł do drzwi, a Bourtai jednocześnie oznajmił:

— Księżniczko, to jest ten człowiek.

Oczy Conana rozejrzały się po komnacie i napotkały małą postać przycupniętą ze skrzyżowanymi nogami na poduszce przed płonącym bez żadnego paliwa ogniem. Poważne, szare oczy dziecka wzniosły się ku niemu spod spokojnych, białych brwi, a jej włosy zabłysły niczym złoto, gdy opadły na podłogę. Smukłe palce bawiły się strunami lutni i zobaczył, że jedna ze strun była pęknięta. Z wahaniem księżniczka uśmiechnęła się — siedmioletnie dziecko.

— Wejdz, panie — powiedziała cienkim, brzęczącym głosem.

— Czy przyniosłeś mi nową zabawkę?

Conan nie mógł powstrzymać złości, jaka pojawiła się na jego twarzy. Uśmiechnął się, a w głosie jego nie było żadnej gwałtowności:

— Cóż, mała pani — powiedział łagodnie — możesz nazwać to zabawką. Z pewnością możesz. Ludzie za to walczyli i ludzie za to umierali, ale nie jest to nic ponad ładną kulkę. Pokazał jej kryształową kulę spoczywającą na jego dłoni. Światło ognia zatańczyło na jej powierzchni i tysiące jasnych kolorów zabłysło w jej wnętrzu, szkarłat, fiolet, błękit, zieleń, złoto, srebro, a w miejscu, gdzie spojrzały na nią zazdrosne oczy Bourtai pojawiły się dwie czarne plamki.

Księżniczka upuściła lutnię i zaklaskała w dłonie.

— O, nowa zabawka dla mnie! Nie miałam nowej zabawki od siedemnastu lat. —

Wyciągnęła swoje małe rączki po kulę.

— Panie — Bourtai zaprotestował szorstko — nie dawaj jej tego. Coś złego z tego wyniknie!

Conan zaśmiał się, a śmiech ten zabrzmiał jak grzmot w tym wąskim pokoju.

— Ty jesteś niczym wilk w stadzie swoich złodziei. Czy naprawdę mógłbyś zabrać dziecku zabawkę? Łap, księżniczko.

Rzucił kulę lekko w górę. Zakręciła się niczym mydlana bańka i zdawała się równie lekka. Wysunęła się z rąk księżniczki i z cienkim, brzęczącym dźwiękiem upadła na kamienną posadzkę rozsypując się na tysiąc błyszczących kawałków.

Księżniczka przytknęła ręce do twarzy.

— Stało się — szepnęła. — Stało się.

I gdy wypowiadała te słowa jej postać zwiększała się, a suknia, w którą była odziana zaczęła błyszczeć kosztownymi kamieniami. Zapach perfum rozlał się po komnacie, a w miejscu, gdzie upadła kula, zaczęły rosnać kwiaty, kwiaty, których płatki były rubinami i diamentami. Patrząc na tę zmianę, na piękną kobietę, która uniosła w górę zapłakaną twarz, Conan odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno.

— Czyż nie powiedziałem ci, Bourtai, że kryształowa kula została zrobiona tylko po to, by ją potłuc?

Księżniczka spojrzała na niego szarymi oczami i zaczerwieniła się, podczas gdy Conan niepewnie się uśmiechnął. Oczy jego zabłysły pod powiekami.

— Ty jesteś tym człowiekiem — szepnęła księżniczka. — Przybyłeś, by wyzwolić mnie i moje miasto. Podaj swoją cenę. Powiedz mi swoje trzy życzenia, a jeśli tylko będę w stanie je spełnić, zrobię dla ciebie wszystko. — Jej policzki zaróżowiły się, a głowa skłoniła niczym kwiat.

Conan chrząknął, a Bourtai złapał go za ramię, by szepnąć mu swoją radę. Jeden ruch silnego ramienia odrzucił go w bok.

— Cóż, jeśli o to chodzi, księżniczko — powiedział ciężko Cymmeryjczyk — jeszcze za wcześniej mówić o nagrodach. Jest jeszcze sześciu czarnoksiężników wewnątrz murów twego miasta i mają ze sobą wiele tysięcy uzbrojonych ludzi. A w twoim domu jest jeden czarnoksiężnik, który dopomina się o specjalne traktowanie.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

— Zostanie powieszony — krótko odpowiedziała księżniczka. — A jeśli chodzi o pozostałych czarnoksiężników i ich ludzi, zniszczysz ich.

Conan spojrział na nią i uśmiech ponownie przywędrował do kącików jego ust.

— Tak — powiedział. — Oczywiście, księżniczko. Okręcił się na pięcie, podczas gdy Bourtai przyłgnął do jego boku.

— Obroń mnie, panie — szepnął. — Jestem bezbronny wobec jej magii. Potrzeba było połączonej magii nas siedmiu, żeby ją pokonać, ale i tak nie zdołaliśmy powstrzymać cię od przybycia tutaj. Obroń mnie. Mój kark jest zbyt słaby, by mógł znieść ucisk liny.

— Stój, człowieku — szepnęła księżniczka. — Dokąd idziesz?

Conan zatrzymał się w proggu.

— Cóż, trzeba zająć się pewną, drobną sprawą zniszczenia kilku czarnoksiężników i ich straży — powiedział — zanim będę mógł upomnieć się o moją nagrodę, a muszę przyznać, że nie mogę się tego doczekać.

Usta księżniczki uśmiechnęły się z aprobatą i obietnicą.

— Będę oczekiwała cię tutaj — szepnęła.

— Tak, będzie czekała — Conan mruknął do siebie wchodząc po marmurowych schodach.

— Tak. Czy nie mówiłem ci, Bourtai, że te księżniczki to złośliwa i pewna siebie nacja?

— Mimo to, panie, nie zdała mi się chłodna.

Conan mruknął.

— Popsuła zabawkę — powiedział, nie dodając już ani słowa.

Zimne ściany wieży zawieszane teraz były jedwabiami najlepszej jakości, a schody błyszcząły czystością. Spojrzął w dół i zobaczył, że starsza para wchodziła w górę do pokoju księżniczki, a łachmany, w które byli odziani zmienili się w porządne ubranie i ich plecy były proste. Gdy tak szli, zdobiące ich klejnoty pobłyskiwały. Cymmeryjczyk ponownie warknął. Słyszał historie o tych zaczarowanych księżniczkach i ich zamkach.

Powinien teraz znaleźć się dobry duszek, który zabrałby wszystko to na jakąś piękną, zieloną wyspę, z dala od rzeczy takich, jak czarnoksiężnicy, czy armie. Ale ze względu na brak takiego duszka, sam musi jeszcze trochę powojować zanim będzie mógł odejść.

Cymmeryjczyk wziął wolny, pełen namysłu oddech i skręcił w inne drzwi, które nie przypominały już ołowiu, a dla odmiany wykonane były ze szczerego złota. Jego oczy zwięziły się lekko. Hm, gdyby mógł zabrać takie drzwi do miejsca, skąd przyszedł, może ten zamek na wzgórzach w Brythunii mógłby stać się rzeczywistością!

Szybkim krokiem przeszedł przez bogatą komnatę i wyszedł na balkon wyglądający na Dziedziniec Magicznej Fontanny. Nawet tutaj czuć było gorąco, jakie tańczące płomienie wysyłały w górę. Spojrzął na wyłożony marmurem dziedziniec przez ich kołyszący się welon. Teraz stały na nim równe szeregi żołnierzy. Siedem kolorów migotało w środku płonącej fosy, a były to kolory siedmiu czarnoksiężników. Jednak tym razem nie byli rozdzieleni, lecz stanowili jedną armię.

— Twój szkarłatni strażnicy, małpo, są z pozostałymi — mruknął Conan do złodzieja. — Czy nie możesz ich kontrolować?

Bourtai wyrzucił ramiona w górę.

— Jak może to być możliwe, panie? — zapytał z troską. — Nie znają mnie. Wiedzą tylko, że jestem wysoką, zamaskowaną postacią w czerwieni. — Zauważył kpiący błysk w oku Conana, gdy zmierzył go wzrokiem. Dodał więc spiesznie: — To moja magia tak uczyniła. Ale my, czarnoksiężnicy rzadko mieszamy się z naszymi ludźmi. Mamy kapitanów do pomocy.

Daleko za białymi murami miasta i jego pełnymi wdzięku wieżami wschodził księżyc.

Zaznaczył swój szkarłatny ślad na czarnych wodach jeziora Ho. Conan niewyraźnie dostrzegł bujający się maszt statku i jego nozdrza rozchyliły się, bo nad odorem spalenizny poczuł świeży zapach wody. Wypełniło go potężne pragnienie, a z dołu dobiegł jego uszu głośny okrzyk tysiąca ludzi. Spojrzął w dół. Nad zgromadzonym tłumem górowało sześć wysokich, zamaskowanych postaci, a wokół nich kłębiły się białe opary przechodzące w czerwień, błękit i z powrotem w czerwień. Potężne ramiona olbrzymów wzniesione były w górę gestykując. Po głowach zgromadzonych armii przeszła fala płomieni, która skierowała się w stronę wieży. Conan zwięził oczy. Jedne skaczące płomienie zdawały się walczyć z innymi na powierzchni ciemnej wody fosy. Triumfujący wrzask wydarł się ze zgromadzonego tłumu i barbarzyńca zaklął gwałtownie. Potem jednak zaśmiał się.

— Jeśli twoi bracia, czarnoksiężnicy, mają ochotę przepłynąć fosę, będą mocno rozczarowani. Myślą, że nasze płomienie są zimne, mały czarnoksiężniku. — Kpiący uśmiech zagościł w kącikach jego ust. — Zobaczmy, co da radę dokonać moja magia.

Zdjął swój rogowy łuk z karku. Ludzie skakali z brzegu fosy i noc przepęniała się ich potwornymi krzykami, podczas gdy płomień kontynuował niewzruszenie swój taniec. — Wy, czarnoksiężnicy, wierzyście w waszą własną medycynę, nieprawdą, szamanie? — zapytał Conan. — Tak, macie rację. Tak powinno być. Wzniósł łuk i strzała pomknęła w dół przez migoczące światło. Zanim jeszcze osiągnęła swój cel, Conan wysłał kolejną i jeszcze kolejną. Zamaskowana postać w złocie wyrzuciła w górę ramiona i upadła do tyłu między szeregi żołnierzy, a w chwilę potem człowiek w fiolecie upadł na twarz, bo piersi jego przebiła inna, śmiertelna strzała. Jak jeden mąż wszyscy skoczyli do tyłu i trzecia strzała Cymmeryjczyka zatopiła się do połowy w drewnianej podłodze i zatrzęsała się niczym czarne ostrzeżenie przed nadchodzącym sądem. Na placu czarna mgła rozlała się nad ziemią, a z jej środka wyleciało stworzenie z potężnymi skrzydłami i płonącymi szczękami, i wzniosło się w ciemną noc. Cztery machnięcia potężnych skrzydeł i leciało w kierunku balkonu, na którym stał Conan! Zaśmiał się i spokojnie opuścił miecz, podczas gdy Bourtai z krzykiem rzucił się w drzwi. Gdy Conan ponownie spojrzał w górę, zjawa zniknęła w czarnej mgle, która nadal kłębiła się w dole i uniemożliwiała mu umiejscowienie swego celu. Tak, w istocie nauczył się pewnych rzeczy na arenie i nic dziwnego, że kapłani chcieli zabić tych, którzy przeżyli ich bogów! Oczy Conana ponownie zwróciły się w kierunku jeziora. Stał tak przez długą chwilę, a potem zwrócił oczy w inną stronę. Między nim, a jeziorem były armie, a jeśli człowiek chce zbudować imperium musi przynieść ze sobą swoje bogactwa. Armie mogą się sprzeciwić... Conan z powrotem przeszedł przez komnatę i dotarł do szerokich schodów. Jakaś kobieta skłoniła się przed nim. — Panie, księżniczka cię wzywa. Conan skrzywił się, ale dał kobiecie do zrozumienia, że zgadza się i poszedł za nią w dół schodów, do komnaty, której wcześniej nie widział. Na jednym siedzeniu podwójnego tronu siedziała księżniczka w królewskich szatach, a Bourtai zaczął się w cieniu Cymmeryjczyka. — Czy moi wrogowie już nie żyją? — spytała księżniczka niedbale. — Kilku z nich nie żyje — odpowiedział poważnie Conan — jednak potrzeba wielkiej magii, by pozbyć się ich wszystkich. Wymaga to czasu. — Mogą poczekać — powiedziała niecierpliwie księżniczka. — Teraz dam ci twoją nagrodę. Conan sztywno podniósł swą czarnowłosą głowę, rozstawił nogi i wsparł ręce na biodrach. Zmarszczył brwi spoglądając na tę piękną, złocistą księżniczkę, podczas gdy Bourtai cały czas stał mu za plecami. Jego grzmiący głos nie był niecierpliwym, gdy się odezwał: — Księżniczko, nie mogę doczekać się mojej nagrody, ale... zastanów się nad tym, złożyłem obietnicę, którą muszę wypełnić, zanim będę mógł przyjąć nagrodę. — Zwalniam cię z obietnicy, mój panie. Cymmeryjczyk uśmiechnął się ponuro. — To nie jest w twojej mocy, mała księżniczko — powiedział. — Złożyłem tę obietnicę bogu, którego nawet nie znasz, ale przed którym teraz uklęknieš. Na Croma, jest to również moim obowiązkiem uklęknąć z wdzięczności. Ale, teraz, księżniczko, muszę wziąć się do roboty. Wyszedł z sali tronowej i kątem oka dostrzegł dwoje sług. — Będę potrzebował waszej pomocy — powiedział krótko. — Każda włócznia i każdy dywan muszą zostać przeniesione do najwyższej komnaty w zamku. Muszą się też tam znaleźć długie liny. — Idę, księżniczko, by opracować moją magię, która oczyści twój dom z robactwa, jakie go zamieszkuje. Twarz księżniczki była blada, a jej głowa uniosła się sztywno w górę. — Jak długo ci to, panie, zajmie? Conan skłonił się sztywno, jako że jego dumny kark nie przyzwyczajony był do takich gestów. — Do czasu, gdy Ognisty Wicher przestanie wiać i zacznie od nowa, księżniczko — powiedział krótko i wyszedł z komnaty. Skręcił w kierunku drzwi i w tej samej chwili drogę przecięła mu grupa uzbrojonych ludzi w biele. Spojrzał na nich zmęczonym wzrokiem i wszedł w sam ich środek, a oni rozmyli się w powietrzu. Za sobą usłyszał łkanie księżniczki. — Możesz nią rządzić, panie — Bourtai wdrapywał się po schodach u jego boku. — W istocie, możesz nią rządzić. — Przez jeden dzień — ryknął Conan. — Zaiste, te twoje przepowiednie są bardzo prawdziwe. Jak długo może jakikolwiek człowiek rządzić kobietą? Bo w rządzeniu staje się... Ha! Zawodzi mnie moje poczucie humoru. Chodź, mój sługo Agrimaha. Mam zadanie dla

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

tych twoich sprawnych paluchów zanim będziemy mogli rozpocząć walkę z Ognistym Wichrem i zanim zdobędziemy nagrodę trochę inną od tej, jaką ofiarować nam pragnie księżniczka. Bo weź pod uwagę, Bourtai, że ja pragnę tylko złota.

ROZDZIAŁ IX

BITWA NA DZIEDZIŃCU MAGICZNEJ FONTANNY

W najwyższym pokoju wieży księżniczki, gdzie zawodzenie Ognistego Wichru nigdy nie zamierało, i gdzie jego małe, gorące palce wydierały przenikliwe dźwięki ze ścian, Conan pracował całą noc przy pomocy Bourtai i dwojga służących.

— Zaiste — narzekał Bourtai — nigdy nie widziałem tak pracochłonnej magii. Moje czary przy tym są niczym łatwo osiągalne zabawki.

Conan zaśmiał się.

— I łatwo można je złamać, Małpia Mordo! To jest magia, której ani cała moc czarnoksiężników z Kusanu, ani siła ich tysiący ludzi nie zniszczy.

Bourtai westchnął i rozłożył na podłodze kolejny dywan, który miał być przyszyty do poprzedniego.

— Jednak memu ograniczonemu rozumowi aż taka ilość magii zdaje się być nadmiarem. Nie wszystkie z moich najsilniejszych czarów poddały ci się. Podobnie było w wypadku moich sześciu ukochanych braci.

Conan wyprostował się i ruszył w kierunku drzwi.

— Boję się, mój mały czarnoksiężniku, magii dziesięciu tysięcy mieczy. Co jeden człowiek uczyni, drugi może odczynić... ale nie wiem, na jak długo powstrzyma ich płonąca fosa. Wątpię, Bourtai, żeby pozwolili mi stoczyć trzy kolejne bitwy na arenie, a ty i tak jesteś stracony, albo przez stryżek księżniczki, albo przez magię twych braci!

— Ach, nie mów tego, panie — błagał Bourtai. — Z pewnością twój cień mnie ochroni! Cymmeryjczyk uśmiechnął się, gdy jednocześnie zaczął szybko schodzić po schodach, by udać się do sali tronowej, gdzie księżniczka bawiła się swoim wykładanym klejnotami berłem. Spojrzała na niego, gdy tylko wszedł, ale od razu odwróciła wzrok. Conan skłonił się poważnie.

— Będę potrzebował również twojej magii, księżniczko — powiedział ponuro. — Gdzie jest źródło twojej płonącej fosy?

Księżniczka poruszyła się niecierpliwie na tronie.

— Nie zajmuję się takimi sprawami.

— Jednak bez ciebie, moja księżniczko — Conan podszedł bliżej tronu — moja magia nie może zadziałać. Pomyśl, jeśli zginę w bitwie, czy tych czterech czarnoksiężników, którzy nadal zgromadzeni są ze swymi ludźmi za fosą, będzie dla ciebie dobrych? Czy też może... staną się twymi panami?

Szare oczy ze strachem odszukały jego wzrok.

— Mówisz te rzeczy, by mnie przestraszyć, panie.

Przez chwilę przypominała przerażone dziecko. Uśmiech Conana złagodniał.

— Nie, jeśli cię przestraszyłem, to tylko dlatego, że we mnie też jest strach. Dziesięć tysięcy ludzi, księżniczko, ma magię, której żaden czarnoksiężnik nie pokona. Jest ona wyrzeźbiona na kształt łodygi kwiatu, ale jej brzegi są tak ostre, jak północny wiatr! Nazywa się miecz.

Księżniczka stanęła sztywno na nogi i włożyła swoją małą, drżącą dłoń w dłoń Conana.

— Chodź, pokażę ci. Jest tam zbiornik, który się nigdy nie wyczerpie, o ile używać go będziemy rozsądnie. Zbudował go mój ojciec wiele lat temu. Są też źródła, ale nie można pić ich wody. Jest to magiczna woda o niedobrym smaku i nieprzyjemnym zapachu, a co więcej, spalić może wnętrzności.

Gdy Cymmeryjczyk obejrzał potężny, ciemny zbiornik i powąchał stęchłą ciecz w środku

— od razu wiedział, że nie była to woda — i kiedy nauczył się obsługiwać jej zawór, zaprowadził księżniczkę z powrotem do sali tronowej.

— Za kilka godzin, w Godzinie Węża, moja księżniczko — powiedział łagodnie —

Ognisty Wicher ustanie i będzie można dokonać pewnych rzeczy. Wtedy poproszę twego herolda, by zatrąbił i ogłosił oblegającym nas armiom, że gdy ponownie zawieje Ognisty Wicher, kiedy nadejdzie wieczorna Godzina Smoka, ty... zajmiesz się nimi. Myślę, że to da nam trochę czasu, księżniczko.

Wchodząc ponownie na kręte schody, Conan czuł na sobie wielkie zmęczenie. Może wprowadza księżniczkę w błąd; a może przepowiednie były fałszywe i może to on miał

rządzić krajem. Z pewnością jednak zatopi swe palce w bogactwach. Uśmiechnął się. Na Croma, głupotą było martwić się o dzień jutrzejszy. Kto mógł przewidzieć, czy będzie dla niego jakiegokolwiek jutro? Czekają na niego dziesięć tysięcy mieczy. Conan z impetem otworzył drzwi do najwyższej komnaty.

Gdy wraz ze świtem ustał Ognisty Wicher, Cymmeryjczyk wyszedł na balkon, który zdobił szczyt wieży. Cztery metry nad nim znajdował się ognisty płomień. Przyjrzał mu się ze skupieniem. Zakręcił nad głową liną obciążoną z jednego końca i podrzucił ją do góry, do podstawy płomienia. Za trzecią próbą udało mu się wykonać przy jej pomocy pętlę wokół podstawy płomienia, a drugi koniec liny powrócił do jego dłoni. Rozejrzał się po pokoju, gdzie włócznie przywiązane były jedna do drugiej i gdzie znajdowały się dwa potężne zwoje dywanów. Potem, z pełnym satysfakcji kiwnięciem głowy, zszedł ponownie po schodach. Z balkonu, gdzie po raz pierwszy spojrzął na ludzi czarnoksiężników, wyjrzał ponownie i wezwał herolda, by stanął przy nim. Dźwięk trąby rozniósł się metalicznie nad śpiącą hordą i żołnierzami w płaszczach, w kolorach tęczy. Wszyscy zerwali się z wrzaskiem na równe nogi. Przez barierkę balkonu Conan rozwinął szal z czystego, białego jedwabiu.

— Słuchajcie ludzie — zesłał swój potężny głos na zgromadzony tłum. — Słuchajcie słów Księżniczki Turghol! Wita swych lojalnych, poddanych, w imię Croma, w którego imieniu występuję. W wieczornej Godzinie Smoka, księżniczka rozprawi się z waszymi panami, czarnoksiężnikami z Kusanu. Rozkazuje im przybyć tutaj w Godzinie Smoka.

Na czas jego przemowy zapanowała cisza wśród tłumu, ale gdy tylko skończył, wzniosły się bezładne okrzyki i czarne strzały pomknęły w jego stronę. Jedna z nich przemknęła pod białą flagą, tuż pod jego dłonią, a inna trafiła trębaczka w piersi. Runął w przód, plując krwią, ale Conan stał nieporuszony. Kolejne strzały mknęły w górę i słyszał coraz częstsze odgłosy napinających się łuków. Jego oczy przepęłniała gorycz i po raz kolejny zwrócił je w kierunku błękitu błyszczących w oddali wód Ho. Strzała świsnęła mu koło ucha i przemknęła boleśnie przez jego zmierzwione, sięgające ramion włosy. Inna znów sparzyła jego dłoń.

Cymmeryjczyk odwrócił się i ciężko wszedł z powrotem do wieży.

„Poczekają — pomyślał — na Godzinę Smoka i zaczną snuć plany, żeby wtedy uderzyć.” Jeśli jego „magia” zadziała, będzie wielu zabitych nim Godzina Węża ponownie nadejdzie... a Conan może też znaleźć się wśród nich. Jest powiedziane, że będzie rządził przez jeden dzień. Gdy nadejdzie ciemna Godzina Osła, dzień ten się skończy. Usiłował przywołać na pomoc swoje poczucie humoru, ale i ono nie chciało go wesprzeć. Upadł ciężko na posłanie i zapadł w sen.

Było późno, gdy się obudził i zobaczył Bourtai przycupniętego przy łożku. Coś, czego nic nie mogło powstrzymać, trzęsło słabymi kośćmi czarnoksiężnika.

— Panie — szepnął — zbliża się Godzina Smoka.

Conan zwłókł się z posłania i stanął z rękami na biodrach.

— Za godzinę... Zaśmiał się krótko. — Przyjdź do komnaty na wieży, Bourtai. Twoja magia musi dziś walczyć z moją, bo inaczej...

— Bo inaczej stryczek! — szepnął Bourtai. — Przez cały dzień księżniczka patrzyła na mnie kocimi oczami, a w moich piersiach obudziła się myślia, trzęsąca się dusza.

Cymmeryjczyk zaśmiał się ostro.

— Opowiadają historię, że kiedyś mysz pomogła lwu, mała małpko. Módl się do swoich bogów, by i w tym przypadku tak się stało, bo ja będę dziś walczył jak lew.

— Swoją magią, panie?

— Moja magia będzie potrzebowała siły mego prawego ramienia — odpowiedział krótko Conan. — Dziesięć tysięcy ludzi, Bourtai, i dziesięć tysięcy mieczy. Dziesięć tysięcy łuków wysłać będzie strzały na tę wieżę. Czy twoje palce nadal spragnione są złotą, Bourtai?

Conan szybko ruszył w górę wieży i z początku Bourtai dreptał koło niego z tysiącem swoich pytań, ale potem został w tyle, oddychając ciężko i nie mogąc nadażyć za szybkimi krokami umięśnionych nóg swego pana. Gdy Cymmeryjczyk znalazł się w komnacie na górze, natychmiast wziął się do pracy. Sprawdził, czy połączone włócznie trzymają mocno, a potem do każdego końca przywiązał zwoj dywanów. Z wielkim wysiłkiem grzbietu przeniósł to wszystko na balkon, i gdy umieścił to we właściwym miejscu, zwoje dywanów wystawały po obu stronach wieży. W pośpiechu poprawiał wiązania, podczas gdy białe twarze spoglądały na niego z Dziedzińca Fontanny. Gdy skończył pracę z liną, włócznie leżały niczym podest na szczycie wieży, a wtedy dysząc ciężko odwrócił się i spojrzął na Bourtai.

— Twoim zadaniem, myszko — powiedział miękko — będzie zluzować te dwie liny, gdy trąba zabrzmi po raz drugi. Ale nie pozwól, by dywany opadały zbyt szybko, bo inaczej włócznie mogą się złamać. Jeśli tak się stanie, to nic już nie ocali twej głowy!

Bourtai wyciągnął szyję i pomasaował ją chudymi palcami.

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

— Tak, panie, opadną wolno, ale nie rozumiem tej twojej magii.

— Gdybyś ją zrozumiał — cierpko odparł Conan — nie byłaby to żadna magia. Czekaj aż trąba zabrzmi po raz drugi.

Zszedł z powrotem po schodach i znalazł księżniczkę w oczekiwaniu. Twarz jej była blada i przerażona, gdy siedziała w głównej komnacie. Zza ścian dochodził odgłos gniewnych ludzkich głosów. Jej ręce z drżeniem wyciągnęły się ku niemu.

— Twoja magia, panie. Szybko!

Conan uśmiechnął się, mimo że mięśnie na grzbiecie napinały mu się do bitwy, a jego głowa opadła w tył, w wyzwaniu skierowanym do śmierci.

— Nie, nie można pośpieszyć magii, księżniczko — odpowiedział łagodnie. — Czyż nie zajęło to aż siedemnaście lat, by uwolnić cię z zaklęcia, utrzymującego cię w stanie permanentnego dzieciństwa?

Oczy księżniczki zmiękły.

— Ale jest inna magia, która zajmuje mniej czasu i inne zaklęcia!

— Tak, są i inne — odpowiedział szorstko Conan — takie, które trwają tylko jeden dzień.

— Podszedł do zbroi, na której pajak uwił sobie gniazdo i sprawnie nałożył ją na siebie. — Kiedy trąba zabrzmi po raz drugi, księżniczko, otwórz wylot tego cudownego źródła twego ojca. Twoja magia, połączona z moją, wygoni robactwo z twego progu. Taką mam nadzieję...

Zbroja nie zdawała się mu ciężać, gdy po raz kolejny wszedł na schody i skierował się do pokoju, w którym spał. Tam przypasał sobie miecz i łuk z nową cięciwą. Jeśli dzisiaj czarnoksiężnicy nie uszanują znaku pokoju i znieważą go strzałami, otrzymają wartą siebie odpowiedź! Wszedł na balkon i spojrzał na przekłute strzałą zwłoki sługi księżniczki.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się na jego martwej twarzy.

— I ty czekałeś na to siedemnaście lat — powiedział. — Cóż, może dzisiaj uda mi się im odpowiedzieć tym samym!

Podniósł trąbę i podszedł do brzegu balkonu, gdzie biała flaga została ponownie rozciągnięta. Słońce zniknęło już do połowy za wzgórzami. Przyłożył trąbę do ust i dźwięk, jaki z niej wydobył niesprawnymi wargami, najpierw zakołysał się i załamał, a potem zabrział mocno i głośno. Zapadła cisza, ale w najbliższym szeregu strażników zabrział czyjś śmiech. Czyżby nie podobała im się jego gra na trąbie? Cymmeryjczyk spojrzał na nich z pogardą.

— Ja jestem tym człowiekiem! — krzyknął. — Przemawiam w imieniu księżniczki. Gdzie są ci wasi parszywi czarnoksiężnicy?

Szeregi żołnierzy rozdzieliły się i zobaczył zamaskowane postacie czterech czarnoksiężników, którzy nadal pozostali przy życiu. Stali w milczeniu, a Conan podejrzliwie przyjrzał się armii i zobaczył, że żołnierze mieli naciągnięte łuki, gotowe do strzału. Tak, tego się spodziewał.

— Czarnoksiężnicy z Kusanu — wysłał swój grzmiący głos w dół — trzech z was już zginęło. Czterem, którzy jeszcze przez chwilę zachowają swoje życie, przekazuję posłanie księżniczki. Wycofajcie swoje armie, rozpuście ludzi i poddajcie się litości księżniczki. Jeśli odmówicie, zginiecie!

Szalony śmiech i krzyki zabrzmiały wśród tłumów i w tym wrzasku czysto zagrała trąba.

Conan zaklął, a potem zaśmiał się złośliwie, gdy strzały wystrzeliły w kierunku balkonu.

Sami się o to prosili, sami dali znak, który uwolnić miał jego magię!

Gdy napiął swój własny łuk i przygotował strzałę do lotu, ostatni czerwony promień słońca schował się za wzgórze i wokoło widać było jedynie skaczące płomienie na fosie, rzucające swe złośliwe światło na twarze żołnierzy. Pośród nich stały odważnie cztery zamaskowane postacie, ale szeregi już zamykały się wokół nich na znak dany przez trąbę. Wielki łuk napinał się tak szybko, jak tylko ręka nadażała zakładać strzały i cały ich las pomknął w dół, w, jednym mgnieniu oka.

Strażnik wyskoczył przed jedną z zamaskowanych postaci z tarczą wysoko podniesioną w górę, ale upadł z tarczą przyszpiloną do głowy. Druga strzała, podążająca w tym samym kierunku, przebiła osłonięte gardło czarnoksiężnika i rzuciła go na ziemię. Jednak pozostałe strzały nie trafiły do celu. Cymmeryjczyk poczuł ukąszenie strzały w swoim lewym ramieniu i klnąc upadł na ziemię w złości. Teraz nie mógł już wiele zrobić. Najlepiej zachować strzały, bo gdy zacznie działać jego magia... Jego palce złapały strzałę tkwiącą w ramieniu, podczas gdy jego oczy skierowały się w punkt, gdzie świeciły najbardziej oddalone płomienie. Tak, jego zwoje dywanów odwijaly się, sięgając coraz niżej. Podejrzliwie spojrzał w bok.

Płomienie na fosie wznosiły się coraz wyżej. Bourtai i księżniczka wykonali swoje zadanie.

Jego oczy ze złością spojrzały na strzałę i ręką oderwał jej koniec. Z przekleństwem zębami

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

wyrwał ją sobie z ciała. Lepiej żeby pokrwawił trochę. Ruszył w kierunku komnaty, ale zatrzymał się na chwilę. W nocnym powietrzu było jakieś westchnienie, westchnienie, które zamieniło się we wznoszący się jęk, jaki za chwilę przeistoczył się w zawodzenie i ryk. Mogło oznaczać to tylko jedno — Ognisty Wicher zaczął wiać!

Rzucił ponowne spojrzenie na rozwijające się dywany. Odwijają się teraz szybko, bo Bourtai pewnie schował się do środka na pierwsze oznaki Ognistego Wichru. Wybrzuszały się niczym żagle wokół masztu wieży i podobnie jak żagle, zatrzymają Ognisty Wicher w samym sercu miasta. Razem z nim popłyną wysokie płomienie z fosy i... Pierwszy gorący powiew tego wiatru opadł na Conana. Jego gorąco parzyło mu nozdrza, czepiało się jego ciała małymi, gorącymi szponami. Z trudem uwalniając się z jego mocy, barbarzyńca wpadł do komnaty i zamknął za sobą drzwi balkonowe. Dysząc ciężko, oparł się o nie i wolno zaczął się uśmiechać. Nie kłamali, gdy mówili o potędze Ognistego Wichru!

Pobiegł do schodów, a tam zobaczył Bourtai w panice zbiegającego w dół. Usłyszał też wyraźny krzyk księżniczki i tupot stóp służącej, która jej jeszcze pozostała.

— Twoja magia, mój panie? — krzyczała księżniczka. — Czy się powiedzie?

— To się okaże — powiedział Conan z napięciem, które dało się zauważyć w jego pozornie spokojnym głosie.

Zaprowadził ich na górę, do miejsca, gdzie kryształowa kula została rozbita i przez okno spojrzeli na szaleństwo, jakie zapanowało na Dziedzińcu Fontanny. Wysokie płomienie nie otaczały już wieży, lecz pchnięte gwałtowną mocą Ognistego Wichru rozłożyły się purpurowymi i złotymi liniami na całym dziedzińcu. Wieczorne Ogniste Wichry, jakie przesywały miasto, były zatrzymywane przez wieżę i zamocowany na niej żagiel z dywanów. Zbaczały ze swego toru i kierowały się w dół, tuż nad płonąca fosę. Niczym potężny blask pochodni podsycany nadzwyczaj gorącym wiatrem, wzmocnionym przez żagle dywanów, gwałtowne płomienie umykały w poziomych, złych językach ognia po całym dziedzińcu. Linia czerniejących ciał powstawała wzdłuż fosy, a dalej, gdzie przedtem zgromadzonych było w równych szeregach dziesięć tysięcy żołnierzy, wszyscy teraz usiłowali ratować się ucieczką. Miecze kołowały i błyszczały nad ich głowami, gdy z wolna skradała się do nich śmierć. Ludzie upadali na ziemię, gdzie lizały ich płomienie, a dalej inni się czołgali, czepiając się jedni drugich za gardła.

Księżniczka zaśmiała się głośno i klasnęła radośnie w dłonie.

— Twoja magia działa, panie. Moi wrogowie umierają setkami, tysiącami. — Jej palce wbiły się w ramię Conana.

Bourtai upadł na kolana i bił czołem o ziemię. Przycisnął swoje pokręcone, stare usta do stopy Conana.

— Jesteś największym czarnoksiężnikiem z nich wszystkich, panie. Wybacz swemu słudze, że kiedykolwiek ośmielił się wątpić w ciebie lub ci się przeciwstawić.

Conan spojrział w dół na tę scenę rzeźni, oczami pełnymi gorzkości, a na ustach jego nie było uśmiechu, a w jego sercu nie było radości. Tak, umierali, a armia ta pełna była dzielnych ludzi, ludzi, z którymi Cymmeryjczyk chętnie by zmierzył swój miecz. Umierali... w potworny sposób. Conan uwolnił ramię z uścisku księżniczki i stopę spod warg Bourtai. Ciężko i wolno zszedł schodami w dół. Miecz objął mu się o udo, a na piersi i szyi czuł znajomy ucisk łuku.

— Conan, Cymmeryjczyk, czarnoksiężnik — powiedział gorzko. — Czarnoksiężnik, ha!

Na zewnątrz nie słychać było nic oprócz krzyku wiatru i trzasku ognia. Okrzyki umierających topiły się w tych odgłosach lub dawno już zamarły w ich gardłach. Powietrze ciężkie było od nagranych murów i gorąca napływającego z płonącej fosy. Gorsze zapachy wiatr zabrał ze sobą nad miasto. Stał na szeroko rozstawionych nogach w głównym korytarzu i czekał. W górze księżniczka nadal krzyczała radośnie, a on powinien robić to samo. Ci ludzie zabili Kassara i wielu innych, prawdziwych żołnierzy, poza tym stali na jego drodze do bogactwa. Wzruszył ramionami, podniósł głowę, a Bourtai już był obok niego.

— Panie, nigdy nie widziałem rzezi, która dorównałaby tej spowodowanej twoją magią. Ale teraz, gdy oni uciekają, my powinniśmy uderzyć. Musimy ruszyć do Świątyni Agrimaha i zdobyć skarb.

Conan wysilił się na uśmiech.

— A więc jeszcze jedno kłamstwo zostało odkryte. Wiedziałaś, gdzie ukryty jest skarb.

— To teraz twój skarb, panie. Cymmeryjczyk warknął.

— Zarobiłem sobie na niego. Pójdź do mojej komnaty, a znajdziesz tam dwa naczynia z czarną, cuchnącą cieczą. Wylej je na dywany i rzuć w nie płonąca pochodnię. Wkrótce pozbędziemy się Ognistego Wichru, teraz nie jest już nam potrzebny.

— Ale co z płomieniami otaczającymi wieżę, panie? — krzyknął Bourtai. — Jak przez nie

przejdziemy?

Conan odpowiedział krótko:

— Wspomogłeś moją magię, Bourtai. Czy nie pamiętasz?

— Panie, ja ci pomogłem? Nie, my jedynie wrzuciliśmy kilka worków soli do fosy. — Twarz jego była ożywiona i pełna błagania. — Jak to?

Conan wzruszył ramionami.

— Sól rozpuszcza się we wrzącej wodzie — powiedział spokojnie. — Rozpuszcza się całkiem szybko. A że było wiele worków, potrzeba czasu, w innym bowiem wypadku nawet zimna woda, po powierzchni której pływa specjalna ciecz księżniczki, poradziłaby sobie z tą solą dawno temu. W ciągu godziny fosa będzie znowu sucha. Gdy tylko sól w workach rozpuści się, odstłoni otwór w murze, przez który płomień podaży wzdłuż tych twoich tuneli i zniszczy kilka budynków. Jednak marmur nie zapali się, więc nie będzie to trwało długo. Idź i pozbądź się moich magicznych dywanów, a potem powiedz księżniczce, żeby przywdziała królewskie szaty. — Uśmiechnął się ponuro. — Przejdzie po ciałach swych wrogów do świątyni Agrimaha. Będzie musiała, bo inaczej nigdy już nie przekroczy Dziedzińca Magicznej Fontanny!

Stopy Bourtai zadreptały niczym łapy szczura na marmurowych schodach. Płomienie wyskoczyły jeszcze wyżej nad fosę, a westchnienie Ognistego Wichru wzniosło się i oddaliło. Conan poczuł smród spalonych ciał i jego usta mocno się zacisnęły. Jutro lub następnego dnia będzie dumny ze swoich wyczynów, z tego, jak ta prosta sztuczka wykończyła dziesięć tysięcy ludzi. Ale nie będzie musiał się chwalić. Podróżujący trubadurzy podejmą jego temat i przez wieki, a może przez tak długo, jak pamięć ojca będzie w stanie przekazać ją synowi, jego historia będzie opowiadana przy ogniskach. Grzbiet barbarzyńcy zeszywniał. Conan uczynił swe imię godnym dumy, stworzył Imperium na Wschodzie. Wyczyn ten nie był bagatelny, samemu pokonać czarnoksiężników.

Z wolna zaczął chodzić w tę i z powrotem po korytarzu. Pełen ceremonii krok księżniczki na schodach zwrócił jego głowę w tamtą stronę i zachwyty zaparł mu dech w piersiach. Ubrana była w czystą biel, a jej złociste włosy wylewały się spod złotej korony. Służąca niosła za nią tren jej królewskiej szaty, a Bourtai przechrylił się przez barierkę, by szepnąć głosem pełnym podniecenia:

— Płomienie gasną w fosie, panie, tak, jak rzekłeś. O, tak, twoja magia zajęła się wszystkimi rzeczami, mimo że jest tak przedziwna.

Conan uśmiechnął się słabo. Była jedna rzecz, której jego magia nie mogła dokonać, sprawić, by czystość sukni księżniczki nie splamiła się, podczas gdy przechodzić będzie przez Dziedziniec Fontanny. Ukrywając swój ponury uśmiech, Conan odpiął swój łuk i cofnął się, by otworzyć główne drzwi wieży, by zwolnić mechanizm zwodzonego mostu i pozwolić mu opaść. Księżniczka uniosła dumnie brodę, gdy ruszyła spokojnie w kierunku mostu.

Ostatnie płomienie wiły się jeszcze w fosie, a w oddali, o jakieś trzysta metrów dalej, magazyn stanął w ogniu, wyrzucając czarny, śmierdzący dym między białe budynki miasta. Księżniczka maszerowała do przodu, a Cymmeryjczyk kroczył po jej lewej stronie, dwa kroki z tyłu. Nie patrzył na nią, tylko oczami przeczesywał cienie czające się między budynkami. Kundle, które umknęły jego magii musiały nadal czaić się gdzieś w ciemnościach, a on miał ze sobą wyjątkowo skromną armię. Jego dłoń zacisnęła się mocno na rękojeści miecza i zobaczył, że księżniczka zatrzymała się.

Obrzydliwy zapach spalonego ludzkiego ciała niemalże przyprawił Conana o mdłości, ale jego twarz pozostała niewzruszona. Stał u boku księżniczki, gdy zawahała się na końcu zwodzonego mostu. Na jej drodze pojawiło się coś, co z trudem nazwać można było ludzkim ciałem, ale dalej nadal zauważyć można było resztki tunik na kilku ciałach, a za nimi ludzie zabici przez Ognisty Wicher stanowili zabawkę niegodziwej śmierci.

— Jest to dla ciebie dzień, księżniczko, z którego możesz być dumna. — Głos Cymmeryjczyka przeszyła ironia. — Niewielu władców dane jest maszerowanie do tronu po ciałach ich wrogów!

Biała twarz dziewczyny zwróciła się ku niemu i uśmiechnęła się, ale oczy jej były zimne.

— Dobrze jest widzieć ich martwych, ale ich zapach obraża mnie. Będziesz mnie niósł, mój panie.

Za wieżą zaczął wschodzić księżyc, a jego blask zaświecił upiornie na ciałach zabitych i na białych budynkach Turghol. Kolejny budynek stanął w ogniu, wieża Bourtai, gdzie Conan na krótko ukradł jego duszę.

— Tak być nie może — powiedział krótko Conan. — Moje ręce muszą być wolne, by w razie potrzeby chwycić miecz, bo z pewnością niektórzy z twoich wrogów, nadal czają się

między domami, ukrywając się przed moją magią. Idź z dumą, księżniczko, i wysoko trzymaj swój tren.

Został w tyle, a jego cyniczne oczy przeszły szeregi zmarłych. Kto mógł stwierdzić, czy były między nimi ciała czarnoksiężników z Kusanu, czy też może nadal dowodzili resztkami swoich armii w cieniu Świątyni Agrimaha? Jego wzrok skierował się w stronę cieni rozciągających się przed nimi.

— Bourtai — mruknął — czy możesz znaleźć swoich złodziei?

— Mogę, panie.

— W takim razie zrób to. Uzbrój ich w broń zmarłych i każ im ukryć się w cieniach. I pamiętaj, Bourtai, moja magia jest potężniejsza od twojej i sięga poza granice Śmierci. Ja, który pokonałem Śmierć na arenie, mówię ci to.

Bourtai padł na kolana.

— Panie... gdybym miał cię kiedykolwiek zdradzić...

— Wtedy skręcę ci kark. Idź już.

Bourtai pomknął niczym cień między zwłokami i zniknął, a księżniczka wzniosła brodę i poczęła delikatnie kroczyć po Dziedzińcu Magicznej Fontanny, któremu, jak pomyślał Conan, w przyszłości zostanie nadane bardziej ponure imię. Jego oczy zwróciły się na księżniczkę ze złotymi włosami. Miała stać się władczynią, więc kroczyła po drodze, jaką wskazał, a głowę niosła wysoko. Kobieta za nią potykała się i z trudem usiłowała dotrzymać kroku swej pani, a raz upadła i upuściła tren, a obie jej ręce wpadły w otwarte wnętrzności.

Księżniczka szła pewnie przez tragiczny plac, a Conan szedł jej śladem. Niosł łuk w gotowości. Jej wolny krok sprzyjał jego planom. Da to wystarczająco dużo czasu Bourtai, by zebrać swoich złodziei. Stanowili kiepską armię, ale może po tym, co Bourtai opowie im o magii Conana, nabiorą trochę odwagi. Zdało mu się nagle, że usłyszał czyjś słaby krzyk, ale nie mógł być pewien. Zbliżył się do boku księżniczki.

— Czy dobrze idę, mój panie? — usłyszał jej słaby głos.

— Nawet zwycięski król — odpowiedział zgodnie z prawdą Conan — nie mógłby iść lepiej. Nauczyłaś się dobrze swojej lekcji, mała księżniczko. Skoncentruj się na rzeczy, której pragniesz i nie pozwól, by cokolwiek zmieniło twe postanowienia. Bądź dzielna. Bądź bezlitosna, byś później dla odmiany mogła być łaskawa. Jeśli ktokolwiek sprzeciwi się twojej woli, ukarż go.

Bez wątpienia dał jej dobrą radę, ale kwestia nagrody nadal pozostała nierozwiązana.

— I... — dodał w zamyśleniu — zawsze dotrzymuj danego słowa.

— Te twoje nauki mają w sobie coś nieprzyjemnego, mój panie — powiedziała księżniczka, a głos jej się załamał. — Fu! Ci tutaj, moi wrogowie, musieli być za życia podłym plemieniem, skoro śmierzdzą tak po śmierci!

Conan wydał z siebie głośny śmiech, który niespodziewanie zagościł na jego ustach i z podziwem spojrzął na tę dumną, złotą głowę. Spalone ciała były już za nimi i teraz musieli jedynie ominąć szeregi tych, którzy uduszeni zostali Ognistym Wichrem. Przeszli już niemalże przez cały Dziedziniec Fontanny i nie dojrzeliby żadnego śladu życia. Nie było też śladu po Bourtai i jego złodziejskich szakalach. Lekki niepokój zagościł w myślach Cymmeryjczyka. Czy mylił się sądząc, że Bourtai był już po jego stronie, i że uczyni wszystko zgodnie z jego wolą? Conan chwycił mocniej łuk. Cóż, to była odpowiedź na wszelkie obawy!

W końcu minęli dziedziniec i mieli już przed sobą niewielu zmarłych. Szeroka droga, wiodąca stąd do Świątyni Agrimaha stała przed nimi otworem. Księżniczka opuściła tren swej sukni i ruszyła środkiem drogi, a Conan zauważył, że mimo wszystkiego, co się wydarzyło, szaty jej pozostały nieskazitelnie czyste. Jego oczy uważnie wpatrywały się w cienie, a palce aż do bólu zaciskały się na łuku. Daleko w ciemnościach pies lub wilk wzniosł swoje nocne wycie w niebiosy. Po nim nastąpiła długa cisza, w której dało słyszeć się jedynie ponure zawodzenie Ognistego Wichru. Stopy księżniczki wydawały szybkie, lekkie dźwięki na drodze, a miecz Cymmeryjczyka szczykał od czasu do czasu.

Ludzie pochowali się w swoich domach i pozamykali okiennice tak, że miasto sprawiało wrażenie wymarłego. Była to technika mieszkańców wszelkich miast na całym świecie. Zwycięstwa armii niewiele dla nich znaczyły, o ile nie grabiły one ich mienia. Na ulicach wrzeć mogła walka, czerwoni zabijac mogli zielonych, a srebrni przeklinać złotych. W końcu drzwi domostw otworzą się i życie potoczy się dalej, starym trybem i może tylko jeden człowiek wzbogaci się, a drugi zbiednieje. W każdym razie on miał być jednym z tych bogatszych! Wyprostował swoje potężne ramiona i poczuł, że coś połaskotało go po piersiach. Był to wiszący na jego szyi Kryształ.

— Nie martw się, Cromie — szepnął Conan. — Obietnica mówiła o stu tysiącach ludzi, a

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichler

słowo twego wojownika jest więcej warte niż złoto całego świata. Dzisiaj otrzymasz pierwszą zapłatę, a ja będę żył. Pamiętaj, że księżniczka spełni moje trzy życzenia, a ja będę na tyle mądry, że poproszę ją o spełnienie takich życzeń, jakie ona chce.

Atak nastąpił bez ostrzeżenia. Nagle z ciemnych ulic wcinających się w budynki po obu stronach tej szerokiej drogi wyskoczyli ludzie. Conan nie mógł dostrzec kolorów ich tunik, ale ich zbroje błysnęły w bladym świetle. Całe napięcie Cymmeryjczyka wyzwoliło się w jednym, potężnym okrzyku, jaki rozdarł jego piersi. Jego łuk zaczął wysyłać strzały niczym nuty pieśni Śmierci. Jak tylko szybko mógł napinać je na łuk, wysyłał je ze świstem w ciemność, a każda z nich znajdowała swoje miejsce w ludzkim ciele.

Łuk zagrał trzydzieści nut i z lewej strony nie było już wrogów. W pewnej chwili księżniczka krzyknęła, lecz nie był to okrzyk trwogi, tylko złości. Jakiś człowiek chwycił ją w ramiona i podniósł do góry. Conan ruszył w ich stronę, a jego miecz jęknął, gdy wydobywał go z pochwy. Lecz nim zdążył do nich dobiec, białe ramię księżniczki wzniosło się i opadło, a niosący ją człowiek upadł na ziemię.

W jednej chwili Conan przeskoczył nad nią, by zaatakować następnych, a jego miecz wystrzelił niczym płomień.

— Ha, czy przeskadza ci twoje gardło? Zaraz pozbędziesz się wszelkich dolegliwości. A twoja prawa ręka? Nie będzie cię już więcej bolała. Ha!

Jego potężny, przerażający śmiech bitewny wzniosł się w niebiosy. To walczył Conan, barbarzyńca z Cymmerii, z błyszczącym mieczem w dłoni. Dwóch ludzi z wzniesionymi mieczami natarło na niego, a Cymmeryjczyk skoczył między nich. Jego stal odcięła głowę jednego i zakręciła się w jego dłoni, by natrzeć na drugiego. Stal uderzyła w stal i ostrze żołnierza wypadło mu z ręki, i wleciało w nocne ciemności.

Mężczyzna padł na kolana.

— Litości, panie. Rozpoznaję cię teraz. Ty jesteś...

Ręka księżniczki uderzyła z tyłu i jej kłujący nóż w jego kręgosłupie uciał jego słowa nim zdążył dokończyć zdanie. Na chwilę pozbyli się wrogów i jedna para oczu odnalazła drugą.

— Bądź bezlitosna, powiedziałaś, mój panie — odezwała się księżniczka.

Zadźwierał łuk i Conan poczuł w plecach ukłucie strzały. Zakołysał się, chwycił ręką łuk, a jego miecz zadźwierał, gdy powędrował między jego zęby. Krew na jego ostrzu była ciepła i słona, a łuk zaczął śpiewać swoją pieśń. To uderzenie w plecy. Czy przebiło jego zbroję? Niewielu miało wystarczająco siły, by użyć tak potężnego łuku, ale nie wiedział przecież, jaki metal go ochrania. W mięśniach pleców poczuł klucie i ból. Ha! Nie było to nic ponad ukłucie szpilki!

Z ciemności doleciały nowe, głośne okrzyki. Za uzbrojonymi ludźmi pojawiły się cienie i załamujący się, piskliwy głos zabrzmiał w ciemnościach nocy:

— Oszczędź swych strzał, wielmożny panie, są już niepotrzebne!

Łuk Conana zatrzymał się nim zdążył wypuścić strzałę.

— Za każdym razem, gdy Bourtai mówi — mruknął — zyskuję sobie wyższy status. Teraz jestem już wielmożnym panem. Wkrótce zaczniesz nazywać mnie bogiem. Nie, Cromie, nie mam na myśli żadnej obrazy twego imienia. Księżniczko, strzała kłuje mnie w plecy. Bądź tak uprzejma i wyciągnij ją.

Poczuł lekkie rozdzieranie się skóry i znów stanął twarzą w twarz z księżniczką, i zobaczył strzałę i nóż w jej dłoniach. Jej biała suknia była już zniszczona, ale plamy na niej nie przynosiły uszczerbku jej honorowi. Conan odezwał się, z wielką szczerością:

— Księżniczko, będzie z ciebie wspaniała władczyni. Nigdy nie miej co do tego żadnych wątpliwości. Ale, myślę, że nadszedł czas, byśmy pośpieszyli do świątyni. Bourtai — powiedział głośniejszym głosem — chodź z nami.

— Tak jest, panie.

Po raz kolejny drobne kroki księżniczki rozległy się echem, ale tym razem topiły się w innych, cięższych krokach. U boku Cymmeryjczyka rozlegało się dreptanie Bourtai i dał się słyszeć szepczący głos:

— Mówię ci, panie, ta księżniczka jest prawdziwym wojownikiem. Cały świat przyzna, że jesteś najodważniejszy!

Conan mruknął i poszedł prosto do przodu, za wąskimi plecami księżniczki, w górę schodów świątyni Agrimaha i w dół długiego korytarza ozdobionego kolumnami. Płonący tam, pachnący dym, przegonił z ich nozdrzy zapach brudu. Odgłosy marszu ludzi stały się coraz głośniejsze i Conan obejrzał się za siebie, i zaśmiał się głośno. Złodzieje w istocie dobrze się uzbroili. Zbroje ze spiżu wykonane na miarę postawnych żołnierzy zwisały z ich zapadniętych piersi. Helmy zsuwały im się z głów, ale ich miecze, niesione w dłoniach, były

dumnie splamione krwią. Wszyscy maszerowali lekko, biorąc pod uwagę ciężar, jaki na sobie dźwigali.

Głowa barbarzyńcy skrzyła się na dźwięk dobiegających odgłosów pieśni. Ogoleni kapłani gromadzili się przed figurą Agrimaha w siedmiu rzędach siedmiu kolorów. Conan po raz kolejny dostrzegł ogień płonący w oczach imponującej figury i wielkie kły wystające z zakrwawionych warg.

— Z przeproszeniem, panie — szepnął Bourtai. — Muszę się oddalić i odprawić moją własną, skromną magię. — Zniknął w cieniach kolumn świątyni, a Conan gestem rozkazał strażnikowi złodziei zbliżyć się do siebie i księżniczki.

— Ci kapłani ukoronują cię, ponieważ jesteś teraz silna — szepnął w ucho księżniczki — jednak, jeśli na to pozwolisz, staną się jeszcze silniejsi od ciebie. Agrimah jest fałszywym bogiem, ponieważ nie umiał mnie pokonać. Powiem ci, kto jest prawdziwym bogiem. Każ zbliżyć się kapłanom.

Księżniczka skinęła głową.

— Nie wiem nic o bogach — powiedziała bezbarwnie — ale ci kapłani wydają mi się bardzo dumni.

Postąpiła jeden krok do przodu i wyciągnęła swe białe, splamione krwią ramię.

— Uczście się — powiedziała zdecydowanym głosem. — Jestem waszą księżniczką i wysłuchajcie moich rozkazów!

Kapłani zwrócili na nią swoje cyniczne oczy, a Conan pociągnął cięciwę swego łuku tak, że odbiło się echem w świątyni. Na ten znak złodzieje uderzyli mieczami w tarcze.

— To rozkaz księżniczki — powiedział Cymmeryjczyk i zniżył głos.

— Tutaj — kapłan ze szczupłą twarzą wystąpił naprzód — tutaj tylko Agrimah wydaje rozkazy. Poczekamy na to, co Agrimah ma do powiedzenia.

Conan postąpił pół kroku naprzód, a jego ręka w tej samej chwili sięgnęła po miecz.

Dostrzegł szczęki boga, Agrimaha, gdy otworzyły się i załamujący się, dziwnie głęboki, ale znajomy głos zaczął mówić. Cymmeryjczyk ukrył swój śmiech.

— Tak, pozwólmy, by Agrimah zadecydował! — powiedział Conan.

Sąd Agrimaha zagrział w świątyni:

— Księżniczka króluje! Jej słowo jest prawem! Uciekajcie, śmiecie i zróbcie miejsce prawdziwemu władcy Turghol!

Szeregi kapłanów załamały się w chwili paniki i jednym gestem Conan zesał na nich złodziei. Gdy uzbrojeni ludzie zrobili dziesięć kroków do przodu, kapłani zaczęli się cofać.

Księżniczka posunęła się do przodu, ale Cymmeryjczyk zobaczył, że cała się trzęsła.

— Z pewnością — szepnęła — to bóg przemawia!

— To nic więcej — powiedział sucho Conan — niż nasz ulubieniec, czarnoksiężnik Bourtai, przemawiający przy pomocy swej magii. — Odwrócił się przed ołtarzem. —

Wezwijcie ludzi — rozkazał. — Niech zadzwonią dzwony i niech wszyscy zgromadzą się w świątyni, gdzie księżniczka będzie się koronować!

Dwoje ludzi stało na stopniach ołtarza, wysoki człowiek z ognistą głową i szczupłą dziewczyna ze złocistymi włosami, a zasłona ze srebra zaciągnęła się za nimi, by ukryć twarz i postać Agrimaha.

— Z pewnością teraz — miękko powiedziała księżniczka — z pewnością teraz możesz zażądać swej nagrody, mój panie.

Conan stał nad nią i spojrzał na plamy krwi na jej sukni, na płonący ogień jej szarych oczu.

W tej chwili księżniczka z chęcią poddałaby mu się.

— Tak — ryknął barbarzyńca — może nadszedł właściwy czas. Posłuchaj mnie, księżniczko. Przy pomocy mojej magii mogę zobaczyć przyszłość. Będiesz królowa sprawiedliwie przez wiele lat, bo masz w sobie cechy władczyni. Jesteś bezlitosna i silna, jednak twoja kobieca litość oszczędzi słabych. I oczywiście jest, że zawsze dotrzymasz twego królewskiego słowa.

— Cóż, tak — odpowiedziała księżniczka rumieniając się.

— Tak, Conanie.

Cymmeryjczyk wziął głęboki oddech, który niemalże rozsadził krępującą go zbroję.

Zawahał się, a jego oczy pełne były podejrzliwości.

— Teraz poproszę cię o dwie rzeczy. Gdy nadejdą twoi poddani, i gdy zostaniesz ukoronowana, przyjmiesz Croma za twego prawdziwego boga, ponieważ to on posadził cię na twym tronie. A ja w ten sposób wypełnię moją obietnicę.

— A czy ten Crom, mój panie, jest również twoim bogiem?

Conan zaśmiał się.

— Na Agrimaha, musi tak być, skoro obronił me życie w tylu niebezpieczeństwach. I

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

dlatego też muszę wypełnić mą obietnicę, że sto tysięcy ludzi pokłoni się przed nim i uzna go za swego boga.

— Sto tysięcy — powiedziała księżniczka, a jej głos pełen był wątpliwości. — Nawet połowa tego nie zamieszkuje Turghol.

— Doprawdy? — zdziwił się Conan i ukrył śmiech w swych oczach. Może będzie łatwiej niż myślał. — Doprawdy? To jest poważna sprawa, księżniczko, bo, widzisz, jeśli człowiek nie dopełni obietnicy danej bogom, mogą oni cofnąć swoje łaski. Ach, to takie łatwe. Ty mnie zaopatrzysz, księżniczko, w potężną galery i dasz mi bogactwa, przy których pomocy przemierzę wody Ho w twym imieniu i w imieniu Cromy. W ten sposób wzrośnie twoja zasługa, a ja spełnię moją obietnicę.

Przyjrzał jej się z uwagą. Wymyślił całkiem dobry pretekst. Księżniczka zmarszczyła brwi.

— Tak się stanie — powiedziała — ale wydaje mi się, że za bardzo przejmujesz się tą obietnicą. Nie wzięłabym cię za człowieka, który modli się do jakiegokolwiek boga!

Cymmeryjczyk podniósł potężne, prawe ramię i wskazał palcem w górę.

— Żaden człowiek nie może żartować z bogami — zagrzmiął i prawie przekonał sam siebie.

Księżniczka przestraszyła się z lekka.

— Tak, myślę, że nie może, Conanie, a może być, że myliłam się co do ciebie.

Ludzie zaczęli tłumnie przybywać do świątyni, ustawiając się wzdłuż ścian i wokół kolumn, spoglądając na splamionych krwią mężczyznę i kobietę stojących przed srebrzystą zasłoną Agrimaha i otoczonych przez przedziwnych strażników, którzy zdawali się być za mali na swoje broje; na małego człowieka odzianego we wspaniałą szatę ze złotej tkaniny i usadowionego u stóp tych dwojga. Zobaczyli, jak wyciągnął dłoń i złapał płomienną tunikę człowieka z włosami czarnymi jak smoła.

— Panie — szepnął Bourtai — panie, ludzie przysli.

— Tak — odpowiedział Conan. — Księżniczko, moje trzecie życzenie... — pochylił się nad nią i jego oczy zabłyśły — moje trzecie życzenie zaczeka, póki nie uporamy się z tą sprawą.

Księżniczka zaczerwieniła się.

— Czy tak musi być? — mruknęła. — Dobrze. Zwróciła się w stronę zebranych tłumów i nim jeszcze wypowiedziała słowo, wiadome było, że ona tu rządzi, bo na sam widok dumy w jej twarzy, ludzie padli na kolana.

— To dobrze — powiedziała zimno księżniczka — że uznajecie mnie za swoją władczynię. Dlatego też, na ten czas, będę litościwa. Zapomnę, że pozwoliliście mi gnić w wieży pod zaklęciem przez siedemnaście lat, póki nie nadszedł obcy człowiek, by mnie wyzwolić. Jeśli chcecie zobaczyć, co stanie się z tymi, dla których nie ma mojej litości, spójrzcie na Dziedziniec Magicznej Fontanny.

Zamilkła, a z klęczącego tłumu doszedł pomruk:

— Ty jesteś władczynią.

Głos ten zabrzmiał dla Conana bardzo monotonicznie. Niezgrabnie poruszył się na nogach i zobaczył przed sobą błagalny wzrok Bourtai. Bourtai stanął na palce, by szepnąć:

— Ona jest wspaniała, panie, i jest wymarzonym partnerem dla ciebie.

Conan skrzywił się i nie odpowiedział. Czuł pociąg do osobowości dziewczyny i do jej pięknego ciała. Może ona miała być częścią królestwa, jakie wyrzeźbić miał na tym bajecznym, bogatym Wschodzie. To możliwe...

— Powstańcie, poddani — powiedziała księżniczka — teraz pokłonicie się nowemu bogowi, Cromowi, który uwolnił mnie ręką swego ucznia, Conana, Cymmeryjczyka.

Ludzie usłuchali, a księżniczka zwróciła się niecierpliwie do Conana.

— Cóż, pięćdziesiąt tysięcy pokłoniło się Cromowi lub zrobią to zanim z nimi skończę.

Jutro pokłoni się kolejne pięćdziesiąt tysięcy...

— Nie! — ryknął Cymmeryjczyk. — To nie wystarczy. Mam twoje słowo, księżniczko.

— Tak — oczy księżniczki były zimne. — Tak, jest jeszcze to trzecie życzenie.

— Owszem, jest — przyznał Conan. Księżniczka zwróciła się do zgromadzonych ludzi.

— Niech pozostanie pięćdziesięciu ludzi — powiedziała rozkazującym tonem. — Ci, którzy są właścicielami galer i niewolników. Nie usiłujcie ukryć się przede mną, bo moi czarnoksiężnicy znają was wszystkich.

Część ludzi wystąpiła do przodu, a księżniczka zmierzyła ich władczy wzrokiem.

— Największa galera w porcie zostanie przygotowana dla Cymmeryjczyka, który jest moim głównym doradcą i komendantem, mej armii i floty. Skompletujecie załogę z niewolników i żołnierzy. Wyślijcie pięćdziesięciu niewolników, by zanieśli bogactwa na tę

galery. To wszystko, możecie odejść.

Odwrociła się do Conana, a w jej głosie było zarówno pytanie, jak i ostrzeżenie:

— Widzisz, Conanie, dotrzymuję słowa.

Cymmeryjczyk stał nad nią, a kąciki jego ust zacisnęły się mocno. Jedna część jego duszy pragnęła jednej rzeczy, a druga znów innej. Ale jego rozsądek dostrzegł błąd.

— Księżniczko — powiedział, a w jego głosie była szorstkość — jestem wolnym człowiekiem i moja dusza, podobnie jak twoja, jest wolna. Obydwoje jesteśmy silnymi ludźmi.

— Jesteśmy dwojgiem silnych ludzi — przyznała księżniczka, ale w jej głosie zabrzmiało pytanie.

— W takim razie, czy ugięłabyś przede mną swoje kolano? — zapytał ostro

Cymmeryjczyk.

— O, z przyjemnością, Conanie!

— Na jak długo?

Bourtai szarpał go za rękaw, a uszu jego dobiegł jego słaby szept.

— Bądź ostrożny, panie. Bądź ostrożny, gdzie stąpasz! Idziesz drogą, z której żaden człowiek nie może wrócić. Gdy tylko się odezwalesz...

Silna dłoń Conana na barkach Bourtai nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

— Na jak długo, księżniczko? — naciskał Conan. — Ty, która potrafisz być bezlitosna i dzielna; ty, która potrafisz rządzić ludźmi żelazną ręką. Na jak długo skłonisz swe kolano przed jakimkolwiek mężczyzną?

Białe zęby księżniczki ukazały się między jej czerwonymi, pełnymi ustami, ale nie był to uśmiech.

— Myślę — powiedziała miękko — myślę, że nadszedł czas, by Conan wypowiedział swe trzecie życzenie!

Cymmeryjczyk napiął piersi pod zbroją i wstrzymał oddech na tak długo, że niemalże zakręciło mu się w głowie. W końcu wypuścił powietrze.

— Księżniczko — powiedział zuchwale — proszę cię, byś wzięła moją galeryę i odpłynęła.

— Ach! — Ręka księżniczki powędrowała do jej piersi i znalazła tam rękojęść noża. — Ach... — powiedziała już spokojnie.

— Dokładnie — zgodził się Conan. — Jesteśmy dwojgiem silnych ludzi, ty i ja... a moja księżniczka dotrzymuje obietnic.

Twarz księżniczki była biała niczym marmur, niczym alabastrowy ołtarz, przed którym walczył i prawie zginał Conan. Nozdrza jej się rozszerzyły, a jej białe zęby znów ukazały się spomiędzy czerwonych warg.

Gdy odezwała się ponownie, głos jej był zimny i kąsał niczym ząb węża, i Cymmeryjczyk poczuł, jak czający się za nim Bourtai zaczął się trząść.

— Powiedziałam, że uczynię dla ciebie wszystko, jeśli tylko będzie to w mojej mocy i w obrębie miasta Turghol. Taka była moja obietnica. Teraz możesz już odejść.

— Oczywiście z moją galeryą, księżniczko, i z bogactwami.

— Z twoją galeryą, Conanie, i z bogactwami.

Cymmeryjczyk sztywno ukląkł na kolano.

— Czynię teraz, księżniczko to, czego nigdy przedtem nie uczyniłem w życiu. Klękam przed kobietą. Niech pamięć o mnie pozostanie w twym sercu!

Z gardła księżniczki wydobył się zduszony odgłos, a palce zaciskające się na rękojęści noża stały się trupobiałe.

— Możesz odejść!

Conan powstał na nogi i odwrócił się. Im dłużej szedł, tym szybszy stawał się jego krok i kiwał się w odwiecznym rytmie maszerujących ludzi. Miecz bujał się z lekka przy jego boku i jego brzęczenie odbijało się echem po całej świątyni. Jego oczy spojrzały w ciemność nocy i w oddali mógł dostrzec gwiazdy odbijające się w wodach Ho. U jego boku podskakiwał, gestykulował i protestował tańczący Bourtai w szacie ze złota, na wpół zły, a całkowicie przerażony.

— Jesteś głupcem, panie — powiedział. — Nigdy nie dotrzesz do galery, a nawet gdybyś dotarł, to i tak nigdy nie opuścisz tego portu ze wszystkimi tymi bogactwami. Jesteś głupcem. A ja, litości, jestem twoim błaznem, bo muszę z tobą pójść, bo inaczej wokół mej szyi zaciśnie się lina na rozkaz tej przeklętej księżniczki.

Galera była największa w porcie, a niewolnicy w mroku nocy wnosili na nią złoto. Bourtai stał obok Conana, trzęsąc się i krztusząc w ostatecznej nadziei i strachu. A barbarzyńca spoglądał na swoje bogactwa, na brokaty, jedwabie i złote tkaniny, na klejnoty, przyprawy i

futra.

— Nie, panie — szepnął Bourtai — może miałeś rację. Powiem ci jutro, kiedy będziemy bezpieczni, daleko stąd. Bo księżniczka to z pewnością bardzo miłe stworzenie, jeśli chodzi o jej wygląd, ale jej dusza jest ze stali. Albo będzie twoją władczynią, albo cię zniszczy, panie. Conan zaśmiał się potężnym śmiechem, a jego oczy sięgnęły horyzontu jeziora Ho.

— Nadal trzymam mój status w twoich oczach, Małpia Mordo? Nadal jestem twoim panem?

— Nadal i na zawsze, panie — ochoczo odpowiedział Bourtai.

Conan chrząknął i wydał rozkaz niewolnikom. Minęła już Godzina Psa i za chwilę nadejdzie Godzina Osła. Otrzymał wielkie bogactwa Turghol, Kassar został pomszczony i mała część obietnicy danej Cromowi została spełniona. Cymmeryjczyk dotknął lekko kawałka Kryształowego Tronu zawieszzonego wokół szyi.

— Sto tysięcy, Cromie — mruknął — i uwierz, tak jak ja wierzę, bez względu na to, ile gardeł zostanie poderżnięte.

Schylił się i szepnął do Bourtai:

— Oszukamy tę zimną księżniczkę, małpko. Myśli, że będziemy czekali na ostatni zwój jedwabiu i na ostatni klejnot. Ale już teraz na pokładzie są bogactwa godne króla. Zejdź na dół i zagoń niewolników do wiosła. Gdy dam znak, niech ruszą pełną parą! Bo z wyjątkiem ciebie i siebie samego nie ufam tej naszej księżniczce za bardzo. Słuchaj, dwa razy tupną nogą w pokład.

Bourtai podreptał na dół i jego piskliwy głos dobiegł Cymmeryjczyka stojącego na pokładzie. Ostrożnie przeszedł wzdłuż burty, a jego miecz zabłysnął raz i drugi tak, że teraz tylko jedna lina przytrzymywała ich przy brzegu. Statek zakołysał się lekko pod jego stopami i Conan zmarszczył brwi. To dziwne, by taka potężna galera kołysała się pod tak słabym naciskiem! Pośpieszył do ostatniej liny. Naddciągał łańcuch niewolników, przygarbionych pod niesionym ciężarem, ale barbarzyńca nie czekał. Po raz kolejny jego miecz wzniósł się i opadł, a on dwa razy tupnął w drewniany pokład.

Zdało mu się, że galera ponownie się zakołysała, dziwnie niepewna pod jego stopami, ale może było to wynikiem nagłego ruchu wszystkich wiosła. Może... Conan podbiegł do sterującego wiosła i umieścił je w uchwycie. Złoty krąg słońca wzniósł się nad wzgórzami i wysłał promień światła, który popieścił jego czarne włosy. Ognisty Wicher jęknął i uspokoił się. Conan odrzucił w tył swoją potężną głowę i wysłał w niebo swój mocny śmiech. Był daleko, daleko... z bogactwami pod pokładem i z ogromnym, błękitnym jeziorem przed sobą. Bourtai stanął u jego boku, a chłodne wiatry wypełniły nozdrza Conana. Jak na mocno obciążoną galere, jego statek płynął wyjątkowo szybko i wysoko trzymał się na wodzie. Podskakiwał na każdej fali, ale trzymał kurs pod mocnym naciskiem dłoni Conana na sterze.

— Nazwałeś mnie głupcem, Małpia Mordo — odezwał się Cymmeryjczyk.

— Nie, panie, myliłem się. Jesteś tak wielki, jak twoja magia.

— Żaden człowiek — odparł Conan — nie jest potężniejszy od jego magii. — Zaczął śpiewać, a czas mijał i Godzina Osła zbliżała się coraz bardziej. Godzina, w której jego panowanie się zakończy. Otaczały ich błękitne wody, a blade kształty Turghol pozostały w tyle. Jedynie ledwo widoczny zarys fioletowej wyspy rysował się między wodą, a niebem.

— Jak myślisz, Bourtai, czy dobrze wykorzystałem mój jeden dzień panowania? — zapytał Conan. — Gdy piasek w tej klepsydrze się przesypie, dzień ten się zakończy.

— Bardzo dobrze, panie, bardzo dobrze! — Bourtai przysiadł na bogatym dywanie, rozłożonym na pokładzie, ale zdawało się, że było mu niewygodnie. — Będę obserwował te ostatnie ziarenka piasku i myślał o glorii, jaką ci dał ten dzień. Byłeś wspaniały.

Cymmeryjczyk poczuł pewien niepokój, gdy patrzył na ostatnie przesypujące się ziarenka. Zdawały się umykać coraz szybciej i szybciej. I będzie czuł ten niepokój póki piasek zupełnie się nie wyczerpie. Spojrzał na Bourtai, ale w jego oczach nie było pocieszenia.

— Księżniczka była hojna — powiedział wolno Conan — nie można powiedzieć, że ją okradliśmy, bo zarobiliśmy sobie na to, co nam dała. Prawda, Bourtai?

Bourtai wyrzucił w tył głowę i wyciągnął szyję.

— Jak można nazwać to kradzieżą, panie? — zaklekotał. — Poza tym nie odwołała rzeczy, które dała, co samo w sobie jest już dowodem. Panie, ostatnie ziarenka piasku przesypują się. Oczy Conana zwróciły się na klepsydrę. Jego pierś nabrzmiała. Dzień jego panowania już się prawie zakończył, a był to dobry, dobry dzień. Był teraz bajecznie bogaty i wolny. Pozostawała jeszcze, oczywiście, jego obietnica, ale to może poczekać. Ostatnie ziarenka piasku zawały się i opadły. Galera podniosła się na falach i...

Cymmeryjczyk zamknął oczy z ulgą. Ostatnie ziarenka piasku przesypały się. Jego

Howard Robert E - Conan. Ognisty wichur

panowanie skończyło się i... Bourtai wydał z siebie zduszony krzyk i Conan otworzył oczy. Zaklął okrutnie i rozejrzał się wkoło. Potarł oczy i jeszcze raz się rozejrzał. Gdzie była bogata galera i plusk wiosel? Gdzie byli niewolnicy i potężny maszt? Ta łódź, w której teraz płynął nie była niczym więcej ponad przeciekającą skorupę, niesioną przez prądy Ho i z każdą chwilą bardziej zanurzającą się w błękitne wody!

— Na Croma! — ryknął barbarzyńca. — Spełnię moją obietnicę!

Bourtai wydał z siebie głos, zduszony złością:

— Patrzyłem na nią i na moich oczach zniknęła, niczym na kłaśnięcie dłońmi, niczym klejnot. Na Croma, księżniczka odwołała swój podarunek!

— Co? — szepnął Conan. — Co mówisz?

— Księżniczka odwołała bogactwa i galerę, ty głupcze, jak może to zrobić każdy czarnoksiężnik z Turghol!

Przez długą chwilę Conan wpatrywał się w błyszczące, czarne oczy Bourtai, a potem odrzucił w tył głowę i zaśmiał się gromko.

— Co powiedziała przepowiednia, Bourtai? Że będę panował przez jeden dzień, a potem będzie jeden czarnoksiężnik, który zajmie moje miejsce? I zajął... nasza mała księżniczka! A jej magia jest subtelna; tak, prawie tak subtelna, jak twoja! Bo, widzisz, chcieliśmy uwierzyć w tę galerę, którą dla nas uczyniła i w bogactwa, którymi nas obsypała. Tak, tak, to jest księżniczka dla ciebie. Dla ciebie, ale nie dla mnie! Dzięki, Cromie, że dzieli nas od niej bezmiar wody.

— Jesteś głupcem! — warknął Bourtai.

— Co, już nie nazywasz mnie panem — Conan z trudem powstrzymał śmiech. — Cóż, przynajmniej mamy jakąś łódź, ty mały czarnoksiężniku z duszą myszy. Przed nami wyspa, a dalej inne kraje i bogactwa, ale, mam nadzieję, już bez księżniczek. Na Agrimaha, na Mitrę i Croma, dobrze ci to wyszło, księżniczko. Uchylam przed tobą hełm!

Podniósł rękę do głowy, a na jego twarzy pojawiła się śmieszna mina. Przyjrzał się i zobaczył, że był nagi, że miał jedynie swój miecz, łuk i strzały przepasane wokół siebie i jego potężny śmiech ponownie wstrząsnął niebiosami.

— Na bogów — odetchnął — zostawiła nam tylko gołą skórę! Sterujące wiosło bezcelowo zwisało mu w ręce, a jego śmiech rozbrzmiewał wkoło. Na twarzy Bourtai pojawił się gorzki uśmiech.

— Jesteś głupcem, panie — mruknął Bourtai — ale wesołym, odważnym głupcem, i czy to na Croma przysięgasz? Na Croma, zatem, zostawiła mnie tobie, a tobie mnie. I cieszymy się tym!

Zachichotał, a jego cienki śmiech zmieszał się z gromkim śmiechem Conana. Odpłynęli, ze śmiechem na ustach, w małej, przeciekającej łódce po wodach błękitnego Ho w kierunku fioletowej wyspy pobłyskującej we wschodzącym słońcu.

W przygotowaniu Robert E. Howard

Nie kopcie mi grobu
(fragment)

Dzieci nocy

Z wolna zacząłem wracać do przytomności. Najpierw byłem oślepiiony i nie wiedziałem, ani gdzie jestem, ani kim jestem, potem mętnie zacząłem zdawać sobie sprawę, że żyję i oddycham, poczułem, że coś ostrego wciska się mi w żebra. Wtedy mgła się rozrzedziła i całkowicie przyszedłem do siebie.

Leżałem na plecach, do połowy przykryty jakimś zaroślami. Moje skronie pulsowały dziko. Moje włosy były zlepione krwią, a czaszka pękała z bólu. Jednak moje oczy przejechały po moim ciele. Byłem nagi, z wyjątkiem przepaski na biodrach zrobionej z jeleniej skóry i sandałów z tego samego materiału. Nie miałem żadnych innych ran. To, co tak napierało na moje żebra, było moją siekierą, na którą upadłem.

Uszu mych dobiegło jakieś beładne bulgotanie i natychmiast w pełni odzyskałem przytomność. Odgłos ten przypominał język, jednak nie był to żaden z języków znanych ludzkości. Brzmiało to bardziej, jak powtarzające się syczenie wielu potężnych węży. Rozejrzałem się wkoło. Leżałem w środku olbrzymiego, ponurego lasu. Polana była zacieniona tak, że nawet za dnia było tu ciemno. Tak, ten las był ciemny, zimny, cichy, gigantyczny i potwornie przerażający. Spojrzałem na polanę.

Dostrzegłem coś mroźnego krew w żyłach. Na polanie leżało pięciu ludzi, a raczej to, co z nich zostało. Gdy przyjrzałem się tej scenie, serce we mnie zamarło. Wokół nich kłębiły się...

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

Istoty. Były czymś na kształt ludzi, jednak dla mnie nie byli to ludzie. Byli niscy i mocno zbudowani, mieli szerokie głowy, nieproporcjonalnie duże do ich ciała. Mieli wijące się, długie włosy, a ich twarze były szerokie i kwadratowe z płaskimi nosami, przerażająco skośnymi oczami, wąskimi ustami i szpiczastymi uszami. Podobnie jak ja ubrani byli w skóry zwierząt. Mieli przy sobie małe łuki i strzały z kamiennymi grotami, kamienne noże i maczugi. Porozumiewali się mową równie przerażającą, jak oni sami, syczeniem, które przepełniało mnie strachem i obrzydzeniem.

Trudno wyrazić, jak bardzo ich nienawidziłem, gdy tak leżałem. Mój umysł gotował się od rozpalonej do białości złości. I nagle przypomniałem sobie. Polowaliśmy, my, sześciu Ludzi Miecza i zapuściliśmy się w ten ponury las, który nasi ludzie zwykle omijali z daleka. Zmęczeni pogonią zatrzymaliśmy się, by odpocząć. Ja miałem pierwszą wartę, bo w tych czasach nie można było spać bezpiecznie bez czuwania. Teraz całym mną wstrząsnął wstyd i krew we mnie zamarła. Usnąłem, zdradziłem mych towarzyszy. I teraz leżeli porznięci i zmasakrowani, zabici podczas snu przez to robactwo, które nigdy nie ośmieliłoby się zmierzyć z nimi na równych warunkach. Ja, Aryara, zawiodłem pokładane we mnie zaufanie. Tak, przypomniałem sobie. Usnąłem i we mgle snu o polowaniu, ogień i iskry eksplodowały w mojej głowie, a potem zanurzyłem się w głębszą ciemność, w której nie było już snów. Teraz nadszedł czas kary. Ci, którzy przedzierali się przez gęsty las i uderzyli mnie tak, że straciłem przytomność, nie zatrzymali się, by mnie zabić. Myśląc, że nie żyję zabrali się od razu do swej potwornej roboty. A teraz może na chwilę o mnie zapomnieli. Siedziałem nieco z dala od innych, i gdy zostałem uderzony, upadłem w krzaki. Jednak wkrótce sobie o mnie przypomną. Wówczas nie będę już więcej polował, nie będę już tańczył tańców miłości i wojny, i nie zobaczę więcej plecionych chat Ludzi Miecza.

Jednak nie miałem zamiaru uciekać od razu do swoich. Czyż powinienem wrócić z opowieścią o mojej zdradzie i dyshonorze? Czyż słuchać miałem słów pogardy, jakimi moje plemię mnie obrzuci, patrzeć na palce dziewcząt skierowane z szyderstwem w stronę tego młodzieńca, który usnął i wydał swych towarzyszy na łaskę noża barbarzyńców?

Łzy zakłuły mnie w oczach, i wolno, całe me ciało i umysł przepełniły się nienawiścią. Nigdy już nie dane mi będzie noszenie miecza, jaki jest znakiem wojownika. Nigdy już nie odniosę zwycięstwa nad wrogiem i nie zginę w chwale od strzały Piktów, siekiery Wilczych Ludzi lub Ludzi Rzeki. Umrę zabity przez przyprawiające o mdłości stworzy, których Piktowie już dawno wygonili, niczym szczyry w gęstwinie lasu.

Opętała mnie szalona złość i natychmiast wysuszyła me łzy, zamieniając je w dzikie spojrzenie furii. Jeśli te gady mają mnie zabić sprawię, że moja śmierć długo będzie pamiętana, o ile oczywiście te bestie mają w ogóle jakąś pamięć.

Poruszając się ostrożnie, przesunąłem się, aż dłoń moja dosięgła siekiery. Potem wezwałem imię mego boga, Il-marinen i skoczyłem w górę niczym tygrys. Jednym skokiem znalazłem się wśród moich wrogów i zmiażdżyłem płaską czaszkę najbliższemu z nich, jednym uderzeniem. Nagłe pełne lęku zamieszanie wybuchło wśród mych ofiar, lecz po chwili okrążyli mnie wymachując maczugami i przecinając powietrze nożami. Jeden z noży dosięgnął mej piersi, ale nie cofnąłem się. Czerwona mgła roztoczyła mi się przed oczami, ale moje ciało poruszało się we wspaniałej zgodzie z moim wojującym umysłem. Warcząc, machając siekierą i tnąc, byłem niczym tygrys między płazami. Po chwili ustąpili pola i uciekli, a ja pozostałem otoczony sześcioma zarżniętymi ciałami. Jednak to mi nie wystarczyło.

Popędziłem za nimi i byłem bardzo blisko najwyższego z nich, którego głowa sięgnęłaby może mojego ramienia i który zdawał się być ich wodzem. Biegł w dół czegoś na kształt ścieżki i piszczął niczym potworny płaz, a gdy zbliżyłem się do niego, zanurkował jak wąż w rosnące z boku krzaki. Jednak ja byłem dla niego za szybki i wyciągnąłem go z zarośli. Nie zastanawiając się ani chwili poderżnąłem mu gardło w niezwykle brutalny sposób.

Przez krzaki dostrzegłem drogę, do której chciał dotrzeć. Była to ścieżka wijąca się między drzewami, niemalże zbyt wąska dla człowieka o normalnej posturze. Odciąłem obrzydliwą głowę mej ofiary i niosąc ją w lewej dłoni ruszyłem wzdłuż wijącej się drogi, dzierżąc czerwoną od krwi siekierę w prawej ręce.

Teraz, gdy szedłem tak wzdłuż drogi, za każdym krokiem rozpryskując krew wypływającą z tętnicy mego zarżniętego wroga, pomyślałem o tych, na których polowałem. Tak, nie docenialiśmy ich i nierozsądne było polowanie za dnia w lesie, w którym i oni polowali. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak się nazywali, bo nikt z naszego plemienia nie nauczył się tego przekłętą, syczącego języka, który nazywali swoją mową. My nazywaliśmy ich Dziećmi Nocy. W istocie byli bowiem nocnymi stworzeniami, bo zapuszczali się w głąbie ciemnego lasu i w podziemne domostwa, a nawet na wzgórze, ale tylko wtedy, gdy ich

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

zdobywcy pogrążeni byli we śnie. To właśnie nocą dokonywali swych odrażających czynów, takich jak szybkie wypuszczenie strzały z kamiennym grotem w kierunku dziecka, które zgubiło swą drogę do wioski.

Ale było jeszcze coś, czym zasłużyli sobie na nadane im przez nas imię. Naprawdę byli ludźmi nocy i ciemności, i stanowili przerażające cienie minionych lat. Bo były to niezwykle stare stworzenia i reprezentowali przeszłą epokę. Kiedyś posiadli i podbili ten kraj, a potem zostali usunięci w kryjówki nocy przez ciemnych, zadzierzystych małych Piktów, z którymi teraz my walczyliśmy, i których nienawidzili i brzydzili się tak samo, jak my.

Piktowie różnili się od nas wyglądem, byli niżsi i mieli ciemniejsze włosy, oczy i skórę, podczas gdy my byliśmy wysocy i silni, z żółtymi włosami i jasnymi oczami. Ale mimo to byliśmy ulepieni z tej samej gliny. Te Dzieci Nocy dla nas nie byli ludźmi, z ich zdeformowanymi, karłowatymi ciałami, żółtą skórą i obrzydliwymi twarzami. Tak, oni byli gadami, robactwem.

Umysł mój zagotował się ze wściekłości, gdy pomyślałem, że to robactwo mam przebić mą siekierą i zginać. Cóż! Nie ma chwały w zarznięciu węża ani w umieraniu od jego ukąszeń. Cała moja furia i rozczarowanie zwróciło się na tych, których tak nienawidziłem, a gdy przed oczami od nowa pojawiła mi się czerwona mgła, przysięgłem na wszystkich znanych mi bogów, że zanim umrę, uczynię taką, czerwoną rzeź, że na zawsze pozostanie ona w pamięci tych, którzy przeżyją.

Moje plemię na tyle lekceważyło Dzieci Nocy, że mój czyn nie wzbudzi u nich podziwu.

Jednak te Dzieci, które pozostaną przy życiu będą mnie pamiętać i drzeć na samo wspomnienie o mnie. Złożyłem więc moją przysięgę, zaciskając pięść na mej wspaniałej siekierze, wykonanej z brązu i nasadzonej na dębowy trzonek za pomocą rzemienia.

Z dala dobiegł mnie słaby, cichy pomruk i przez drzewa dotarł do mnie obrzydliwy smród, ludzki, a jednak nieludzki. Po chwili wyłoniłem się z głębokich cieni na otwartą przestrzeń.

Nigdy wcześniej nie widziałem wioski Dzieci. Znajdowała się tam grupa ziemianek z drzwiami częściowo zanurzonymi w ziemię. Były to brudne domostwa, do połowy tylko wystające nad ziemię. Z opowieści starych wojowników wiedziałem, że domostwa te połączone były siecią podziemnych korytarzy tak, że cała wioska przypominała mrowisko lub system nor węży. Zastanawiałem się, czy jakieś inne tunele nie ciągnęły się pod ziemią i czy nie prowadziły do bardziej oddalonych miejsc.

Przed domami zgromadzona była duża grupa stworzeń, sycząc i wymachując ramionami w wielkim poruszeniu.

Przyśpieszyłem kroku, a gdy wyszedłem z ukrycia pomknąłem jak tylko umiałem najszybciej. Wśród zgromadzenia rozległy się nagłe wrzaski na widok mściciela, wysokiego, poplamionego krwią, z morderczym wzrokiem, człowieka wyskakującego z lasu. Wrzasnąłem dziko, rzuciłem w nich kapiącą krwią głową i skoczyłem niczym zraniony tygrys w sam ich środek.

O! Teraz nie było już dla nich ucieczki! Mogli schować się do swoich tuneli, ale ja poszedłbym za nimi, nawet do samych piekielnych otchłani. Wiedzieli, że jedyne, co mogło ich ode mnie uwolnić to moja śmierć. Otoczyli mnie w sile stu ludzi, by tego dokonać.

W umyśle moim nie było dzikiego blasku chwały, jak w wypadku prawdziwych wrogów. Ale w mojej krwi tętnił jeszcze mój szaleńczy bieg, a moje nozdrza przeszywał zapach krwi i zniszczenia.

Nie wiem, ilu z nich zarznąłem. Wiem tylko, że kłębili się wokół mnie w zabójczej masie, niczym węże wokół wilka. Machałem siekierą dopóki jej ostrze się nie stępiło i póki nie zaczęła przypominać raczej maczugi niż siekiery. Rozwalałem czaszki, rozcinałem brzuchy, łamałem kości, rozrzucałem krew i mózgi w jednej, wielkiej, czerwonej ofierze dla Il-marinen, boga Ludzi Miecza.

Krwawiąc z pięćdziesięciu ran, oślepiony rozcięciem nad oczami, poczułem, jak w moje podbrzusze wbija się kamienny nóż i w tej samej chwili maczuga roztrzaskuje mą czaszkę. Upadłem na kolana, ale podniosłem się znowu i w czerwonej mgle ujrzałem przed sobą półkole twarzy ze skośnymi oczami. Natarłem ponownie niczym zdychający tygrys i jednym uderzeniem zamieniłem te twarze w czerwone, przerażające maski.

Gdy zachwiałem się, tracąc równowagę pod wpływem mego nagłego ciosu, ostre szpony chwyciły mnie za gardło, a kamienne ostrze wsunęło mi się między żebra i czyjaś ręka przekręciła je wprawiając mnie w niemożliwy do opisanego ból. Znowu upadłem pod setkami ciosów, jednak człowiek z nożem był pode mną, lewą ręką znalazłem jego szyję i skręciłem mu kark nim zdążył się spode mnie wysunąć.

Życie wolno ze mnie uciekało. Przez syczenie i wycie Dzieci mogłem dosłyszeć głos Il-marinen. Mimo to uparcie podniosłem się po raz kolejny i stanąłem w samym środku wiru

Howard Robert E - Conan. Ognisty wicher

maczug i włóczy. Nie widziałem już mych wrogów, nie widziałem już nawet czerwonej mgły. Czułem jednak na sobie ich ciosy i wiedziałem, że kłębili się wokół mnie. Schyliłem się i obydwojma rękami chwyciłem trzonek mej ślizgającej się siekiery i po raz kolejny wzywając imię boga Il–marinen wzniosłem siekiere w górę i zadałem ostatni śmiertelny cios. Musiałem umrzeć stojąc na nogach, bo nie poczułem, bym upadał. Wiedziałem w ostatnim podrygu mej dzikości, że zabiłem, poczułem pękającą czaszkę pod uderzeniem mojej siekiery, ale wraz z tą świadomością nadeszła ciemność i pustka.

* Tom IV; Conan: Krwawy monolit.